

Konferencje biblijne 2001/2002 — „Przekroczyć próg nadziei”

Ks. Waldemar Chrostowski

Parafia Zwiastowania Pańskiego,
ul. Gorlicka 5/7, Warszawa

Nieautoryzowany zapis — skorygowany do kwietnia 2013 roku na podstawie cyfrowych wersji dawnych nagrań analogowych: J. Paczyński

Spis treści

- | | | |
|---|--------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|----------------|
| 1 | Wizerunek Jana Pawła II w „Przekroczyć próg nadziei”
(dn. 15 października 2001) | 2001/2002 – 1 |
| 2 | Czy Bóg istnieje? Czy Bóg nie jest zbyt daleko od człowieka?
(dn. 12 listopada 2001) | 2001/2002 – 10 |
| 3 | Dlaczego „historia zbawienia” jest tak skomplikowana?
Czy Bóg-Ojciec rzeczywiście potrzebował krwawej ofiary
swego Syna, by nas zbawić? (dn. 3 grudnia 2001) | 2001/2002 – 20 |
| 4 | Co to znaczy „zbawić”? Zło w świecie (dn. 14 stycznia 2002) | 2001/2002 – 30 |
| 5 | Problem gwałtu i przemocy w świetle Pisma Świętego
(dn. 11 lutego 2002) | 2001/2002 – 40 |
| 6 | Męka Pana Jezusa wg. św. Mateusza
(dn. 18 marca 2002) | 2001/2002 – 49 |
| 7 | Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa — spotkanie w drodze do Emaus
(dn. 22 kwietnia 2002) | 2001/2002 – 59 |
| 8 | Eucharystia (dn. 13 maja 2002) | 2001/2002 – 69 |
| 9 | O przeżywaniu Eucharystii — I List św. Pawła do Koryntian
(dn. 10 czerwca 2002) | 2001/2002 – 79 |

Ostrzeżenie

Wykłady zostały spisane po raz pierwszy z archiwalnych nagrań podczas roku akademickiego 2001/2002. Nagrania były dokonywane w wersji analogowej, na mikrokasetach. Zimą i wiosną 2013 r., po ponownym odsłuchaniu z wersji cyfrowej, dokonano ich korekty. Odczytywanie dźwięku przy pomocy komputera i programu edytora dźwięku pozwala na nieporównanie bardziej precyzyjny odczyt w porównaniu z magnetofonem taśmowym.

Ale ten dźwięk cyfrowy powstał z przekształcenia oryginalnego dźwięku analogowego, zapisanego na taśmach magnetycznych. Wszystkie wady pierwotnego zapisu zostały więc zachowane. Najgorszą jakość ma dźwięk pierwszej konferencji. W wielu miejscach poszczególne słowa, bądź nawet większe fragmenty zdań są niezrozumiałe — przynajmniej dla mnie.

Ten tekst **nie jest autoryzowany przez Księdza Profesora!** W związku z tym należy go **czytać z rozsądną podejrzliwością**. Tekst był spisywany z nagrań z najlepszą wolą i wielkim nakładem pracy, ale:

- Tekst jest zapisem słowa mówionego. Z pewnością artykuł na ten sam temat Ksiądz Profesor pisałby nieco inaczej. Ale dość szybko doszedłem do wniosku, że nie jestem upoważniony do istotnych interwencji redakcyjnych. Czasami skracałem np. fragmenty wstępne, ale to raczej tylko ze zmęczenia spisywaniem tekstu i/lub złego nagrania. Bowiem zauważyłem, że nawet dygresje mówią bardzo wiele o osobowości Księdza Profesora.
- Wszystkie tytuły (dla lat i poszczególnych wykładów) są tylko moim pomysłem. Wprowadziłem je dla ułatwienia orientacji w tekście, którego nagromadziło się sporo.
- Akapity, podkreślenia tekstu itp. są tylko moim pomysłem. Pomysły na redagowanie zmieniały mi się z czasem, niestety nie mogę sobie pozwolić na pracę nad ujednoczeniem edycji.
- Nie udało mi się odtworzyć pewnych fragmentów nagrań, również czasami jest przerwa wywołana przekładaniem kasety. Starłem się zaznaczać te miejsca w tekście.
- Mniej znane nazwy i nazwiska, wszystkie słowa np. hebrajskie, itp. — pisane ze słuchu — prawie na pewno są niepoprawne. Czasami udawało mi się coś zweryfikować w internecie, słowniku czy w encyklopedii, często było to niemożliwe, lub brakowało mi na to czasu.
- Dużo trudności sprawia mi „pobożnościowa ortografia”. Z jednej strony nie chciałbym szargać świętości (a może Świętości?). Zaś drugą stronę – jak mi się wydaje – najlepiej obrazuje stary kawał, w którym padają słowa: „Nie maluj Mnie na kolanach, maluj Mnie dobrze!”.

W końcu chciałbym ujawnić motywy, które mną kierowały przy podjęciu decyzji o spisywaniu tych konferencji. Dość szybko zauważyłem, że słucham z zapartym tchem ale trwale zapamiętuję tylko kilka procent informacji. Więc najpierw miało to być tylko dla mnie, bo jestem raczej „wzrokowcem”. Ale przecież mam przyjaciół i znajomych, którzy są np. chorzy, albo zajęci ... Wdzięczność kilku osób była dodatkową motywacją. A od lata 2003 pojawiła się perspektywa szerszego rozpowszechnienia przez Akcję Katolicką.

Jerzy Paczyński

1 Wizerunek Jana Pawła II w „Przekroczyć próg nadziei” (dn. 15 października 2001)

Bardzo serdecznie wszystkim państwa witam. Widzę twarze tych, którzy już w ubiegłych latach brali udział w tych konferencjach, które noszą nazwę biblijnych. Widzę, że są także osoby zupełnie nowe. Witam państwa z nadzieją, że podejmując temat tegoroczny, konferencje tegoroczne też będą mógł coś państwu zaoferować takiego, co zainteresuje, być może pobudzi do refleksji, do myślenia, co przyczyni się do wzrostu naszej wiary. Zawsze na początku tych konferencji, co roku, a odbywają się one od kilkunastu lat, powtarzam myśl którą, mam nadzieję że państwo dobrze rozumieją. Mianowicie dla mnie jest to zawsze wielka radość, wielka przyjemność, wielkie szczęście — ale jednocześnie wielkie zobowiązanie. Taka świadomość, że ktoś zostawia na kilka godzin dom, żeby tu się wybrać, często przyjeżdża z daleka, bywa dla mnie wręcz porażająca. Bo zdaję sobie sprawę z tego, jak bardzo trudno jest sprostać oczekiwaniom, i jak wiele bardzo rozmaitych ofert pojawia się dzisiaj. I jeżeli ktoś wybiera tą ofertę to znaczy, że czyni to bardzo świadomie.

Mam nadzieję, że tegoroczny temat również państwa zainteresuje, aczkolwiek w tym roku nie będą to w ścisłym tego słowa znaczeniu konferencje biblijne. Bardzo długo myślałem, właściwie przez całe wakacje wracałem do tego pomysłu. I pod koniec sierpnia będąc w Rzymie, kiedy to mieliśmy również możliwość osobistego kontaktu z Ojcem Świętym Janem Pawłem II, utwierdziłem się w tym, że pomysł na ten rok jest bardzo dobry. Otóż przedmiotem naszej refleksji comiesięcznej będą fragmenty książki Jana Pawła II „Przekroczyć próg nadziei”. Ci z państwa, którzy brali udział w poprzednich konferencjach, wiedzą, że dość często wracałem do tej książki, dość często o niej wspominałem. I muszę państwu powiedzieć, że dla mnie jest to jedna z najważniejszych książek, jakie przeczytałem w swoim życiu.

Natomiast wizerunek Ojca Świętego, który z tej książki się wyłania, jest absolutnie wyjątkowy. Dobrze więc, że wczoraj obchodziliśmy po raz pierwszy w skali ogólnopolskiej *Dzień papieski*. Powiedziałem przy jakiejś okazji, że to jest 22 lata za późno, należałoby takie dni papieskie robić od samego początku, czyli od 1979 roku, ale lepiej późno niż wcale. Dobrze, że nareszcie taki ogólnopolski Dzień papieski mamy. Tak się składa, że jutro jest 23 rocznica wyboru Jana Pawła II. I tak się składa, że ten rok pod wieloma względami jest przełomowy. I bardzo chciałbym, żeby państwo na podstawie lektury i refleksji nad tą książką odkryli jak gdyby wewnątrz Ojca Świętego. Wszyscy znamy jego twarz, znamy jego sylwetkę, znamy jego portrety, znamy jego podobizny, i to wykonywane na tysiące sposobów: od fotograficznej do malarskiej, i wszystkie inne. Natomiast myślę, że ciągle mało znane jest wewnątrz Ojca Świętego. Żadna książka, żadna wypowiedź papieża nie odsłania tak jego wnętrza, jak właśnie ta książka. Jeżeli mi się uda choćby po części odsłonić to wnętrze i sumienie, jego tajniki, Jana Pawła II, to myślę, że będzie to zupełnie fascynująca przygoda.

Byłbym bardzo rad, gdyby państwo w tej przygodzie wzięli udział, i towarzyszyli mi. I niejako zadawali sobie pytanie, które ja bez przerwy sobie zadaję: czy ten wizerunek, czy ten klucz do wnętrza, do osobowości Jana Pawła II, czy to jest klucz trafny i dobry? Z całą pewnością nie będzie to klucz pełny. Dlatego, że jest to osoba, której bogactwa zgłębić nie sposób. Ale myślę, że skoro jesteśmy pokoleniem, które żyje w jego czasach, z całą pewnością zrozumieć go powinno być dla nas czymś ważnym. I myślę, że będzie to dla nas czymś ważnym bo bardzo chciałbym, *żebyśmy przy tej sposobności lepiej również zrozumieli samych siebie. Nie jest to więc tylko próba zgłębienia wnętrza Jana Pawła II, ale jest to próba sięgnięcia do wnętrza każdego z nas.*

Książka jest nader osobliwa. Są to zapisy rozmów, jakie przeprowadził włoski dziennikarz Vittorio Messori z Janem Pawłem II na początku lat dziewięćdziesiątych. Książka zatem utrwała rozmowy przeprowadzone mniej więcej dziesięć lat temu. Nie jest to pierwsza tego rodzaju książka. Zapewne słyszeli państwo, że za pontyfikatu Pawła VI również ukazała się książka — zapis rozmów dziennikarza z papieżem Pawłem VI, ale tamta dotyczy pewnych problemów wiary chrześcijańskiej, natomiast ta jest książką nie tylko o wierze, ale również książką o papieżu. Są tutaj pytania tak zupełnie wyjątkowe i odpowiedzi tak zupełnie wyjątkowe, że żeby zrozumieć współczesny Kościół to z całą pewnością tę książkę trzeba znać. Postaramy się więc przez nią przebrnąć. Są to zapisy rozmów z papieżem, zapisy, które zostały autoryzowane przez Ojca Świętego. Te rozmowy odbywały się ustnie, dziennikarz zadawał pytania i papież odpowiadał ustnie. Ale kiedy pojawił się tekst, wówczas papież przejrzał ten tekst i dokonał jego autoryzacji. Będziemy więc widzieli zarówno ślady

języka mówionego, jak i ślady głębokiej refleksji wtedy, kiedy trzeba było doprecyzować każde słowo.

Myślę też, że skoro podejmujemy tę refleksję dosłownie w wigilię rocznicy pontyfikatu, i skoro ta refleksja będzie nam towarzyszyła przez cały rok — jeżeli dożyjemy wszyscy do czerwca 2002 r. — to będzie również jakieś *homagium*, jakiś hołd złożony Ojcu Świętemu Janowi Pawłowi II. Znosi się również na to, że nasz Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego ma w grudniu tego roku, dokładnie 15 grudnia, wręczyć Ojcu Świętemu doktorat honoris causa. Mogę więc państwu obiecać, że jeżeli będę miał możliwość bezpośredniego kontaktu, to powiem Ojcu Świętemu, że mamy takie konferencje poświęcone jego książce. Ojciec Święty przyjmuje tego rodzaju gesty zawsze z wielkim zainteresowaniem i z wielką wdzięcznością. Być może poproszę księdza biskupa Dziwisza, żeby przekazał wszystkim państwu jakieś, choćby drobne, pamiątki od Ojca Świętego, żeby to był żywy ślad naszej refleksji w tym roku, i naszej łączności z Janem Pawłem II. Pamiętajmy, że są to ostatnie lata tego pontyfikatu. Bez względu na to, czy jeszcze będzie rok jeden, czy trzy, czy siedem, to z całą pewnością już ten pontyfikat został przepołowiony. Jeżeli możemy towarzyszyć papieżowi to myślę, że w naszym gronie jest to wielka sprawa.

Posłuchajmy pytania pierwszego, bo na nim się dzisiaj skupimy, i nad odpowiedzią na to niezwykle pytanie. Powtórzę tylko państwu to, co mówiłem przedtem. Mianowicie, że nikt jeszcze papieżowi takiego pytania nigdy nie zadał. Proszę wsłuchać się w to pytanie dlatego, że to pytanie jest wyrazem niezwyklej poufałości — to za duże słowo i niegrzeczne — ale dowodem niezwyklej intymności tej rozmowy Jana Pawła II z Vittorio Messorim. Zwracając się do papieża dziennikarz mówi tak:

Ojciec Święty, pierwsze pytanie chce dotknąć samych korzeni, jest więc rzeczą zrozumiałą, że będzie nieco dłuższe od pozostałych.

I rzeczywiście jest to najdłuższe z pytań, które postawił dziennikarz. Pytanie, które wprowadza w całość tych rozmów.

Oto znajduję się przed człowiekiem ubranym na białą, zgodnie z dawnym zwyczajem, i noszącym na piersi krzyż. Muszę stwierdzić, że człowiek, którego nazywamy Papieżem (po grecku: ojciec), niezależnie od tego, jakie nosi imię, sam w sobie jest jakąś tajemnicą i znakiem sprzeciwu lub wręcz prowokacją w świetle tego, czym dla wielu naszych współczesnych są kryteria racjonalności czy zwykłego zdrowego rozsądku.

Bardzo ciekawe postawienie sprawy. Samo spotkanie z tym człowiekiem ubranym na białą to dla współczesnego człowieka jakaś prowokacja. Dlaczego? Możemy się domyślać, że prowokacja rodzi się z wyjątkowości roszczeń związanych z papieżem. Normalnie w świecie, jeżeli ktoś cieszy się autorytetem, to dlatego, że został wybrany przez innych ludzi, na przykład na drodze głosowania. Wskutek tego jest np. prezydentem, wskutek tego może być premierem, albo też zyskuje autorytet dzięki swoim uznanym osiągnięciom tak, jak laureaci nagrody Nobla. Natomiast papieżem zostaje się w inny sposób, i zostaje się dożywotnio. I ten człowiek wybrany papieżem, z greckiego: „papa” znaczy „ojciec”, stanowi głębszą prowokację w tym znaczeniu, że są tacy, którzy zadają pytanie „Czy to roszczenie związane z papieżem ma sens? Czy rzeczywiście ten człowiek może sobie rościć prawo do tego, kim jest?” Istotnie — pyta dalej dziennikarz:

wobec Papieża trzeba wybierać. Wiara określa Głowę Kościoła Katolickiego jako Namiestnika Jezusa Chrystusa (i jako takiego przyjmują Go wierzący). Papież uważany jest więc za człowieka reprezentującego na ziemi Syna Bożego, za człowieka „występującego w imieniu” Drugiej Osoby Trójcy Świętej.

Tak mówi o sobie każdy Papież, oczywiście z wymaganą pokorą, ale z nie mniejszą pewnością. Tak wierzą katolicy, którzy nieprzypadkowo nazywają Go Ojcem Świętym, Świątobliwością.

Jednak wielu innych ludzi twierdzi, że to roszczenie jest absurdalne i bezsensowne. Dla nich Papież nie jest przedstawicielem Boga, lecz jakimś przeżytkiem dawnych mitów i legend, których dzisiaj człowiek „dojrzały” nie może akceptować.

I pointa tego — proszę zobaczyć, to była osobista rozmowa z papieżem. Z jednej strony wiara, że oto mamy przed sobą reprezentanta, przedstawiciela Syna Bożego, z drugiej strony odrzucenie, że oto mamy przed sobą relikwiarz jakiejś odległej starożytności czy średniowiecza, który uzurpuje sobie miejsce i rolę, jakiej żaden inny człowiek uzurpować już sobie dzisiaj nie chce, czy nie odważa się. Jaka jest konkluzja tego pytania?

Otóż, w obliczu Waszej Świątobliwości — podobnie jak w obliczu każdego Jego poprzednika i następcy — trzeba zrobić „zakład”, jak powiedziałby Pascal: Ojciec Święty albo jest tajemniczym znakiem Boga Żywego, albo też jest wyrazem iluzji trwającej od dwóch tysięcy lat.

Prawda, że bardzo odważne? I teraz końcówka:

Jeśli więc można zapytać: czy Wasza Świątobliwość nigdy się nie wahał i nie waha w pewności co do swego szczególnego związku z Jezusem Chrystusem, a więc z Bogiem? Czy nie miał nigdy — oczywiście nie wątpliwości — ale przynajmniej pytań i problemów (a to jest rzecz ludzka) co do prawdziwości tego Credo, które powtarza podczas Mszy św. — Credo głoszącego przecież wiarę niesłychaną, której Wasza Świątobliwość jest najwyższym gwarantem?

Nikt, nigdy nie zapytał tak papieża! Czy papież nie waha się co do swojej godności, do tożsamości, i do tych roszczeń, które są z tym związane? Mówiąc innymi słowami, czy papież wierzy w to, kim naprawdę jest? Jak papież to przyjmuje, i jak papież to przeżywa?

Powiedzmy sobie, że nie jest to tylko pytanie papieża, i ta kwestia nie dotyczy tylko tożsamości papieża. Przekładając to na inny język, na inne okoliczności, można by powiedzieć tak: *jest to pytanie które, jak państwo zobaczą, dotyczy każdego z nas*. Wyobraźmy sobie przyjmowanie komunii świętej. Oto przyjmują państwo komunie świętą. I podchodzi ktoś i pyta: „Czy ty naprawdę wierzysz w to, że oto przyjąłeś czy przyjęłaś w tej chwili Syna Bożego? Czy nie jest to tylko oplatek, taki jak inne? A jeżeli naprawdę wierzysz że to, co przyjąłeś, to przyjąłeś Syna Bożego, i się Nim karmisz — czy nie masz co do tego wątpliwości?”

To pytanie można by skierować nam. Może ktoś z państwa zapytać — na pewno jest mnóstwo osób, które mają takie same: „Czy ksiądz wierzy w to, co sprawuje? Czy kiedy odprawia mszę świętą, i podnosi chleb, i podnosi wino, i mówi: «To jest Ciało, to jest Krew», to czy ksiądz wierzy, że od tej pory ma w ręku Ciało i Krew Syna Bożego? A jeżeli ksiądz w to wierzy, to czy może normalnie żyć z tą świadomością, że oto każdego dnia może sprawować coś takiego?” Złośliwi dodaliby: doświadczenie mówi co innego. Wystarczy popatrzeć na szafarzy Eucharystii, przynajmniej niektórych i niekiedy, aby domyślać się, że nie jest to dla nich wielka tajemnica wiary, jak to głoszą we mszy świętej. Dlatego wydaje się, że nie jest to dla nich wielka tajemnica wiary, jak to głoszą we Mszy św. Zobaczmy więc, jak Ojciec Święty odpowiedział na to niezwykle pytanie. Pytanie, które samo w sobie stanowi prowokację. I proszę posłuchać odpowiedzi, bo jest to odpowiedź tak głęboko chrześcijańska, że z całą pewnością pomoże każdemu z nas zrozumieć również część swojej tożsamości i związanych z nią wyznań, które musimy podjąć. Papież powiedział tak:

Myślę, że musimy zacząć od wyjaśniania słów i pojęć. Pańskie pytanie przeniknięte jest z jednej strony żywą wiarą, a z drugiej strony pewnym niepokojem. To muszę zaraz na początku stwierdzić, a stwierdzając to, muszę odwołać się do wyrażenia, które stało u początku mojego posługiwania na stolicy św. Piotra: „Nie lękajcie się!”

Ten początek w moim przekonaniu jest wspaniały. Papież mówi tak. Ktoś, kto stawia sobie takie pytanie, jest człowiekiem wierzącym. Bo jeżeli nie wierzy, to tego rodzaju pytania nie przychodzą mu do głowy. A z drugiej strony jest człowiekiem, w którym odzywa się lęk. Lęk o prawdziwość Bożej obecności w świecie. I papież mówi: „Ważną rzeczą jest to, by przełamać, pokonać ten lęk”. Ten lęk pojawia się bardzo często. Sam papież przypomina, że na początku pontyfikatu, na mszy św. inauguracyjnej jego pontyfikat 22 października 1978 roku na Placu św. Piotra wołał „Nie lękajcie się!” Nie lękajcie się stawiać pytań, ale również nie lękajcie się szukać odważnych odpowiedzi. I dalej:

Chrystus wielokrotnie kierował to wezwanie „Nie lękajcie się!” do ludzi, których spotykał. Tak mówił Anioł do Maryi: „Nie lękaj się”. Tak samo mówił do Józefa: „Nie lękaj

się”. Tak mówił Chrystus do Apostołów, do Piotra, w różnych okolicznościach, a zwłaszcza po swoim zmartwychwstaniu. Mówił: „Nie lękajcie się!” Czuł bowiem, że się lękają. Nie byli pewni, czy Ten, kogo widzą, jest tym samym Chrystusem, którego znali. Lękali się przy Jego pojmaniu, lękali się jeszcze bardziej po Jego zmartwychwstaniu.

Słowa, które wypowiedział Chrystus, powtarza Kościół. *A wraz z Kościołem powtarza je Papież*, a czyni to od pierwszej homilii na Placu św. Piotra: „Nie lękajcie się”. Są wypowiedziane „na kredyt”. Jak widać, są one głęboko zakorzenione w Ewangelii. Są to po prostu słowa samego Chrystusa.

Na początku każdej wiary, i wierząc w Boga, tłumaczy Papież, i zastanawiając się nad swoją tożsamością, trzeba wyzbyć się lęku. Ten lęk może człowieka paraliżować. Jeżeli bowiem kapłan, że przejdziemy na ten poziom, sprawujący Mszę św., będzie podlegał lękowi, że to, co sprawuje, to jest ?? to natychmiast przegrywa. Jeżeli papież na samym początku nie pokonałby i nie pokonuje codziennie tego lęku, którego pokonywanie przychodzi mu zawsze ??, bo Chrystus umacnia człowieka do pokonywania tego lęku, to nie mógłby być sobą. Kardynał Wyszyński wspominał kiedyś, że kiedy po kilku głosowaniach na konklawe wreszcie stało się jasne, że papieżem może zostać wybrany Karol Wojtyła, to Karol Wojtyła spytał kardynała Wyszyńskiego, czy ten wybór może przyjąć. Czy ten wybór nie przerasta jego sił. I kardynał Wyszyński odpowiedział, że nie tylko może, ale musi. I to samo mówił również kardynał König z Wiednia. Utwierdzali Karola Wojtyłę jeszcze inni kardynałowie, że przy tym wyborze odmówić nie może. I kiedy doszło do decydującej chwili, gdy musiał zaakceptować wybór na konklawe, powiedział, że ten wybór przyjmuje.

Wielce pouczające jest zobaczenie na wideo czy w telewizorze zachowania Ojca Świętego 16 października 1978 roku w loży Bazyliki św. Piotra. Papież stanął przed ludźmi, przed tłumem, przed tysiącami Rzymian, i pierwsze jego słowa: „Przybyłem do was z dalekiego kraju”. Dla Włochów bowiem wtedy Polska była bardzo daleko, za żelazną kurtyną, której kształtu absolutnie sobie nie wyobrażali. Od początku pontyfikatu Ojciec Święty rozumiał, wiedział, a musiał to oczywiście wiedzieć wcześniej, że sprawowanie tej posługi oznacza, mówiąc innymi słowy, głębokie zawierzenie Bogu. A głębokie zawierzenie Bogu pokonuje lęk. Proszę państwa, my często stajemy wobec lęku. Natomiast każdemu z nas przyjdzie stanąć wobec lęku, kiedy pojawia się choroba, zwłaszcza bardzo ciężka, kiedy wreszcie pojawia się perspektywa śmierci. W człowieku istnieje wówczas ten egzystencjalny, jak nazwali go filozofowie, lęk. Ten lęk może człowieka sparaliżować kompletnie. I są ludzie, których ten lęk rzeczywiście paraliżuje i absolutnie wyniszcza. Gdyby papież podlegał takiemu samemu lękowi nie byłby w stanie pełnić swojej misji. Gdyby ksiądz sprawujący Eucharystię nie przemógł tego lęku, nie mógłby pełnić swojej posługi. Gdyby przeciętny wierzący, idąc do komunii świętej, że pozostaniemy przy tym przykładzie, nie pokonał w sobie zupełnie świadomie tego lęku przed przyjęciem Boga, przed karmieniem się Bogiem, nie byłby w stanie tego uczynić. Zapewne są tacy, którzy powstrzymują się przed praktykowaniem wiary także z tego powodu, że jest w nich niepokonany do końca lęk. Tajemnica, zwłaszcza tak wielka, zawsze u człowieka rodzi lęk. Więc papież powtarza: „Nie lękajcie się”. I dalej:

Czego nie mamy się lękać? Nie mamy się lękać prawdy o nas samych. Tę prawdę zobaczył naocznie Piotr pewnego dnia i powiedział do Jezusa: „Odejdź ode mnie, Panie, bo jestem człowiek grzeszny”.

Myślę, że nie sam Piotr tę prawdę dostrzegł. Dostrzega ją każdy człowiek. Dostrzega ją każdy Następca Piotra.

Czyli każdy człowiek ma pokusę powiedzieć: „Odejdź ode mnie, Panie, bo jestem człowiek grzeszny”. Ileż to razy możemy usłyszeć, że ktoś nie przystępuje do komunii świętej, bo jest grzeszny. Że ktoś nie ociera się o te święte tajemnice wiary, bo ma poczucie grzechu. To samo mogłoby paraliżować papieża. Świadomość, że jest grzeszny, a z drugiej strony, że sprawuje tak wielkie posłanie. I dalej:

Każdy z nas jest *wdzięczny Piotrowi* za to, co powiedział owego dnia: „Odejdź ode mnie, Panie, bo jestem człowiek grzeszny”. Chrystus odpowiedział mu: „Nie bój się, odtąd ludzi będziesz łowił”. *Nie lękaj się ludzi!* Człowiek jest zawsze taki, jaki jest.

Systemy, które człowiek tworzy, są zawsze niedoskonałe, a tym bardziej są niedoskonałe, im człowiek jest bardziej zadufany w sobie. Skąd się to bierze? To bierze się z ludzkiego serca. Nasze serce jest niespokojne. Jego niepokój zna najlepiej sam Chrystus. „On wie, co jest w człowieku”.

Tu papież wyraził niezwykle ciekawą i głęboką myśl. Człowiek jest zawsze taki, jaki jest. I musimy to z pokorą przyjąć. W swojej pierwszej encyklice Jan Paweł II wypowiedział słynne słowa:

Każdy człowiek jest drogą Kościoła,
drogą Kościoła jest każdy człowiek,
taki, jaki jest: grzeszny, ułomny, słaby, upadający
ale przecież to ten człowiek jest drogą Kościoła.

Gdyby świadomość grzechu, świadomość słabości miała odwieść nas od Boga, albo miałyby spowodować, że czujemy się tak niegodni, iż rezygnujemy z Bożego daru miłosierdzia i przebaczenia, to taki lęk byłby porażający i wyniszczający. Otóż mamy obowiązek pokonać ten lęk. Bóg miłuje nas takimi, jakimi jesteśmy.

Tak więc wobec Pańskiego pierwszego pytania pragnę odwołać się do słów Chrystusa, a zarazem do moich pierwszych słów z Placu św. Piotra. A więc: „Nie lękaj się!”, gdy cię ludzie nazywają *Namiestnikiem Chrystusa*, gdy mówią do ciebie: *Ojciec Święty*, albo też *Wasza Świątobliwość*, lub używają tym podobnych zwrotów, które zdają się być nawet przeciwne Ewangelii. Przecież Chrystus sam powiedział: „Nikogo [...] nie nazywajcie waszym ojcem; jeden bowiem jest Ojciec wasz, ten w niebie. Nie chcecie również, żeby was nazywano mistrzami, bo jeden jest tylko wasz Mistrz, Chrystus”. Jednakże zwroty te wyrosły na podłożu długiej tradycji. Stały się pewnego rodzaju przyzwyczajeniem językowym i również tych zwrotów nie trzeba się lękać.

Papież zwraca uwagę na to, że gdy zwracają się do niego ludzie, wierni: „Wasza Świątobliwość”, „Ojciec Święty”, czy nazywają go „Namiestnikiem Chrystusa”, to są tytuły. W języku polskim przez 23 lata nie nauczyliśmy się jeszcze pisać słów „Ojciec Święty”. Dopiero ostatnio jest pod tym względem lepiej. Bardzo często pisano „Ojciec” — z dużej litery, „święty” — z małej litery. Jest to oczywistym błędem, bo taki napis *zakłada świętość* papieża, świętość osobistą tak, jak święty Jan od Krzyża albo święta Teresa. „Ojciec Święty” — oba wyrazy trzeba pisać dużymi literami, bo to jest tytuł, sposób zwracania się, który utrwalił się w tradycji. Papież tego nie chce zmieniać. Przyjmuje to, i przyjmuje to z odwagą.

Tutaj wydaje mi się, że jeden z kluczy do wnętrza papieża to ten, że *on od samego początku, od pierwszego dnia jest papieżem*. To nie jest tak, że on się przyzwyczajał do bycia papieżem. To nie jest tak, że on jakoś grał, czy musiał wpisywać się w tę rolę. W momencie, kiedy powiedział „Tak” i od chwili, kiedy stanął przed kamerami na balkonie, a kamery przekazywały ten obraz na cały świat, cały świat zobaczył nowego papieża. Nowego nie tylko dlatego, że wybrano nowego człowieka. Nowego dlatego, że on sam miał wewnętrzną świadomość i wewnętrzną niezłomne przekonanie, że oto stał się Namiestnikiem Jezusa Chrystusa. Proszę zwrócić uwagę, że od tamtego momentu jest absolutnie wolny we wszystkim, co robi. I zachowuje się tak, jak zachowuje się człowiek świadomy swojej godności i swojej misji. A jednocześnie człowiek wolny, pełen ??.

Tuż po wyborze zachorował, i to bardzo ciężko, kardynał Deskur. Nazwisko jest jakby nie polskie, ale jest to polski kardynał, bardzo osobisty przyjaciel Jana Pawła II. I wkrótce po swoim wyborze Jan Paweł II udał się do szpitala. Gdy został postrzelony, gdy tylko odrobinę doszedł do siebie, nakazał zrobić pewną rzecz na terenie Watykanu. Jest taki zwyczaj, że każdy papież pozostawia po sobie pamiątki w Watykanie. Są to pamiątki noszące jego herb, jego imię. Jan Paweł II kazał zrobić noclegownię. Jest to pierwsze niewielkie pomieszczenie, w którym zbierają się rzymscy bezdomni, i przychodzą systematycznie od tamtej pory — my też już wiemy, co to znaczy — i są utrzymywani z osobistych pieniędzy papieża, jeżeli w ogóle można powiedzieć, że papież ma jakieś osobiste pieniądze. A więc z wielką troską — tak zachowuje się od początku. W ten sposób widzimy go w rozmaitych sytuacjach, w których papież do tej pory się nie pokazywali, nie byliśmy do tego przyzwyczajeni. Papież w każdej sytuacji jest sobą.

Ile razy Chrystus wzywa: „Nie lękajcie się!”, ma na myśli zawsze i Boga, i człowieka. Chce powiedzieć: *Nie lękajcie się Boga*, który, według filozofów, jest transcendentnym Absolutem. Nie lękajcie się Boga, owszem, mówcie do Niego wraz ze Mną: „Ojcze nasz”.

Jest z wykształcenia filozofem. Nie ma w języku polskim trudniejszych książek filozoficznych niż te, które napisał Karol Wojtyła. Napisał m.in. „Osoba i czyn”. I nie wiem, czy jest kilkanaście osób w Polsce, które przedarły się owocnie przez tę książkę. Myślę, że gdybyśmy ją zaczęli czytać dzisiaj, po kilkudziesięciu latach od jej ukazania się, to tylko naprawdę heroiczny ?? Ale ten papież patrzy na filozofię i do swojego rozmówcy puszcza oko, bo mówi tak.

Filozofowie nazywają Boga transcendentnym Absolutem. Ale, powiada papież, jakkolwiek nazywają Go filozofowie, to Bóg jest dla człowieka Ojcem. Świadomość, że Bóg jest Ojcem, pozwala nam pokonać, przewyciężyć lęki, które nas trapią. Jeden z owoców dzisiejszego tekstu powinien być taki. Żebyśmy dopuścili do głosu ten intymny, osobisty związek człowieka z Bogiem, który pozwala nam zapomnieć, że jest On Absolutem transcendentnym, wielkim, wspaniałym, a pozwala mówić do Niego: „Ojcze!” Skierowanie do Boga przewycięża lęk i otwiera nas na te możliwości, które Pan Bóg daje.

Nie lękajcie się mówić: Ojcze! Pragnijcie nawet być doskonali, tak jak On i dlatego, że On jest doskonały. Owszem — „Bądźcie więc wy doskonali, jak doskonały jest Ojciec wasz niebieski”.

To znaczy: przechodzimy na płaszczyznę, na wszystkie pytania można uzyskać odpowiedź rozum. Jeżeli tak przewyciężyć swoje lęki, także ten związany z moją papieską tożsamością — zwraca się do tych, którzy to czytają — jeżeli chcecie przewyciężyć swoje lęki przez tajemnicą, w której bierzecie udział, przed cierpieniem, przed śmiercią — najlepszym lekarstwem, mówi papież, ?? nawiązując głęboką, osobistą więź z Bogiem, która umożliwi nam najgłębszą wiarę i przewyciężenie tego lęku. Nie na drodze rozumowych kombinacji, ale na drodze modlitwy i zawierzenia Panu Bogu pokonuje człowiek to, co w życiu najtrudniejsze. I dalej:

Chrystus jest *sakramentem niewidzialnego Boga*. Sakrament oznacza obecność. Bóg jest z nami. Bóg nieskończenie doskonały, nie tylko jest z człowiekiem, ale sam stał się człowiekiem w Jezusie Chrystusie. *Nie lękajcie się Boga, który stał się człowiekiem!* To właśnie wypowiedział Piotr w pobliżu Cezarei Filipowej: „Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego”. Pośrednio mówił: Ty jesteś Syn Boży, który stał się człowiekiem. Piotr nie lękał się tego powiedzieć, chociaż słowa te nie pochodziły od niego. Słowa te pochodziły od Ojca. „Tylko Ojciec zna Syna i tylko Syn zna Ojca”.

To jest największa tajemnica naszej wiary. I mówi tak: Jeżeli chcemy mówić do Boga: „Ojcze” i jeżeli ta więź wiary ma pozostać ??, to musimy być świadomi, musimy pamiętać. Doświadczyl tego św. Piotr, wyznając to w wierze. Ale chrześcijanie tym różnią się od innych, że wyznają Boga, który nie tylko jest transcendentny, wspaniały, w niebie, daleko od nas, ale wyznają Boga, który stał się człowiekiem w Jezusie Chrystusie. I tutaj papież stawia także siebie, i stawia nas, wobec tego pytania: „Kim jest dla ciebie Jezus Chrystus?”

„Błogosławiony jesteś, Szymonie, synu Jony. Albowiem nie objawiły ci tego ciało i krew, lecz Ojciec mój, który jest w niebie”. Słowa, które wypowiedział Piotr, wypowiedział je w mocy Ducha Świętego. Kościół także te słowa stale w mocy Ducha Świętego wyowiada.

Zatem jeżeli ktoś wyznaje boską i mesjańską godność Jezusa Chrystusa, to czyni to umocniony i oświecony przez Ducha Świętego. W związku z tym ktoś, ktoś wyznaje Jezusa Chrystusa, i jest oświecony tą mocą Ducha Świętego, nie musi się niczego bać, ani nie musi się lękać. Powinien sobie uświadomić, że w swoim życiu nie jest sam, bo Bóg jest z nami. To On uzdalnia nas do tego niezwyklego wyznania wiary. Sami z siebie nie moglibyśmy takiego wyznania wiary złożyć. Zatem papież mówi: Kiedy odpowiadam na to pytanie, jak przeżywam to, że jestem papieżem, to muszę Panu powiedzieć, że czuję obecność Boga, który mnie wspomaga do tego, i uzdalnia do tego, abym swoją misję pełnił.

Tak więc Piotr nie lękał się Boga, który stał się człowiekiem.

I teraz mamy ciekawą myśl, jakże trudną.

Natomiast lękał się o Syna Bożego jako człowieka. Nie mógł bowiem przyjąć, iż będzie On biczowany i cierniem ukoronowany, i w końcu ukrzyżowany. Tego Piotr nie mógł przyjąć. Tego się lękał.

Tak dochodzimy do największej tajemnicy naszej wiary. W Jezusie Chrystusie Bóg stał się człowiekiem. To Piotr przyjął. Ale kiedy Jezus zapowiedział mu, że będzie cierpiał, że poniesie śmierć męczeńską, to wtedy, jak pamiętamy, Piotr zaprotestował. I wołał: „Nie przyjdzie to nigdy na Ciebie!” Ludzie wyobrażają sobie Boga tak, iż sądzą, że On zawsze zwycięża wtedy, kiedy wokół siebie możemy odkryć Jego splendor i wszechmoc. Że z Bogiem jest tak, jak z ludźmi. Jeżeli ktoś jest silny, to z mocą dochodzi swoich racji. I wyobrażamy sobie Pana Boga jako potężnego, który gromi swoich nieprzyjaciół, który poraża swoich wrogów. W gruncie rzeczy taki wizerunek Boga dominował w Starym Testamencie, zwłaszcza w Psalmach. Tam biblijny Izrael modląc się wyznawał wszechmoc Boga, który umiał dowieść swoich racji i umiał upomnieć się o swoje miejsce. A kiedy Jezus zapowiedział, że będzie cierpiał, to Piotr zaprotestował. Ojciec Święty powiada:

Tego Piotr nie mógł przyjąć. Tego się lękał.

Lękamy się zobaczyć moc Boga w słabości. Lękamy się dostrzec moc Boga w cierpieniu. Lękamy się dostrzec upokorzonego Boga. I Ojciec Święty zakończył tak:

I Chrystus za to Piotra surowo skarcił.

Pamiętamy, że skarcił go słowami: „Odejdź precz, szatanie! Bo nie myślisz o tym, co boskie, lecz o tym, co ludzkie”. Nikogo Jezus nie nazwał szatanem! Tylko samego Piotra wtedy, kiedy próbował Go odwieść od tej zbawczej misji. Ojciec Święty mówi więc, raz jeszcze przeczytam to zdanie, bo drugie zdanie jest absolutnie ???. Papież powiedział tak:

I Chrystus za to Piotra surowo skarcił. Ale go *nie odrzucił*.

Oto jest klucz do zrozumienia Boga w ???. Bóg człowieka upomina. Ale nikogo nie odrzuca. A więc ci wszyscy, którzy mają problem ze zrozumieniem obecności Bożej w sytuacji upokorzenia, cierpienia, niech pamiętają, że powinni mieć ??? Piotra, który miał dobrą wolę, i gorące serce. Zauważmy — papież filozof, człowiek, który całe życie spędzał nad książką i mądrymi przemyśleniami, nie mówił o rozumie — ale o Piotrze, który miał dobrą wolę i gorące serce. Być może Piotra wola i gorące serce wyprzedzają rozum, a może nawet go zastępują. Być może na samym rozumie polegać nie można. Jan Paweł II wypowiedział to później w swojej encyklice „Fides et ratio”, kiedy podkreślił, że człowiek na dwóch skrzydłach unosi się do Boga, tak jak ptak. A te dwa skrzydła to jest *rozum* i *wiara*. Nie ma ptaków, które mogłyby latać o jednym skrzydle. Samym rozumem do Boga dojść nie sposób. A i samą wiarą, może też ??? najlepiej i jedno i drugie znajduje dopełnienie. A dzieje się to wtedy, gdy człowiek ma dobrą wolę i gdy ma gorące serce. I dalej:

Nie odrzucił tego człowieka, który miał dobrą wolę i gorące serce. Tego człowieka, który w Ogrójcu jeszcze dobył miecza, aby bronić swego Mistrza. Jezus powiedział mu tylko: „Szatan pożył was — a więc i ciebie — aby przesiać was jak pszenicę, ale Ja prosiłem za tobą [...]. Ty nawróciwszy się, utwierdzaj swoich braci w wierze”. A więc Chrystus nie odrzucił Piotra, docenił jego wyznanie w okolicach Cezarei Filipowej i mocą Ducha Świętego przeprowadził go poprzez swoją własną mękę oraz jego własne zaparcie się.

Męka była Chrystusa, zaparcie było Piotra, ale z obydwu Piotr wyszedł zwycięsko prowadzony mocą Chrystusa. Jeżeli człowiek sądzi, że rzeczywistości wiary go przerastają, to papież mówi: „Pamiętaj, że nie jesteś sam! Z tobą jest Bóg. I to nie tylko ten Bóg odległy i transcendentny, ale Bóg w osobie Jezusa Chrystusa, który przeszedł przez mękę i śmierć poniósł krzyżową”. Jeżeli przystępując do komunii świętej masz pokusę zwątpienia, czy ta wielka święta tajemnica aby ciebie nie przerasta, to pamiętaj, że to zwątpienie można przemóc ze świadomością Bożego wsparcia i Bożej obecności, i obecności Jezusa Chrystusa, który cię usprawia do tego, aby przez wzgląd na Jego mękę i przez pamięć na Jego śmierć przemóc to, co najtrudniejsze. Do tego rozum nie wystarczy, potrzebna jest dobra wola i gorące serce.

Piotr, jako człowiek dowiedział, że nie jest zdolny pójść za Chrystusem wszędzie, a zwłaszcza na śmierć. Po zmartwychwstaniu jednak on był pierwszym spośród Apostołów, który przybiegł do grobu wraz z Janem, by stwierdzić, że nie ma ciała Chrystusowego.

Po zmartwychwstaniu też Chrystus potwierdził Piotrowi jego misję. Powiedział mu to w sposób bardzo wymowny: „Paś baranki moje! [...] Paś owce moje!” A przedtem pytał Piotra, czy Go miłuje. Piotr, który zapał się Chrystusa, nie przestał Go jednak miłować i mógł odpowiedzieć: „Ty wiesz, że Cię miłuję”.

Jeżeli się chwilę zastanowimy, jest to porażające. Proszę posłuchać: Piotr, który zapał się Chrystusa, nie przestał Go jednak miłować! A więc i ci, którzy idą drogą Piotra, i którzy w rozmaitych okolicznościach swojego życia, przynajmniej po ludzku sądząc,

Zmiana stron kasety

ufność, którą obdarza każdego człowieka. A więc niewierność ludzka, widziana tak z zewnątrz, nie zawsze oznacza brak Bożej miłości. Jakże dobrze papież musi znać serce człowieka! Jakże dobrze musiał głęboko zastanawiać się nad własnym życiem, żeby wypowiedzieć słowa tak głębokie. Przypomnę je raz jeszcze, bo *być może te słowa stanowią jedną z najcenniejszych myśli w naszej dzisiejszej refleksji.*

Piotr, który zapał się Chrystusa, nie przestał Go jednak miłować i mógł odpowiedzieć: „Ty wiesz, że Cię miłuję”.

Czy przypominają sobie państwo tę formułę, którą mówiłem przy innej okazji. Są dwie drogi życia, droga niewinności i droga nawrócenia. My zazwyczaj za drogę świętości uznajemy drogę niewinności. Ale i na drodze nawrócenia człowiek również, a może nawet daleko bardziej, spotyka Pana Boga. Dlatego, że doświadcza Jego przebaczącej miłości i miłosierdzia. Ileż razy zdarza się tak, że jeżeli przejdziemy na poziom najzwyczajniej ludzki — proszę mi wybaczyć taką szczerłość, nie odnoszę się do żadnej konkretnej sytuacji tylko do ogólnej sytuacji, ale jakże ukonkretnianej czasami w naszym życiu — że możemy zobaczyć ogromne pokłady wiary, miłości, zawierzenia, żalu, skruchy, otwarcia na przebaczenie u osób, które żyją w związkach niesakramentalnych, albo u osób, o których sądzić można, że odeszli od Boga. Kiedy człowiek popatrzy na to, co się dzieje w ukryciu, widać, że jest tam ta tajemnica, że wciąż Boga miłują, i być może głębiej niż ci, którzy idąc drogą niewinności nie zawsze umieją sobie cenić wielkość i głębię Bożego miłosierdzia.

Ale wtedy, kiedy Piotr zapewniał o miłości, papież mówi:

Ale nie powtórzył już: „Choćby mi przyszło umrzeć z Tobą, nie wyprę się Ciebie”.
To już nie była sprawa samego Piotra i jego zwykłych ludzkich sił; to pozostało sprawą Ducha Świętego, obiecanego przez Chrystusa temu, który miał Go zastępować na ziemi.

Jeżeli więc człowiek, nawet który wierzga przeciw Bogu, odkrywa w sobie pokłady miłości wobec Boga, niech nie sądzi, że to jest jego własna zasługa. W tym widać jest miłość Boga, który pierwszy nas umiłował. „Istotnie”, mówi dalej papież:

W dzień Pięćdziesiątnicy Piotr pierwszy przemówił do zgromadzonych Żydów i przybyszów z różnych stron, mówił o winie, jaką popełnili ci, którzy Chrystusa przybili do krzyża, oraz potwierdzał prawdę Jego zmartwychwstania. Wzywał też do nawrócenia i do chrztu. A więc dzięki działaniu Ducha Świętego *Chrystus mógł zawierzyć Piotrowi, mógł oprzeć się na nim*

I znowu dotykamy czegoś, co jest paradoksem. My mówimy „Człowiek wierzył w Boga”. A papież mówi: „Bóg wierzy człowiekowi”. A więc wiara religijna to jest spotkanie dwóch miłości: naszego Boga i ???. To, że możemy odpowiedzieć Panu Bogu z wiarą, dzieje się dlatego, ponieważ Bóg nam zawierzył. Jeszcze raz:

[...] dzięki działaniu Ducha Świętego *Chrystus mógł zawierzyć Piotrowi, mógł oprzeć się na nim* — na nim i na wszystkich innych Apostołach — wraz z Pawłem, który jeszcze wtedy był prześladowcą chrześcijan i nienawidził imienia Jezusa.

I mówi: Paweł jeszcze był prześladowcą Chrystusa. Ale do tego Pawła skierował słowa: «Pawle, Pawle, dlaczego Mnie prześladujesz?» I jeszcze jedno zdanie. A więc każdy z nas jest wezwany do tego, by zawierzyć Bogu.

Na tym tle, a jest to tło historyczne, wszystkie takie wyrażenia, jak „Zastępca Chrystusa”, „Wasza Świątobliwość”, „Ojciec Święty” — są mało ważne.

Słucha ich, bo taki jest ludzki obyczaj, ludzkie prawo, ludzki zwyczaj. Nie będzie zmieniał czegoś, co utrwalił język przez 2000 lat. Owe wyrażenia, słowa są mało ważne, papież ma tego świadomość.

Ważne jest to, co wynika ze śmierci i zmartwychwstania Chrystusa. Ważne jest to, co pochodzi z mocy Ducha Świętego. W tej dziedzinie Piotr, a wraz z nim inni Apostołowie, [...] stali się *autentycznymi świadkami Chrystusa aż do przelania krwi*.

Papież mówi więc: Nie jest ważne, jak się do mnie zwracacie. Ważne jest, abym ja, jako papież, mógł być wiernym świadkiem męki, śmierci i zmartwychwstania Chrystusa — aż do przelania krwi. Jeżeli popatrzymy na 13 maja 1981 roku to wiemy, że Jan Paweł II nie był w tym gołosłowny. Dał świadectwo wiary posuniętej aż do męczeństwa. Ale Pan Bóg przeprowadził go niejako przez śmierć, o czym w swoim wspomniałym wykładzie na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim mówił tak pięknie biskup Stanisław Dziwisz.

Ostatecznie więc Piotr jest tym, który nie tylko nie zaparł się już więcej Chrystusa, nie powtórzył swego nieszczęsnego: „Nie znam tego Człowieka”, ale *do końca wytrwał w wierze*. „Ty jesteś Mesjasz, Syn Boga żywego”. W ten sposób stał się „skałą”, chociaż jako człowiek był może lotnym piaskiem. *Skałą jest Chrystus sam*, a Chrystus buduje swój Kościół na Piotrze. Na Piotrze, Pawle i Apostołach. *Kościół jest apostołski w mocy Chrystusa*.

Papież więc mówi, że jego urząd, jego misja, jego posłannictwo, zbudowane zostały na wierze Piotra. I że dla niego najważniejsze są nie zwroty, których codziennie słucha, ale obowiązek świadczenia o Bogu, który stał się Człowiekiem, który umarł i zmartwychwstał. A powinnością papieża jest dać temu świadectwo aż do męczeństwa.

Tyle byłoby przemyślenia, które są przeznaczone na dzisiaj. Jeżeli udało mi się chociaż trochę ukazać państwu wewnątrz tego papieża, jego sposób myślenia, zawarty w jego własnych słowach, to byłaby wielka sprawa. Proszę zwrócić uwagę na liczne paradoksy w myśleniu papieża i na to, jak odkrywa on przed nami wciąż nowe drogi. Po tych drogach wielu wierzących w Jezusa jeszcze nigdy nie poszło. Ale jeżeli poznajemy te drogi, to z całą pewnością warto tą drogą pójść. Jest to droga zawierzenia Bogu i droga świadomości, że Bóg wierzy człowiekowi. Jest to również droga ??, że Piotr zaparł się Jezusa, ale to ostatnie słowo powinno należeć do miłości i do zawierzenia Panu Bogu.

Zapytacie mnie: „Jak ja przeżywam to, że jestem papieżem? To ja proszę Pana Boga o to, aby uzdolnił mnie do wiernego świadectwa Bogu, posuniętego aż do męczeństwa. Cały czas należę do Boga.

Oto jest odpowiedź, tak mówi papież na to: „Czy wierzę w to, kim jestem?” ?? głębsze świadectwo swojej misji. Będziemy kontynuować te myśli, te wątki, będziemy się im przyglądać, i będziemy starać się jeszcze głębiej papieża poznać. Na następne spotkanie zapraszam bardzo gorąco w drugi poniedziałek listopada.

Odmówmy za papieża modlitwę, którą on sam lubi, i którą odmawia codziennie, mianowicie „Anioł Pański”. To będzie również nasza wieczorna modlitwa. A świadomość tego, co dzisiaj usłyszeliśmy, niech nam naszą modlitwę ożywi.

Anioł Pański ... Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

2 Czy Bóg istnieje? Czy Bóg nie jest zbyt daleko od człowieka? (dn. 12 listopada 2001)

... żeby pojawiło się więcej tego otwarcia, które być powinno. Bo bez tego widzimy, że ten stosunkowo spokojny koniec XX wieku, mówię stosunkowo spokojny, bo zawsze gdzieś tam na świecie były różne wojny, że ten stosunkowo spokojny koniec skończył się, a weszliśmy w wiek XXI niestety nie najlepiej. Nie chodzi tutaj o to, żeby mnożyć czarne scenariusze ani je powiększać, ale chodzi o to jednak, żeby być realistą i obserwować to, co dzieje się w świecie. A tam, gdzie jest realizm, to u człowieka wierzącego jest również głęboka pewność polegania na Panu Bogu. I głęboka pewność, że dzieje świata zależą ostatecznie właśnie od Niego.

Posuwamy się dzisiaj krok dalej w naszej refleksji nad książką Jana Pawła II, nad jego odpowiedziami zawartymi w tej książce „Przekroczyć próg nadziei”. Dzisiaj zatrzymamy się nad dwoma pytaniami. One są najczęściej zadawanymi pytaniami różnym ludziom, i to są również zadawane pytania samym sobie. Pamiętam z własnego również życia, i z doświadczenia, że te pytania zazwyczaj pojawiają się w młodości. Potem wiek dorosły niesie swoje własne sprawy, a później, kiedy człowiek już powoli zbliża się do kresu, to znów pojawiają się podobne pytania, te, które staną się dziś przedmiotem naszych rozważań.

Mówiliśmy kilka tygodnie temu na pierwszym spotkaniu, że rozmówca Jana Pawła II, Vittorio Messori, najpierw zwrócił się do niego z niezwykle pytaniami, mianowicie: „Co to znaczy być papieżem? Czy Ojciec Święty wierzy, jest przekonany o tym, co sobą w świecie reprezentuje?” I zgłębialiśmy tamtą odpowiedź. Odpowiedź papieża, w której zawarta była ogromna pokora.

A teraz będziemy słuchali dwóch innych pytań, których papieżowi, o ile znamy pontyfikaty, nikt nigdy nie zadawał. A te pytania padły i Ojciec Święty je podjął i zobaczymy, jak na nie odpowiedział. Bo w tych świadectwach, w tych odpowiedziach wyraża się również świadectwo jego własnej wiary. I zastanawiamy się jaka jest ta wiara Jana Pawła II, jak on żyje. A skoro żyjemy ciągle w jego czasach, jesteśmy świadkami jego pontyfikatu, to na pewno łatwiej nam będzie, niż innym, skonfrontować także nasze własne dylematy i problemy z tym, co możemy widzieć, obserwować z pontyfikatu Jana Pawła II. Otóż Vittorio Messori zgłosił się do Ojca Świętego i po dłuższym wstępie, którego nie będę cytował, stawia papieżowi bardzo konkretne pytanie. Mianowicie mówi tak (Rozdz. 4):

Zacznijmy więc od początku: Ojciec Święty, chcąc pozostać — jeśli to możliwe, przynajmniej na razie — w perspektywie ludzkiej, czy człowiek może — i w jaki sposób — dojść do przekonania, że Bóg naprawdę istnieje?

Słyszeliśmy to pytanie — rodzice pewnie dziesiątki albo setki razy, nauczyciele również, katecheci — tysiące razy: „Czy Bóg istnieje? Czy możemy dojść do przekonania, że Bóg istnieje? Bo jeżeli Boga nie ma?” Tutaj wracamy do tradycyjnej odpowiedzi, którą kiedyś stary Żyd dał swojemu synowi, który zbuntował się. I zapewne dobrze będzie tytułem pewnego wstępu i pewnego humoru tę odpowiedź przytoczyć. Otóż syn przyszedł do ojca i powiada, że usłyszał w szkole, do której chodzi, że Boga nie ma. Ojciec nie buntował się, nie karcił, tylko zwrócił się do niego ze słowami krótkiej odpowiedzi:

Jeżeli Boga nie ma, to dzięki Bogu. Ale jeżeli Bóg jest, to nie daj Boże!

Otóż ta prosta formuła ujmuje, zdaje się, istotę sprawy, i chyba w taki sposób, w jaki postrzega ją Ojciec Święty. Mianowicie trzeba nam wiedzieć, że w odległej starożytności i gdzieś do czasów średniowiecza nie było problemu istnienia Boga. W starożytnym świecie nikt nie podnosił pytania, czy Bóg istnieje. Starożytny świat aż roił się od różnych bogów i bóstw. A ci, którzy tak, jak Izraelici, wierzyli w Boga jedynego, byli przekonani, że istnieje. I tylko tym różnili się od innych, że inni mieli wielobóstwo, a oni wyznawali Boga jedynego. W jednym z psalmów mamy nawet taką przedziwną reminiscencję tego stanu rzeczy. Mianowicie ten psalm rozpoczyna się od słów:

Nie ma Boga ...

Ale zaraz trzeba dodać:

... rzekł głupi w sercu swoim.

Otóż to jest podejście starożytnych — że mówienie, iż Boga nie ma, jest głupotą. Dlatego, że Bóg — tak utrzymywali starożytni — jest kimś bardziej oczywistym, niż człowiek. Można zwątpić w świat, w jego porządek. Można zwątpić w sens życia człowieka. Człowiek staje wobec rozmaitych kłopotów i wyzwań — ale nie Pan Bóg. Przypomnijmy sobie, że sam początek Pisma Świętego, pierwsza księga Biblii, Księga Rodzaju rozpoczyna się od słynnego zdania, które znamy bardzo dobrze, mianowicie:

Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię.

Zatem w Piśmie Świętym nie ma ani jednego słowa wątpliwości, nie ma ani jednego słowa wyjaśnienia — skąd Bóg, czy Bóg istnieje? Tylko na samym początku Pisma Świętego jest to niezłomne przeświadczenie, że istnieje Bóg, i że od Niego pochodzi świat stworzony. Ten stan rzeczy trwał w gruncie rzeczy przez całą starożytność, aczkolwiek w starożytnej Grecji rozległy się głosy, że bogów nie ma. Ale one nie tyle były protestem przeciwko Bogu jednemu, ile przeciwko wielobóstwu, które starożytnym filozofom greckim wydawało się co najmniej niemrawe i ryzykowne. Uważali oni, że ci wszyscy bogowie, i każdy z nich wezwany, powołany do ochrony nad rozmaitymi aspektami ludzkiego życia, że ci wszyscy bogowie nawzajem się wykluczają. Że oni są raczej odzwierciedleniem ludzkiego świata. Więc starożytni filozofowie zaczęli się buntować przeciwko tej mitologii greckiej i rzymskiej. Mówili, że świata bogów w takim znaczeniu nie ma. Ale nawet oni byli ludźmi religijnymi. Zatem religijność przynależała, jeżeli tak można powiedzieć, do istoty człowieka. Stanowiła samo sedno jego posłannictwa. Nie było wahań co do religijności.

To pytanie „Czy Bóg istnieje?” pojawiło się stosunkowo późno, pojawiło się mniej więcej w średniowieczu. I to jest bardzo dziwne, że pojawiło się w czasach, które uważamy za bardzo religijne. I po raz pierwszy próbował na nie odpowiedzieć — i właśnie to przywołuje Ojciec Święty Jan Paweł II — św. Tomasz z Akwinu, który żył w XI i XII wieku. Otóż papież odpowiadając na to pytanie „Czy Bóg istnieje?” powołał się zarówno na tę starożytną religijność — nie będziemy tego fragmentu czytać szczegółowo, ale nawiązał do tego starożytnego stanu rzeczy, oraz do św. Tomasza. Ojciec Święty zaczął od ważnego rozróżnienia. Mianowicie wskazał, że trzeba rozróżnić pomiędzy bogiem filozofów a Bogiem Jezusa Chrystusa. Co to znaczy? Otóż nawet jeżeli człowiek dojdzie do przekonania albo do wiary, że Bóg istnieje, ale nic nie wynika z tego dla jego życia, to konsekwentnie taka wiara, takie przekonanie nie znaczy zbyt wiele. Są bowiem ludzie, którzy twierdzą, że istnieje jakiś Absolut, Transcendencja, Ktoś Najwyższy, jakaś Istota, jakiś Duch — to wszystko pisane z dużych liter. Natomiast nie wynika z tego to, co jest najważniejsze, i to, co człowieka religijnego dotyczy najbardziej. Mianowicie: „Czy świat jako taki, i czy człowiek jako taki, obchodzi Pana Boga? Czy Pan Bóg jest zainteresowany nami?” I taki właśnie wizerunek Boga, który jest mocno zainteresowany człowiekiem, pojawia się na kartach Pisma Świętego Starego i Nowego Testamentu. Pismo Święte mówi nie tylko, że Bóg istnieje, tylko idzie dalej — że Bóg miłuje człowieka i że stworzył go dla Siebie. Bo miłość ma to do siebie, że wymaga wzajemności. A skoro tak, to właśnie Bóg spełnił Siebie w stworzeniu człowieka, i oczekuje od człowieka tej wzajemności, która i Panu Bogu przyniosłaby jakąś głęboką radość. Do tego wątku za chwilę wrócimy.

Więc w średniowieczu pojawia się to pytanie i papież powiada tak:

Św. Tomasz w pewnym sensie nie opuścił drogi filozofów.

Czyli nie opuścił drogi tych ludzi, którzy próbowali dociekać istnienia jakiegoś wyższego Absolutu, jakiejś Istoty przez duże I.

Zaczął *Summę teologiczną* od pytania: „An Deus sit?” — „Czy Bóg istnieje?”, to jest od tego samego pytania, które i Pan tutaj stawia.

zwraca się tak papież do dziennikarza.

I to pytanie okazało się bardzo potrzebne. To pytanie stworzyło nie tylko teodyceę, ale także i całą cywilizację zachodnią.

Otóż człowiek, który po raz pierwszy postawił pytanie „Czy Bóg istnieje?” w ten sposób zaczął szukać jakichś argumentów usprawiedliwiających istnienie Boga, i dających większe o Nim rozeznanie.

Drodzy państwo, jeżeli człowiek stawia sobie to pytanie, to nie jest jeszcze nic złego. Tutaj mówimy to również pod kątem rodziców, nauczycieli i wychowawców, pod kątem także ludzi dorosłych. Samo postawienie pytania „Czy Bóg istnieje?” wyzwala takie moce intelektualne i duchowe, dzięki którym człowiek zastanawia się nad swoją wiarą, zastanawia się nad Bogiem. Problem polega na tym, żeby w tych poszukiwaniach i w odpowiedzi na to pytanie człowiek starał się być rzetelny, starał się być uczciwy, starał się wydobycь wszystkie możliwości, które z tym pytaniem się wiążą. Otóż wiara również rodzi się z pytań i z poszukiwania. Jeżeli te poszukiwania są, to dzięki tym pytaniom i poszukiwaniom wiara staje się głębsza. Papież mówi:

Tak rodzi się teodycea.

Teodycea jest to nauka usprawiedliwiająca, jeżeli tak można powiedzieć, istnienie Boga, i starająca się Go zgłębić i lepiej poznać.

Ale z tego pytania rodzi się również cywilizacja zachodnia. Tzn. ta kultura, w którą i my wszczepieni jesteśmy, rodzi się z pytania „Czy Bóg istnieje?” Miliony ludzi, i to w każdym pokoleniu, starały się na to pytanie odpowiedzieć, i to na bardzo rozmaite sposoby. Właśnie z tego poszukiwania, z tego pytania o Pana Boga, rodziły się wielkie wynalazki, wielkie odkrycia. Jeżeli człowiek dokonywał czegokolwiek wielkiego, naprawdę wielkiego, to zawsze tam było pytanie o Pana Boga. Cały XIX wiek, cały wiek XX był wielkim pytaniem o Pana Boga. Ile razy dokonywano nowych odkryć, choćby elektryczności, choćby później rozbito atom, nowych technologii komputerowych, podboju kosmosu, podróz na Księżyc — wszędzie tam pojawiała się pytanie o Boga. I nie mogło być inaczej. Dlatego, że w konfrontacji ze sobą, ze swoim rozumem, widząc swoje nieogarnione możliwości człowiek widział jednocześnie ograniczenia. I widząc jedno i drugie pytał o Pana Boga. Przypomnijmy sobie najbardziej wymowne świadectwa zwłaszcza kosmonautów i rosyjskich, i amerykańskich, którzy wracali z kosmosu i dawali wyraz swojemu przeświadczeniu, że ta całość, którą widzieli jako jedyni na świecie, woła o Pana Boga i o Jego istnienie. To pytanie zrodziło całą zachodnią cywilizację.

Cywilizacja ta, rzekomo najbardziej rozwinięta, *poszła w rytmie tego pytania*. I chociaż dzisiaj, niestety, odłożono *Summę teologiczną* na półki, to jednak wyjściowe pytanie *Summy* trwa w naszej cywilizacji i nadal rozbrzmiewa.

Charakterystyczne, że to pytanie „Czy Bóg istnieje?” pojawia się w Europie, w Ameryce i w świecie tzw. zachodnim. Tego pytania nie ma ani w islamie, ani w judaizmie, ani w buddyzmie, ani w hinduizmie. Tam ludzie są, jeżeli tak można powiedzieć, z natury religijni. A w naszym kręgu kulturowym, cywilizacyjnym człowiek posunął się dalej. I papież mówi: „Nie jest rzeczą błahą, że te pytania stawiamy. I nic złego nie wynika z tego, że je stawiamy. problem tylko polega na tym, w jakim kierunku pójdziemy. I dodaje papież tak. Żeby zrozumieć, żeby poszukiwać odpowiedzi na to pytanie, trzeba cofnąć się do konstytucji soborowej *Gaudium et spes* — „Radość i nadzieja” Soboru Watykańskiego II.

Dokumenty soborowe, tak między Bogiem a prawdą, są w Polsce bardzo słabo znane, nie tylko wśród zwyczajnych wiernych, ale wśród duchowieństwa i wśród biskupów mało kto ma pojęcie o tym, czego sobór uczył. Pewnie jest tak dlatego, że przez kilkadziesiąt lat byliśmy zajęci innymi sprawami. Pewnie nie było czasu, żeby zgłębiać naukę soborową. Dlatego tym bardziej daje do myślenia to, że papież odwołuje się tutaj do nauczania Soboru Watykańskiego II. Przypomnę, że Sobór Watykański II miał miejsce w latach 1962 - 1965, czyli niecałe 20 lat po II wojnie światowej, kiedy to wyrosło nowe pokolenie tych, którzy już II wojny nie pamiętali i trzeba było w nowy sposób podejść do człowieka. I w tej Konstytucji Sobór pozostawił takie właśnie słowa:

Człowiek przyciągany wielu ponętami, musi wciąż wybierać między nimi i wyrzekać się niektórych. Co więcej, będąc słabym i grzesznym, nierzadko czyni to, czego nie chce, nie zaś to, co chciałby czynić. Stąd cierpi rozdarcie w samym sobie, z czego z kolei tyle i tak

wielkich rozdźwięków rodzi się w społeczeństwie. [...] Mimo to, wobec dzisiejszej ewolucji świata, z każdym dniem *coraz liczniejsi stają się ci, którzy bądź stawiają zagadnienia jak najbardziej podstawowe, bądź to z nową wnikliwością rozważają: czym jest człowiek;*

Papież zamiast podejmować dowody na istnienie Pana Boga, zamiast próbować przekonać swojego rozmówcę i nas, że Bóg istnieje, wskazuje na pewne rozdarcie, które istnieje w człowieku. Nie jest to rozdarcie nowe, bo wspominał o tym już św. Augustyn, człowiek jak wiemy, wielce zasłużony dla zgłębiania życia duchowego. Sam bardzo długo szedł drogą grzechu, i to takiego bardzo znaczącego — bo i odstąpił od wiary, i miał wiele innych przygód, których wyliczanie nie jest specjalnie pedagogiczne. Ale kiedy się nawrócił, to był już później w swoim nawróceniu tak gorliwy jak sam św. Paweł, również najpierw prześladowca, a później gorliwy wyznawca Jezusa Chrystusa. Jeden i drugi poszli drogą nawrócenia. Jeden i drugi wskazywali na to, że istnieje w człowieku charakterystyczne rozdarcie. Rozdarcie polegające na tym, że „będąc słabym i grzesznym nierządkiem czynię to, czego nie chcę, nie zaś to, co chciałbym czynić”. Myślę że każdy z nas doświadczył tego rozdarcia. Mianowicie mamy w sobie dobrą wolę z jednej strony, i chcielibyśmy pójść za tymi ideałami, które gdzieś tam, w naszym sumieniu, są wypisane, i dobrze wiemy jak powinniśmy postępować. Z drugiej strony czynimy to, czego nie chcemy. Jeżeli to rozdarcie w człowieku się pogłębia — wyjaśnia Ojciec Święty — to i skutek tego rozdarcia, i skutek niemożności odpowiedzi na to pytanie pogłębia się również pytanie o istnienie Pana Boga.

I tak dochodzimy niejako do tego rozumowania, które przedstawił ów stary Żyd swojemu młodemu rozmówcy. Mianowicie spora część ludzi gotowa jest twierdzić, że Pana Boga nie ma, dlatego, że z ich perspektywy, z perspektywy ich życia, po prostu lepiej jest, żeby Go nie było. Otóż tak dalece nie przystaje do ich życia, tak dalece kłóci się ze sposobem życia, który prowadzą, że wygodniej byłoby dla nich, gdyby wszystko kończyło się bez Pana Boga. Zatem Ojciec Święty pokazuje bardzo ciekawą intuicję. Można by ją streścić w ten sposób. Otóż człowiek z natury jest religijny, i człowiek zazwyczaj nie ma pytań o Pana Boga. Te pytania pojawiają się wtedy, kiedy nasze życie nie przystaje do ideału takiego, jaki dobrze znamy, ale nie jesteśmy w stanie w ten sposób żyć. Otóż wtedy rodzi się w nas to wielkie napięcie, w skutek którego byłoby lepiej, żeby Pana Boga nie było.

Czy tak jest? Tu musimy się zastanowić. Musimy się zastanowić przede wszystkim w tym, co dotyczy naszego własnego życia. To jest bardzo ciekawe zastanawiać się, czy są ludzie którzy z jednej strony stawiają sobie pytanie o istnienie Pana Boga, ale z drugiej strony — i to jest ważniejsze — czy są tacy ludzie, którzy mogą z całą pewnością wiary, bo i oni też wierzą, mówić że Pana Boga nie ma? Wiele razy wskazywaliśmy na to, że jedni wierzą że Bóg istnieje, drudzy wierzą że Boga nie ma. Ale czy można tak bardzo łatwo, jak wierzących, spotkać również tych którzy wierzą, że Boga nie ma? Wspominałem o tym państwie kiedyś, o pewnym człowieku, którego spotkałem dość dawno temu w Rzymie, i który mówił że wierzy, że Boga nie ma. I że zazdrości wszystkim wierzącym, bo nasze życie musi być łatwiejsze. A on zмага się z samym sobą i nosi w sobie czarną rozpacz. Nosi w sobie jakąś straszliwą czarną dziurę, i nie może tego przezwyciężyć. Więc prosił Pana Boga, żeby jeżeli Pan Bóg istnieje, dał mu jakiś znak, choćby mały. Ale tego znaku, przynajmniej do tamtej pory, nie otrzymał. To jest bardzo ciekawe, ta postawa, ta sytuacja ludzi, którzy wierzą że Boga nie ma. Tu nie możemy polegać — wracam do myśli, którą kiedyś przedstawiłem — na obiegowych stwierdzeniach, jak to nieraz młody czy dorosły człowiek mówi: „Oh, Pana Boga nie ma!” i na tym sprawę kończy. W takich przypadkach nie chodzi o przeświadczenie, że Boga nie ma, tylko chodzi o zwyczajną obojętność. Po prostu — czy On jest, czy Go nie ma — mnie to nie interesuje. A obojętność, to też trzeba mocno podkreślić, jest znacznie gorsza, znacznie bardziej brutalna, znacznie bardziej niebezpieczna niż niewiara. Obojętność bowiem, tak jak w każdej dziedzinie życia, może zabijać. Zatem jeżeli już ktoś dochodzi do niewiary, to być może pod wieloma względami jest to sytuacja lepsza, niż sytuacja obojętności. Z tą drugą sytuacją, obojętności, mamy niestety częściej do czynienia, niż z sytuacją niewiary. Zauważmy, że jedna i druga ma swoje źródło nie tyle w jakiś zewnętrznych przesłankach, ile we wnętrzu człowieka. Papież powiada, że jeżeli nasze życie rażąco różni się od ideałów, które poznaliśmy, to wtedy i nasze myślenie o Bogu natrafia na trudności. I dalej Ojciec Święty konkluduje to pytanie w ten sposób:

Widać z tego soborowego dokumentu jasno, że *odpowiedź na pytanie: „An Deus sit?”*

jest nie tylko sprawą intelektu, jest również sprawą całej ludzkiej egzystencji.

Drodzy państwo, mogę powiedzieć z licznych rozmaitych doświadczeń, że te słowa Ojca Świętego są głęboko prawdziwe. Nie udało się jeszcze — przynajmniej ja nie znam takich przypadków — nikomu przekonać kogoś rozumowymi racjami, logiką do istnienia Pana Boga. Opracowywano wprawdzie rozmaite dowody na istnienie Pana Boga, wskazywano na związki pomiędzy przyczynami, a skutkami. Mówiono, że jak w świecie każdy rezultat musi mieć przyczynę, tak również świat jako taki musi mieć swoją pierwszą przyczynę, czyli Pana Boga. Ale nic z tego jeszcze dla wiary religijnej naprawdę się nie zrodziło. Wspominałem też kiedyś ten najbardziej podstawowy przykład, że mamy przecież różne dowody na istnienie Pana Boga, ale żadnej z tych ksiązek kapelan nie weźmie do szpitala, i nie czyta jej na łóżku chorego. To nie jest tak, że jeżeli ktoś ma wątpliwości co do istnienia Pana Boga, i do Jego dobroci, to otwieramy taką ksiązkę i przez lekturę dochodzimy do niezłomnego przekonania, że Bóg istnieje. To nie sprawa intelektu! Człowiek to nie jest tylko rozum. Uznanie Pana Boga, przewyciężenie tego pytania, jest sprawą całej ludzkiej egzystencji. Stąd istnieje bardzo silny związek pomiędzy wiarą a sposobem życia, pomiędzy wiarą a moralnością. Pomiędzy tym, że Bóg istnieje, a tym, że człowiek stara się żyć tak, iżby w tym życiu widać było pamięć o tym istnieniu. Papież dodaje tak:

Zależy od wielorakich sytuacji, w których człowiek szuka znaczenia i sensu tejże egzystencji.

Otóż żeby dojść do Pana Boga, sugeruje Ojciec Święty, człowiek musi zastanawiać się nad sobą. Tylko człowiek, który szuka sensu swojej egzystencji, znaczenia tego, co przeżywa, znaczenia różnych wydarzeń, które mają miejsce w naszym życiu, ten człowiek w sposób łatwiejszy i pewniejszy dochodzi do Pana Boga. Nie rozum się zatem liczy, ale całe życie. I w tym życiu otwartość na Pana Boga, który jest życzliwy człowiekowi.

Być może państwo pamiętają, jak to kiedyś w szkołach w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych na katechizacji były takie próby. Młodzieży, która pytała „Czy Bóg istnieje?” katecheta poddawał wizerunki różnych sławnych uczonych, poczynając od starożytnych, średniowiecznych, następnie dziewiętnasto- i dwudziestowiecznych z takimi sławami jak Einstein, czy Volta, czy Amper itd. Wszyscy oni byli ludźmi religijnymi, więc konkluzja była taka: „Jeżeli oni, tacy mądrzy, byli ludźmi religijnymi, to co dopiero ty, młody człowieku! Naśladuj ich w ich mądrości!” Otóż było to podejście, które z jednej strony szło na skróty, ale z drugiej strony pokazywało, że uznanie Pana Boga to nie jest tylko sprawa rozumu, ale to jest sprawa głębokiej mądrości, która bardzo często ma związek z darem rozumu. Ale bywa tak, że mądrość, którą człowiek osiąga, wcale nie jest mądrością rozumu, ale jest mądrością serca. I wielu z nas dochodzi do Pana Boga nie przez mądrość racji i argumentów, ale przez mądrość serca i sposobu życia. Dzieje się więc zazwyczaj tak, że człowiek dobry nie ma wielkich problemów z wiarą i nie ma wielkich kłopotów z odpowiedzią na pytanie, czy Bóg istnieje. Ponieważ Bóg jest w niego wpisany tak jak wszystko, czego dokonuje w swoim życiu. Pan Bóg jest jednym z elementów jego życia.

I tak dochodzimy do pierwszej dzisiaj, bardzo ważnej — chociaż jak zawsze to, co ważne, jest zarazem proste — więc bardzo prostej konkluzji. Że jeżeli chcemy żyć w przeświadczeniu wiary, że Bóg istnieje, to powinniśmy starać się żyć po Bożemu. Czyli powinniśmy starać się żyć, jak mówi polskie słowo, pobożnie. Otóż taką ochroną przed niewiarą jest właściwy sposób życia. Natomiast jeżeli człowiek ryzykuje w życiu w sposób, który nie ma związku z Bogiem, to ryzykuje jednocześnie pytania i wątpliwości, które się w nim pojawiają. Bo wtedy lepiej jest, przynajmniej z jego perspektywy, żeby Boga nie było.

Czy więc Bóg istnieje? Ojciec Święty odpowiada:

Jest to sprawa odpowiedzi na to pytanie całym ludzkim życiem, całą ludzką egzystencją.

Otóż do tego dochodzi się przez wszystko, czym człowiek jest, i jak człowiek żyje. Wydaje się że jest to prosta odpowiedź, ale jakże istotna w ustach papieża, który jest jednym z nas.

Po tym pytaniu i po tej odpowiedzi Vittorio Messori przeszedł do następnej kwestii. Mianowicie zwrócił się do Ojca Świętego z takim pytaniem (Rozdz. 6): No dobrze,

A więc Bóg istnieje.

Opuszczam fragment pytania. Ale konkluzja jest następująca: *Czy nie byłoby rzeczą prostszą, gdyby istnienie Boga było bardziej oczywiste? Dlaczego Pan Bóg tak się ukrywa przed człowiekiem, skoro istnieje? Nie mógłby dać nam wyraźniej do zrozumienia, że istnieje? Nie mógłby nas mocniej przekonać do swojej obecności w świecie i do samego faktu, że istnieje?*

Bardzo ciekawe postawienie sprawy. Myślę, że każdemu z nas od czasu do czasu przychodzi do głowy. Dlaczego Pan Bóg jest tak niewidoczny? No dobrze, jest duchem. Ale nawet będąc duchem nie mógłby zapukać do drzwi naszego serca i sumienia, i powiedzieć: „Tu jestem!”? Papież podjął i to pytanie. Ojciec Święty mówi tak: To pytanie powracało zawsze. Nie jest ono pytaniem stawianym wyłącznie dzisiaj, ono pojawiała się również na kartach Pisma Świętego, pojawiała się u starożytnych ludzi z których każdy chciał, każdy domagał się od Pana Boga, żeby Pan Bóg był bardziej widoczny w ludzkim życiu, albo co najmniej żeby bardziej przekonująco ukazywał ludziom swoje istnienie. Więc ludzie zawsze mieli taką pokusę. Wtedy, kiedy był świat pogański, próbowali tych rozmaitych bogów przybliżyć do siebie sporządzając ich podobizny, i usiłując ich na rozmaite sposoby sobie podporządkować. Kiedy pojawiła się wiara w Boga jedynego, sytuacja się nieco zmieniła, bo ten Pan Bóg jest zupełnie niewidzialny. Ale też ludzie zaczęli mieć pretensje do Pana Boga, że Go nie widać, i że powinien być widoczny. Tu przypomnijmy sobie pewną prawdę, która ma związek z tekstem Pisma Świętego. Zwracano na tę prawdę uwagę w długiej tradycji judeochrześcijańskiej

<<zmiana stron kasety>>

„Nie będziesz Go malował, nie będziesz Go rzeźbił”. My wiemy, że ponieważ w Kościele w katolickim wydaniu istnieją przedstawienia Pana Boga, nawiązujące zresztą do Jezusa Chrystusa, więc to przykazanie jest trochę omijane. Z tym mamy mnóstwo trudności, już kiedyś o tym mówiliśmy. Dlatego, że ile razy próbujemy sobie Pana Boga przedstawić, a zwłaszcza przedstawić Go dzieciom, to tyle razy mnożymy rozmaite trudności, które później ci ludzie mają. Wyobraźmy sobie, przypomnijmy sobie — jeżeli katechetka daje małemu dziecku zeszytek, książkę, i tam są tylko kontury przedstawiające stworzenie świata, i tam jest zajaczek, myszka, królik, konik, hipopotam, słoń, i wszystko inne, a obok stoi starzec w długiej szacie, z długą brodą. I katechetka pyta dzieci: „Kto to?” „To jest Pan Bóg!” „No to teraz weźcie kredki i malujcie Pana Boga.” Dzieci biorą kredki i malują szatę podobną do tej, które widzą w telewizji, w jakiej chodzą Arabowie. Ta szata ma rozmaite kolory. A potem katechetka mówi: „Pan Bóg jest duchem niewidzialnym.” No to po co Go malować? Po co Go przedstawiać? Jak duch niewidzialny może mieć, powiedzmy, brązową, długą szatę i wyglądać jak franciszkanin? Albo niebieską, czy czerwoną, czy żółtą? To samo jest z aniołami, dla przykładu. Mówiliśmy o tym wielokrotnie — uczymy dzieci, że aniołowie to są duchy niewidzialne, a następnie, choćby nad łóżkiem dziecka mamy obrazek: mostek, rzeczka, dziewczynka i chłopczyk i anioł ze skrzydłami pilnuje, żeby oboje przeszli bezpiecznie na drugą stronę. Otóż sama ta myśl, bardzo piękna, i sama ta koncepcja, niesłychanie wzruszająca, ma tę jedną słabość, że ten anioł ani tak nie wygląda, ani tak wyglądać nie może — skoro w ogóle nigdy ciała nie miał.

Wróćmy do Pana Boga i do Jego bliskości bądź odległości, czy nie-bycia nawet, nieobecności w świecie. Pan Bóg dał przykazanie: „Nie będziesz sporządzał żadnego wizerunku Pana Boga swego.” I jednocześnie Pan Bóg jako jedyny i jako pierwszy to przykazanie pogwałcił. Bo w Księdze Rodzaju czytamy, że gdy stworzył świat i poszczególne elementy tego świata, to wtedy zastanawia się i mówi:

Uczyńmy człowieka na Nasz obraz, podobnego Nam

I następuje tekst:

Stworzył więc Bóg człowieka na swój obraz,
na podobieństwo Boga go stworzył
stworzył mężczyzną i niewiastą.

Zatem w świecie, w którym Bóg zabronił sporządzania wizerunków Boga, jedynym obrazem Boga jest człowiek. I to człowiek w różnicowaniu płci. Dlatego, że tekst hebrajski nie zostawia

żadnej wątpliwości: „Stworzył na obraz Boga”, stworzył nie „mężczyznę i kobietę”, tylko trzeba to po polsku przełożyć: „mężczyznę i kobietę”. Mężczyzna i kobieta to są dwa oblicza człowieczeństwa. Dwa oblicza, w których spełnia się człowiek jako taki. Zatem jeżeli do istoty ludzkiej płciowości należy cielesność, to i ludzka cielesność w jakiś przedziwny sposób jest odwzorowaniem Pana Boga. Chociaż Pan Bóg nie ma ciała, i chociaż Pan Bóg jest duchem absolutnym, to w wyglądzie człowieka, w ludzkiej cielesności i płciowości jest odwzorowany wizerunek Pana Boga. Tutaj nawet w długiej tradycji komentowania tego tekstu szło się dalej. Tę myśl podjął niedawno Jan Paweł II w jednej ze swoich katechez, i uznano to za jedną z najbardziej przełomowych myśli obecnego pontyfikatu. Jan Paweł II powiedział tak:

Jeżeli człowiek jest obrazem Boga, jest nim jako mężczyzna i kobieta, zatem we wzajemnej miłości, we wzajemnej więzi mężczyzny i kobiety spełnia się, czy uwidacznia się, znajduje wyraz to, że Bóg jest miłością. W ten sposób ludzka cielesność i ludzka płciowość byłyby dla człowieka odwzorowaniem Boga, który jest miłością.

Tego nikt w katolickiej tradycji, w chrześcijańskiej tradycji do tej pory tak nie mówił. Dlatego, że z tego wynikają niezwykle istotne konsekwencje dla przeżywania ludzkiej cielesności, dla przeżywania małżeństwa, i dla wszystkiego, co ma związek z ludzką płciowością i cielesnością.

W ten sposób, myślę, że zrobiliśmy sobie wstęp do prawdy, o której mówi Ojciec Święty wtedy, kiedy chce odpowiedzieć na pytanie, dlaczego Bóg jak gdyby się ukrywa. Dlaczego, jak to powiedział Messori: „Czy nie byłoby rzeczą prostszą, gdyby Jego istnienie było bardziej oczywiste?” Otóż w jaki sposób Bóg objawił się człowiekowi? Papież mówi tak:

Bóg objawił się człowiekowi najpierw przez to, że człowieka stworzył. I w każdym stworzonym przez Boga człowieku znajdujemy odbicie, odzwierciedlenie Boga, który jest miłością. Człowiek jest obrazem Boga. Nie szukaj więc Boga gdzieś w zaświatach. Tam Go nie znajdziesz, bo znaleźć nie możesz, bo On przynależy do innej rzeczywistości. Szukaj Go w sobie, i szukaj Go w drugim człowieku. Tajemnica człowieka powinna prowadzić do tajemnicy Boga. Refleksja nad człowiekiem, myśl nad człowiekiem powinna nam odsłonić bezmiar Pana Boga. Tajemnica dobra i miłości, które są złożone w sercu człowieka, jest niczym innym jak obrazem, jak wizerunkiem miłości Pana Boga. Nie mógłby człowiek — tłumaczy papież — być ani dobry, ani sprawiedliwy, ani miłosierny, czy nie mógłby praktykować miłości, gdyby nie Ten, który go stworzył i który jest miłością.

Zatem, raz jeszcze to podkreślam, bo jest to paradoks myślenia Jana Pawła II, kiedy szukasz Pana Boga i szukasz Go daleko od siebie, próbujesz dojść do Niego na rozmaite sposoby to szukaj Go najpierw w sobie i szukaj Go w drugim człowieku. Bo w nich, to znaczy w każdym z nas, zawiera się obraz Boga. Ale to nie wszystko. Otóż Bóg, który stworzył człowieka, powołuje go do życia ze sobą. Ale człowiek, tłumaczy papież, popadł w grzech. W człowieku pojawiło się rozdarcie, człowiek zbuntował się przeciwko Panu Bogu. Bóg, który jest miłością, nie mógł tak człowieka zostawić. Co to znaczy widać zwłaszcza na przykładzie rodziców, którzy jeżeli są prawdziwie dobrymi, nigdy nie zostawiają swojego dziecka w sytuacji, która wydaje się być absolutnie beznadziejna. Oni zawsze wierzą w to, że można zaczynać od nowa. Bóg też nieustannie wierzy człowiekowi, że człowiek może zacząć od nowa. Ale co to znaczyło: „Zaćnąć od nowa”? Otóż znaczyło to, że Pan Bóg nie tylko zawarł w człowieku tę swoją iskrę, nie tylko człowiek jest Jego obrazem i wizerunkiem, ale chcąc przewyciężyć to rozdarcie, które w nas się pojawiło przez grzech, i chcąc ukazać nam swoją bliskość, swoją obecność i chcąc potwierdzić, że nasza wiara ma sens, to Bóg sam stał się człowiekiem. A więc najpełniejsze objawienie Pana Boga,

samo-objawienie się Boga łączy się z Jego ucłowieczeniem.

To są bardzo głębokie słowa. I to jest bardzo głębokie nauczanie i bardzo głębokie patrzenie, wręcz mistyczne. Coś takiego wymaga w gruncie rzeczy codziennej refleksji. Rzeczywiście, jeżeli się zastanowimy, że w osobie Jezusa Chrystusa Bóg stał się człowiekiem, zatem nie możemy mieć do Boga pretensji, że stał się niewidoczny, tylko musimy szukać drogi do Boga przez Jezusa Chrystusa. I to na dwa sposoby:

- przez Jezusa Chrystusa, który żył na ziemi;

- przez Jezusa Chrystusa, który żyje w swoim Kościele.

Ale papież określa to jeszcze odważniej. To czego dokonał Pan Bóg, czyli to, że Bóg stał się człowiekiem, nazwał „prowokacją ze strony Boga”. Ta

prowokacja pochodzi od Boga samego. Bo przecież On naprawdę stał się człowiekiem w swoim Synu, i narodził się z Dziewicy, i właśnie w tym narodzeniu a w szczególności poprzez mękę, krzyż i zmartwychwstanie, samo-objawienie się Boga w dziejach człowieka osiągnęło swój zenit: objawienie się niewyraźnego Boga w widzialnym człowieczeństwie Chrystusa.

Zatem Bóg nie jest daleko od każdego z nas. Bo każdy z nas stanowi Jego obraz i wizerunek, a możemy Go odnaleźć i rozpoznać w Jezusie Chrystusie. Jeżeli chcemy wiedzieć, kim jest Pan Bóg, jakie są Jego drogi, to drogą do Pana Boga jest Jezus Chrystus. To jest tak jak ci Grecy, którzy w czasach Jezusa przybyli do Jerozolimy na święto, znaleźli następnie Apostołów, bo wiedzieli, gdzie Jezus przebywa, przyszli do jednego z Apostołów, Filipa, i powiadają: „Słuchaj, pomóż nam dostać się do Jezusa, bo tam jest mocno zajęty.” Filip mówi: „W porządku! Dobrze! Proszę bardzo. A co chcecie?” „Chcemy po pierwsze Go zobaczyć, a po drugie wysłuchać, co On ma do powiedzenia o Bogu.” I przychodzą do Jezusa i zwracają się do Niego z pytaniem: „Pokaż nam Ojca!” W spotkaniu z Jezusem dają poznać, że mają w sobie bardzo głęboki głód Pana Boga.

Papież podjął ten wątek w swoim najnowszym liście, wydanym 6 stycznia, „Novo millennio ineunte”. Powiada tak: „Ten sam głód rodzi się w każdym człowieku dzisiaj.” Pokaż nam Ojca! Jak wygląda Pan Bóg? Gdzie On jest? Gdzie Go można odnaleźć? I odpowiedź zawsze jest ta sama: Można Go odnaleźć w Jezusie Chrystusie. Ale jak Go odnaleźć w Jezusie Chrystusie? A papież odpowiada: „Można Go odnaleźć poprzez świadectwo tych, którzy już w Jezusa Chrystusa uwierzyli, i już Jezusem Chrystusem żyją.”

Takie perspektywy papież daje nam na progu nowego, rozpoczętego właśnie XXI stulecia. Przypomina wierzącym, że każdy z nas jest odpowiedzialny za to, żeby współczesnemu człowiekowi pokazać oblicze Pana Boga. Że nasza wiara ma wspomagać tych, dla których wiara w Boga jest trudna i dla których obecność Boża w świecie nie jest taka jednoznaczna. Czyli raz jeszcze popatrzymy, że droga do Pana Boga prowadzi, wiedzie przez człowieka, tutaj — przez człowieka wiary. I z tego powodu papież zwracając się do wierzących mówi: „Najważniejszym zadaniem, które przed nami staje na progu tego nowego stulecia i nowego tysiąclecia, jest to, aby być wiarygodnymi świadkami oblicza Boga w Jezusie Chrystusie. Oblicza, która także jest obliczem Cierpiącego i Zmartwychwstałego.” Ten wątek podejmiemy kiedy indziej, kiedy raz jeszcze do tych myśli wrócimy.

Ale każdy z państwa, kto tego słucha, może sobie pomyśleć tak: to są bardzo wzniosłe, ale jakże trudne myśli. I to jest święta prawda. Nie wszyscy przez ten prog nadziei przechodzą. Są tacy, którzy wręcz się przeciwko tej obecności Pana Boga w drugim człowieku, i obecności Boga w Jezusie Chrystusie, buntują i protestują. Którzy podnoszą swój radykalny sprzeciw i wołają głośno: „Nie!” I papież jest tego świadomy. Ojciec Święty powiada tak: „Można by oczekiwać, iż Pan Bóg mógł pójść jeszcze dalej. Ale czy mógł pójść jeszcze dalej?” Nie sposób tych słów streścić, trzeba je po prostu przytoczyć. Papież mówi:

Czy jednak — starajmy się być bezstronnymi w naszym rozumowaniu — Bóg mógł pójść dalej w swoim zbliżaniu się do człowieka, do jego ludzkiej kondycji, do jego możliwości poznawczych?

A więc czy Bóg mógł uczynić jeszcze więcej niż to, że stał się człowiekiem? Czy na przykład nie byłoby dobrze, żeby każdy z nas, kiedy tylko ma na to ochotę albo wątpliwości, żeby poczuł przy sobie palec Boży? Może by nam to zaoszczędziło wielu wpadek?

Papież odpowiada:

Wydaje się, że Bóg poszedł najdalej, jak tylko mógł, dalej już iść nie mógł. Poszedł w pewnym sensie za daleko!... Czyż Chrystus nie stał się „zgorzeniem dla Żydów a głupstwem dla pogan”? Właśnie przez to, że Boga nazywał swoim Ojcem, że tego Boga tak bardzo objawiał sobą, iż zaczęto odnosić wrażenie, że za bardzo!... W pewnym sensie człowiek nie mógł już tej bliskości wytrzymać i zaczęto protestować.

Tak dochodzimy do kolejnego ważnego paradoksu. Chcielibyśmy mieć Pana Boga bliżej siebie, chcielibyśmy Go odczuwać bardziej namacalnie, chcielibyśmy być ciągle przekonani, że On istnieje i że ma realny wpływ na nasze życie. Ale kiedy Pan Bóg jest zbyt blisko człowieka, człowiek tego nie może znieść. W osobie Jezusa Chrystusa i w Jego posłannictwie znalazła wyraz nie tylko wiara w Niego, ale także odrzucenie Go. Przypomnijmy sobie te epizody, w Jerozolimie i nie tylko w Jerozolimie, kiedy to przychodzili do Jezusa różni ludzie i pytali Go: „A kim Ty jesteś? Za kogo Ty siebie masz?” Jezus daje im poznać, że jest kimś, kto pochodzi od Boga. A oni mówią: „Kim ty siebie robisz? Pięćdziesięciu lat jeszcze nie masz, a Abrahama widziałeś? Ty mówisz o sobie takimi słowami, jakbyś był Bogiem?” I chwyтали za kamienie, żeby Go ukamienować. Otóż w człowieku, którego widzimy — buntujemy się przed myślą, że może w nim być obecny żywy Bóg. Już nie jako obraz i wizerunek tego Boga, ale jako jego Wcielenie. Jezus też spotkał się z protestem. Pan Bóg już dalej iść nie mógł — tłumaczy papież. Pan Bóg dokonał to, co przesądziło iż poszedł w pewnym sensie nawet za daleko. Stał się dla nas człowiekiem. Jeżeli człowiek odnajduje w Jezusie Chrystusie Pana Boga, to jest to to, o co Bogu chodziło. Jednocześnie w Jezusie Chrystusie spełnia się jakiś protest wobec Pana Boga. Bo ludzie zaczynają wołać: „To Panu Bogu nie przystoi!” Przenoszą więc na Pana Boga coś, co znamy dobrze z naszych ludzkich stosunków. Nie przystoi, żeby król, żeby prezydent, żeby ktoś ważny wyglądał tak i wykonywał takie posługi. Mamy swój własny wizerunek ludzi i ich funkcji, i mamy swój własny wizerunek Boga. Bóg dla nas niech będzie Bogiem pełnym majestatu, ale nie tym, żeby w jakimś człowieku objawiał siebie i swoją moc. Papież dodał, że ten protest, na który natrafił Jezus, został zinstytucjonalizowany. Że to nie była tylko reakcja pojedynczych ludzi, ale stała się to reakcja całych wspólnot. Papież dodaje tak:

Ten wielki protest nazywa się naprzód Synagogą, a potem Islamem. I jedni i drudzy nie mogą przyjąć Boga, który jest tak bardzo ludzki. Protestują: „To nie przystoi Bogu”. „Powinien pozostać absolutnie transcendentny, powinien pozostać czystym Majestatem — owszem, Majestatem pełnym miłosierdzia, ale nie aż tak, żeby sam płacił za winy swojego stworzenia, za jego grzech”.

Właśnie w Jezusie Chrystusie, w sporze wokół Jezusa Chrystusa, rozchodzą się nie tylko drogi wierzących i niewierzących, ale rozchodzą się również drogi wierzących w Boga. Właśnie w Jezusie Chrystusie, który jest prawdziwym człowiekiem i prawdziwym Bogiem, dzięki Niemu, rodzi się wiara tych, którzy tak jak my, chrześcijanie, przyjmujemy w Nim żywą obecność Boga, ale rodzi się także protest. Jest to protest Żydów, którzy pozostają dzisiaj Synagogą, zaprzeczając możliwości stania się przez Boga człowiekiem w Jezusie, i jest to protest islamu, muzułmanów, którzy też mówią, że Bóg jest absolutny, transcendentny, święty, ponad światem i poza światem, i nie mógł stać się człowiekiem. Żydzi mówią, że Jezus był nieudanym prorokiem. Muzułmanie mówią, że Jezus był udanym prorokiem. Ale i jedni i drudzy nie przechodzą tego progu wiary, który mogłby ich pociągnąć ku tej obecności żywej i prawdziwej Boga w Jezusie Chrystusie.

Zauważmy więc, że kiedy człowiek stawia pytanie, czy Pan Bóg nie powinien nam bliżej odkryć siebie, to Bóg już na to pytanie człowieka odpowiedział w Jezusie Chrystusie. I okazało się, że człowiek też tej odpowiedzi nie podjął. Że podjęli ci jedni, którzy uwierzyli, ale podjęli równie liczni, którzy tej wiary nie przyjęli. Więc jedni i drudzy, i wyznawcy judaizmu, i islamu, nie mogą przyjąć Boga, który jest tak bardzo ludzki. Właśnie to jest jakby kamień zgorszenia, o który potykają się i Żydzi, i muzułmanie — Bóg, który w Jezusie stał się człowiekiem.

To jest właśnie ta specyficzna cecha religii chrześcijańskiej, która odróżnia nas, i to absolutnie, od tamtych religii. My wszyscy wyznajemy Boga jedyne. Ale tylko my, chrześcijanie, wyznajemy, że Bóg w Jezusie stał się człowiekiem objawiając nam siebie i swoją miłość. Żydzi gotowi są przyznać tak jak my, że człowiek jest obrazem Pana Boga. Ale nie pójdą tak daleko, iżby powiedzieć, że Bóg stał się człowiekiem. Do czego doszło? W czym tamte religie wskutek tego różnią się od naszej? Otóż różnią się od naszej także i tym, że jedna i druga religia, judaizm i islam, to są religie szczepowe, plemienne. Judaizm jest religią Żydów, islam jest religią Arabów. Chrześcijaństwo, które za fundament ma Jezusa Chrystusa jako Syna Bożego, jest religią wszystkich ludzi. Każdy może być chrześcijaninem niezależnie od narodowości, od koloru skóry, od rasy. Wspominaliśmy o tym wielokrotnie, że kiedy do rabina przychodzi człowiek, który nie jest Żydem, i mówi, że chce przyjąć judaizm, rabin mu to stanowczo odradza. Kiedy do imama w islamie przychodzi człowiek, który nie

jest Arabem, i powiada, że chce przyjąć islam, imam mu to stanowczo odradza. Ale kiedy do księdza przychodzi człowiek i powiada, że chce przyjąć chrześcijaństwo, ten się cieszy, i po jak najszybszym przygotowaniu bierze go do siebie. Zwróćmy uwagę zatem, że przyjęcie czy nieprzyjęcie Jezusa Chrystusa rzuciło również światło na samą naturę religijności, na samo przeżywanie religijności. To właśnie dzięki temu, że Bóg stał się człowiekiem w Jezusie Chrystusie, bliźnim chrześcijanina jest każdy człowiek. Bliźnim Żyda jest drugi Żyd, bliźnim Araba jest drugi Arab, a bliźnim naszym jest każdy, również Żydzi i Arabowie.

Jeżeli nawiążemy do współczesnej konfrontacji, to możemy zrozumieć, że istota tych napięć, z którymi teraz mamy do czynienia, które istnieją, w dużej mierze mają swoje źródła i korzenie w Ziemi Świętej i na Bliskim Wschodzie. Tam bowiem odbywa się konfrontacja i religijna i etniczna zarazem. A ponieważ ona nie może być zbyt widoczna, do tej konfrontacji wciągany jest również świat zachodni, również chrześcijanie. Ale wobec tej konfrontacji, która się odbywa i która kosztuje życie tylu tysięcy istnień ludzkich, my chrześcijanie, dlatego, że wierzymy w Jezusa Chrystusa, musimy jednocześnie głośno mówić, że naszymi bliźnimi i braćmi są wszyscy ludzie, a więc i ci, którzy cierpią tam, kimkolwiek są — Żydami czy Arabami, jednakowo. Jeżeli tego chrześcijańskiego wymiaru, obecnego przez Jezusa Chrystusa, nie ma, to wtedy rozlega się protest: „To nie przystoi Bogu! Nie przystoi Bogu, żeby Bóg stał się konkretnym człowiekiem. A jeżeli Bóg pozostanie tylko transcendentny, czystym majestatem, jeżeli Bóg jest daleko poza światem, to wtedy jak gdyby granice pomiędzy ludźmi, granice wytyczone również przez przynależność rasową i religijną, te granice się powiększają. Bóg, który stał się człowiekiem w Jezusie Chrystusie, przełamuje granice pomiędzy ludźmi. Dlatego chrześcijaństwo, które odwzorowuje Boga, który jest Miłością, samo powinno być religią miłości i miłosierdzia.

Zwróćmy zatem uwagę na sam koniec, że to, o czym mówi Ojciec Święty, jest tak niesłychanie istotne, niesłychanie ważne. Że pozwala nam lepiej zrozumieć siebie, pozwala również lepiej zrozumieć to, co się w świecie dzieje. Z tego powodu, chociaż nie są to treści łatwe, dobrze jest wziąć je sobie do serca i mieć żywą świadomość tego powołania, któremu winniśmy sprostać jako chrześcijanie.

Więc dwa pytania dzisiaj:

Czy Bóg istnieje? I odpowiedź: Istnieje, bo widzisz Go w sobie i w drugim człowieku. Nie istnieje wtedy, kiedy twoje życie jest rażąco odmienne od tego, jakim chciałbyś być, jakim powinieneś być.

Czy Bóg nie jest zbyt daleko od człowieka? I odpowiedź: Nie jest zbyt daleko, bo obrazem Boga jest każdy człowiek. A ponadto Bóg stał się człowiekiem. Jeżeli więc chcesz poznać Boga, przyglądaj się sobie i drugiemu człowiekowi. Jeżeli chcesz zgłębić, kim jest Bóg w swoim miłosierdziu i miłości, patrz na postać Jezusa Chrystusa. I nie gorsz się, że są tacy, którzy przeciwko temu się zbuntowali. Bo ta prawda jest trudna. I właśnie dlatego, że jest trudna, tym bardziej jesteśmy zobowiązani do wierności tej prawdzie.

Dziękuję państwu bardzo. Na następną konferencję zapraszam za trzy tygodnie, 3 grudnia.

Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

3 Dlaczego „historia zbawienia” jest tak skomplikowana? Czy Bóg-Ojciec rzeczywiście potrzebował krwawej ofiary swego Syna, by nas zbawić? (dn. 3 grudnia 2001)

Jest to spotkanie ostatnie w tym roku kalendarzowym. Witam państwa bardzo, bardzo serdecznie. Przedmiotem naszej refleksji, jak państwo dobrze wiedzą, jest książka „Przekroczyć próg nadziei” Jana Pawła II — rozmowy z Janem Pawłem II, które przeprowadził Vittorio Messori na początku lat dziewięćdziesiątych, a więc prawie dziesięć lat temu. Staramy się jakby poznać duszę papieża, jego sposób myślenia, jego sposób myślenia o Bogu, również jego sposób przeżywania Pana Boga. Ale staramy się także podczas tegorocznych spotkań zastanowić się nad swoją własną wiarą, i być może poszukać odpowiedzi na takie pytania, które nosimy w sobie. Myślę że niektóre z tych pytań mają to do siebie, że nie mamy nawet odwagi je sobie stawiać, a coś dopiero szukać odpowiedzi. W tej książce słyszymy takie bardzo odważne pytania, skierowane wprost do Ojca Świętego z nadzieją, że papież podzieli się swoim doświadczeniem wiary. I rzeczywiście Jan Paweł II dzieli się tym doświadczeniem wiary chrześcijańskiej. Pokazuje nam, w jaki sposób można również *przekroczyć próg nadziei*, która z tą wiarą jest nierozłącznie związana, i która z tej wiary wynika.

Temat dzisiejszy jest trudny, podobnie jak są trudne albo bardzo trudne inne tematy, które mieliśmy w tym roku, oparte na tej książce, oraz takie, do których jeszcze wrócimy, które będziemy mieli. W ogóle wiara w Pana Boga, jeżeli traktuje się ją poważnie, nie jest sprawą łatwą — bo ona dotyczy naszego całego życia i sięga najgłębszych pokładów naszego serca i sumienia. Jeżeli więc chcemy naprawdę zgłębiać swoją wiarę, to musimy pokonać rozmaite poziomy lenistwa, i musimy również dołożyć pewnego wysiłku, który nie jest tylko wysiłkiem intelektualnym, rozumowym — bo ten przychodzi niektórym dużo łatwiej — ale jest pewnym wysiłkiem duchowym, a ten przychodzi każdemu człowiekowi dość trudno. Bo ten wysiłek duchowy wymaga od nas przełamywania się przez różne poziomy naszej świadomości a także wymaga tego, żebyśmy popatrzyli szczerze, rzetelnie na swoje własne życie, zarówno to teraz, jak i to, które było, i na to, które ewentualnie nas jeszcze czeka — a to też nie jest sprawa bardzo prosta, jeżeli chcemy być uczciwi.

Pytanie, które dzisiaj stawia dziennikarz, jest bardzo ciekawe. Myślę, że każdy z państwa wcześniej czy później do tego pytania dochodził. Jest to pytanie typowo biblijne. Jeżeli więc w tym roku nasze konferencje jakby od Pisma Świętego odchodzą, to na każdej z tych konferencji wracamy do ksiąg świętych, a dzisiaj otrzymamy za chwilę taką *syntezę spojrzenia na Pismo Święte i na przedstawioną w nim historię zbawienia*.

Vittorio Messori zwraca się do Ojca Świętego z następującą kwestią. Mówi tak (Rozdz. 8):

Korzystając ze swobody, jaką mi Ojciec Święty daje, proszę pozwolić o zadanie dalszych pytań, które mogą wydawać się dość osobliwymi.

Zwracałem uwagę państwa już dwa miesiące temu, że nikt jeszcze do tej pory w historii papieżstwa nie przeprowadził takiej rozmowy z papieżem. Otóż Ojciec Święty rzeczywiście daje dziennikarzowi pewną swobodę myślenia, i pewną swobodę w podejściu do wiary, i do problemów z wiarą związanych. Wygląda na to, że ten dziennikarz jakby z godziny na godzinę stawał się coraz śmielszy. Wygląda na to, że pytania są coraz bardziej odważne, i że jednocześnie są coraz trudniejsze. My chyba takich pytań, chociaż nosimy je w sobie, to jednak głośno nie stawiamy. To będzie brzmiało tak:

Są to jednak pytania, które – jak Wasza Świątobliwość sam zauważył – stawiam w imieniu licznych współczesnych nam ludzi.

Za moment wysłuchamy tego pytania i proszę się zastanowić, czy i kiedy państwo sobie to pytanie stawiali. Zapowiem z góry, że jeżeli ktoś rzetelnie twierdzi, że takie pytanie sobie w życiu stawiał, to w moim przekonaniu swoją wiarę traktuje poważnie. Otóż dziennikarz zapytał:

Wobec orędzia ewangelicznego zdają się oni nieraz pytać: dlaczego „historia zbawienia”, jak nazywają ją chrześcijanie, jest tak skomplikowana? Czy Bóg-Ojciec rzeczywiście potrzebował krwawej ofiary swego Syna, by nam przebaczyć, by nas zbawić?

Muszę państwu powiedzieć, że chociaż to pytanie pojawiało się we mnie kiedyś po rozpoczęciu studiów teologicznych, później przy ich pogłębianiu, to nigdy nie przychodziło mi do głowy, żeby takie pytanie zadawać komuś ze swoich nauczycieli. Wydawało mi się, że jest zbyt słaby, żeby na nie odpowiedzieć, tzn. nie miałem zaufania, że pośpieszy z odpowiedzią, która może być wyczerpująca. Wydawało mi się, że jest to takie pytanie, że odpowiedź na nie przerasta możliwości człowieka, bo i samo pytanie jest bardzo śmiałe. Powtórzę:

Czy Bóg-Ojciec rzeczywiście potrzebował krwawej ofiary swego Syna, by nam przebaczyć, by nas zbawić?

Jednym słowem, czy Pan Bóg nie mógł nas zbawić w jakiś inny sposób? Może łżej, albo nawet radośniej? Czy potrzebna była ta ofiara krwawa Jezusa Chrystusa na Golgocie, abyśmy mogli dostąpić zbawienia? Myślę, że po wysłuchaniu tego pytania każde z państwa, kiedy zastanowi się, to stwierdzi, że w gruncie rzeczy to pytanie, tę kwestię, tę wątpliwość nosiło w sobie.

Tylko problem polega na tym, że bardzo często żeśmy nawet samo to pytanie od siebie odpychali, albo pomijali milczeniem czując, że chyba nie damy rady stanąć w prawdzie wobec kwestii tak trudnej, jak ta. Posłuchajmy, jak na to pytanie odpowiedział Ojciec Święty. Odpowiedział na to pytanie w dwóch częściach. Co do pierwszej — moglibyśmy się w ogóle nie spodziewać, że ona będzie przebiegała w tym kierunku. Zacytuję tylko niektóre fragmenty, ponieważ odpowiedź papieska jest nieco dłuższa, i miejscami — trzeba powiedzieć — jest bardzo trudna. Papież zaczął tak:

Pańskie kolejne pytanie dotyczy *historii zbawienia*, najgłębszego sensu zbawienia odkupieńczego. Zaczniemy od spojrzenia na *dzieje myśli europejskiej już po Kartezjuszu*.

Zwróćmy uwagę, że Ojciec Święty rozumiejąc, że to pytanie jest bardzo prowokujące, że to pytanie nosi w sobie człowiek wierzący, ale że to pytanie również stawiają nie-chrześcijanie — przyglądając się religii chrześcijańskiej pytają, czy rzeczywiście ta krwawa ofiara Syna, w którą wierzymy, była potrzebna Ojcu — papież ogląda się wstecz i patrzy, jak na to pytanie próbował odpowiedzieć człowiek w przeszłości. Ale człowiek, który stoi jak gdyby z boku tej problematyki, który stara się tę problematykę zracjonalizować. Mówiąc inaczej, jak na to trudne pytanie starał się odpowiedzieć człowiek, który kieruje się wyłącznie rozumem.

I tu stawiamy zaraz pytanie dodatkowe, kwestię dodatkową. Mianowicie *Ojciec Święty daje nam w ten sposób do myślenia, że musimy się zastanowić, czy na tak postawione pytanie da się w ogóle rozumowo odpowiedzieć*. Czy to jest kwestia dla rozumu, czy być może jest to kwestia dla głębszych i dla innych tajników naszego człowieczeństwa? Papież mówi:

Dlaczego wysuwam tu na plan pierwszy Kartezjusza? Nie tylko dlatego, że jest on początkiem nowej epoki w dziejach myśli europejskiej, ale także dlatego, że ten jeden z największych filozofów, jakiego wydała Francja, zainaugurował *wielki zwrot antropocentryczny w filozofii*.

Pojęcie jest trudne, natomiast sprawa jest prostsza. Mianowicie Ojciec Święty powiada, że wraz z Kartezjuszem, który żył kilkaset lat temu, nastąpił pewien zwrot w myśleniu człowieka europejskiego, Europejczyka. Ten zwrot polegał na tym, że w myśleniu o sobie, o świecie, o Bogu — czyli w filozofii, a filozofia jest umiłowaniem mądrości, czyli w całej mądrości rozwijanej przez ludzki rozum nastąpił zwrot antropocentryczny. Antropos — *człowiek*, centrum — *środek*. Zwrot antropocentryczny polega na tym, że oto w środku swojego rozumowania, w środku swojego myślenia, człowiek postawił sam siebie. Że człowiek uznał siebie za najważniejszą istotę na świecie. Tego, mówi papież, do czasów Oświecenia, do czasów Kartezjusza nie było. Otóż wtedy myślenie o świecie było zasadniczo religijne, teologiczne. Tzn. byli ludzie, którzy wierzyli w Boga jedyne, byli poganie, którzy wyznawali rozmaite bóstwa — ale jedni i drudzy byli ludźmi religijnymi.

Na czym polega nowość związana z Oświeceniem? Że oto w miejsce Boga pojawił się człowiek. Że człowiek zajął miejsce Boga. Że człowiek uznał, że nie musi już dłużej na Bogu polegać, a nawet — że Go nie potrzebuje. To nie znaczy, że człowiek zanegował wyłącznie istnienie Boga, nie. Jedni co prawda zanegowali istnienie Boga, ale byli tacy, i na to bardzo często zwracamy uwagę, którzy

stwierdzili, że to, czy Bóg istnieje, czy Bóg nie istnieje, to ich w gruncie rzeczy nie obchodzi. Twierdzili, że może nawet Bóg istnieje ale i tak najważniejszym sensem, najważniejszym przesłaniem jest człowiek, tzn. każdy, którzy nad tymi problemami myśli.

Zwróćmy uwagę, że Ojciec Święty nazywa to „zwrot antropocentryczny w filozofii”. Czyli zogniskowanie się, skupienie się na człowieku. I dodaje: *Myślę, więc jestem* — mówi papież cytując słowa Kartezjusza —

to program nowożytnego racjonalizmu.

Otóż ten racjonalizm, musimy to sobie wytłumaczyć, zrodził się ze zwątpienia. I kiedy człowiek myśli o Bogu, to również tę postawę zwątpienia bardzo często przenosi na Pana Boga. I nie przyjmuje Objawienia Bożego takim, jakim ono jest, nie przyjmuje Pana Boga takiego, jaki On objawia siebie na kartach Pisma Świętego i w ludzkich dziejach — tylko wątpi. I uważa człowiek współczesny, karmiony taką mentalnością, że samo wątpienie jest cnotą. Mało tego — uważa, że u podstaw wszelkiej nauki, i u podstaw wszelkiego światopoglądu jest właśnie programowe zwątpienie.

Otóż jeżeli tak się mają rzeczy ze współczesnym człowiekiem, to Ojciec Święty sugeruje, że w tej współczesnej mentalności można w gruncie rzeczy zwątpić we wszystko. I że są tacy, którzy podważają wszystko na samym początku. A jeżeli tak, to ich cały światopogląd, ich całe myślenie o człowieku, o świecie, o Panu Bogu jest względne, relatywne. To znaczy nie sądzą, żeby istniała jakakolwiek wiążąca opinia, jakikolwiek pogląd wspólny, nie uznają autorytetu, nie uznają czegoś, co wyznają wszyscy inni — ponieważ programowo podchodzą do całej rzeczywistości, i do rozmaitych jej aspektów właśnie z tym zwątpieniem, które w sobie noszą. I to, jak sugeruje Ojciec Święty, przenoszą również na Pana Boga.

Cały racjonalizm ostatnich stuleci, czy to w wydaniu anglosaskim, czy później kantyzm, heglizm oraz filozofia niemiecka XIX i XX wieku razem z Husserlem i Heideggerem — to wszystko jest poniekąd dalszy ciąg i rozwój poglądów kartezjańskich.

Sam Ojciec Święty cytując te wielkie autorytety filozoficzne pokazuje pewną wspólną drogę współczesnego człowieka, zakorzenioną w myśleniu racjonalistycznym, polegającym wyłącznie na rozumie i karmionym zwątpieniem. Otóż do czego Ojciec Święty zmierza? Można już teraz powiedzieć tak. Kiedy Pan Bóg objawia siebie na kartach Pisma Świętego, kiedy pokazuje siebie jako Miłość, która sama siebie ofiaruje, kiedy objawia siebie jako Ojca, Syna i Ducha Świętego, kiedy dokonuje się krwawa ofiara Jego Syna, to człowiek chrześcijanin aż do czasów Oświecenia przyjmował to z wiarą. Natomiast od czasów Kartezjusza pojawiła się mentalność, gdzie i te podstawowe prawdy naszej wiary zostają zakwestionowane. Zakwestionowane, dodajmy, nie dla tego, że one przerastają ludzki umysł, albo że są z tym umysłem niezgodne, lecz zakwestionowane dlatego, ponieważ zwątpienie stało się częścią naszego światopoglądu. Ponieważ wątpiwości stały się niejako programem współczesnego człowieka pojedynczego, i programem współczesnych zbiorowości, i współczesnych całych społeczeństw.

Jeżeli tak — tu musimy sobie myślenie Ojca Świętego nieco streścić — to wprawdzie są różne drogi, które prowadzą do Boga, które prowadzą do istnienia Pana Boga, które potwierdzają to istnienie Pana Boga, ale programowe zwątpienie powoduje, że nawet jeśli coś jest oczywiste, to i tak zostaje przez współczesnego człowieka zakwestionowane. Zatem Pan Bóg również. Samo Jego istnienie jest zakwestionowane, albo — jeżeli nawet Bóg istnieje — to człowiek żyje tak, jakby Boga nie było.

Ojciec Święty mówi dalej tak: „W ten sposób

znajdujemy się na progu *nowoczesnego immanentyzmu i subiektywizmu*.

Są to słowa bardzo trudne, ale rzeczywistość znów jest prostsza. Mianowicie znajdujemy się na progu takiego przekonania, w którym w gruncie rzeczy każdy uważa, że może wierzyć i przyjmować to, co mu jest wygodne, to co jest dla niego subiektywnie ważne — i na tym może poprzestawać. Zatem te tradycyjne wyobrażenia o Panu Bogu i ta wiara w Boga, utrwalona przez wiele stuleci, przez wiele pokoleń, na progu epoki nowożytnej została poddana w wątpiwość. Każdy pojedynczy

człowiek ma taką tendencję do tego, żeby swój punkt widzenia monopolizować, absolutyzować, i żeby swój punkt widzenia uznać za najważniejszy. W ten sposób pojawia się taka mentalność, takie myślenie, które możemy bardzo często znaleźć w dzisiejszych gazetach, czasopiśmie: ty masz swoją prawdę, ja mam swoją prawdę, ktoś jeszcze inny ma swoją prawdę. Wobec tego żyjemy obok siebie w zgodzie, bo nigdy nie dojdziemy do tego, jaka jest Prawda przez duże P, ponieważ takiej Prawdy nie ma. A nawet jeżeli ona istnieje, to i tak każdy z nas ma na jej temat swoje własne subiektywne wyobrażenie. W ten sposób traci się z pola widzenia dążenie do prawdy, natomiast absolutyzuje się i podkreśla swój własny punkt widzenia i swoje własne przekonania. W ten sposób duchowe, tłumaczy Ojciec Święty, a w szczególności moralne dziedzictwo chrześcijaństwa, zostało wyrwane ze swojego podłoża ewangelicznego, do którego trzeba go znów doprowadzić, aby odnalazło swoją pełną żywotność. Więc Jan Paweł II tłumaczy nam, że na progu czasów nowożytnych filozofowie, a za nimi człowiek współczesny, odszedł od religii Objawienia, odszedł od uznania autorytetu Boga, samego siebie monopolizując i swój punkt widzenia uznając za najważniejszy.

Ktoś z państwa pomyśli, że na razie Ojciec Święty nie odpowiada bezpośrednio na pytanie, które postawił dziennikarz. Ponieważ dziennikarz pytał, dlaczego Pan Bóg zbawił świat i ludzkość w tak skomplikowany sposób. Dlaczego Pan Bóg potrzebował krwawej ofiary Swojego Syna, żeby człowiek mógł być zbawiony? Otóż o tym, że Bóg dokonał zbawienia w taki a nie inny sposób, wiemy z kart Pisma Świętego. Ojciec Święty mówi, przez wieki ta wiara była przyjmowana jako coś oczywistego. Ale kiedy współczesny człowiek zakwestionował, podał w wątpliwość, różne aspekty rzeczywistości, to również podał w wątpliwość takie działania Pana Boga, jakie przez kilkanaście stuleci wspólnie wyznawali nasi przodkowie. Otóż dalej Ojciec Święty pointuje tę część rozważań mówiąc tak:

Racjonalizm oświeceniowy wyłączył prawdziwego Boga, a w szczególności Boga Odkupiciela poza nawias.

A więc to pytanie, które my stawiamy, nabiera również nowego znaczenia w świetle tego przyzwyczajenia do kwestionowania wszystkiego, do podawania wszystkiego w wątpliwość. Poczynając od XVIII w., od czasów oświeceniowych, jakby wyłączono prawdziwego Boga – tak jak On się objawia człowiekowi, natomiast zaczęto myśleć o Panu Bogu i zaczęto wyznawać Pana Boga tak, jak każdy z nas Go sobie wyobraża. A więc w sposób, który każdy z nas uznaje za stosowny. Cóż to oznacza? Oznacza to, że człowiek powinien żyć i kierować się tylko własnym rozumem tak, jakby Bóg nie istniał.

W ten sposób Ojciec Święty wskazuje na upowszechnienie się w dzisiejszym świecie, zwłaszcza w Europie, w krajach bogatych, ale i w naszej Ojczyźnie, takiego właśnie przekonania, takiego przeświadczenia, że ludzie nie zastanawiają się czy Bóg istnieje, czy Bóg nie istnieje, czy to jest ważne, czy nie ważne — tylko żyją tak, jakby On nie istniał, jakby Go w ogóle nie było. W ten sposób stawiają jakby siebie w miejsce Pana Boga.

Nie tylko wypada poznawać świat obiektywnie, tak jakby Bóg nie istniał, gdyż założenie istnienia Stwórcy czy Opatrzności nie jest nauce na nic potrzebne, ale trzeba również postępować tak jakby Bóg nie istniał, to znaczy tak, jakby Bóg się światem nie interesował.

Takie jest podejście współczesnego człowieka. Zarówno w teorii, jak i w praktyce, zostawia się Pana Boga w Jego własnym świecie, natomiast człowiek próbuje obyć się bez Boga. Jeżeli więc taki jest współczesny człowiek, sugeruje Ojciec Święty, to przyjęcie prawdy chrześcijańskiej wiary o Bogu, który się objawia i udziela człowiekowi, o Bogu, który dał swojego Syna, jest tym trudniejsze, ponieważ ten człowiek po-oświeceniowy jakby zamyka się na Boga i na to, kim Pan Bóg naprawdę jest. Koniec tej części rozważań jest taki:

Racjonalizm oświeceniowy mógł się zgodzić na Boga pozaświatowego, zwłaszcza że jest to tylko pewna niesprawdzalna hipoteza. Konieczne jednak było, by takiego Boga wyeliminować ze świata.

Chyba nie ma głębszej analizy tego, co się dokonało w XVIII - XIX w. niż te słowa papieskie. Jan Paweł II ma niesłychaną zdolność do syntezy i kilka ostatnich wieków naszego rozwoju zostało tutaj zebrane bardzo krótko. Ojciec Święty wskazuje na to, że dzisiejszy człowiek może się zgodzić na istnienie jakiegoś Boga pozaświatowego — zwłaszcza, jeżeli to traktuje jako niesprawdzalną hipotezę. Ale bardzo mu zależy na tym, żeby takiego Boga wyeliminować ze świata. I dwie ideologie, które zrodziły się na tym podłożu, które były najbardziej brutalnymi ideologiami, jakie kiedykolwiek знаła ludzkość — to jest w Rosji komunizm, i w Niemczech hitlerowski narodził się socjalizm. Jedna i druga próbowała wypchnąć Boga poza ten świat. Nie to żeby Go kwestionować, aczkolwiek zdarzało się, zwłaszcza w ujęciu komunistycznym, że z Bogiem walczone. Ale bardziej jeszcze Go po prostu przemilczano.

Jeżeli się więc Pana Boga wypycha poza nawias tego świata, jeżeli się programowo o Nim milczy albo programowo w Niego wątpi, to i przyjęcie tego Boga, który objawia się nam na kartach Pisma Świętego, tego Boga, którego wyznajemy w naszej wierze, jest straszliwie trudne. Czyli — żeby to powiedzieć raz jeszcze, ale z innej strony — Ojciec Święty mówi, że zanim odpowiemy na to pytanie jak zrozumieć, na tyle na ile to jest możliwe, sedno chrześcijańskiej wiary, to musimy sobie uzmysłwić, że zasadnicza trudność tkwi w człowieku. W człowieku, który chce absolutyzować, uogólniać i przeforsować swój własny punkt widzenia i który niechętnie chce widzieć miejsce Boga we współczesnym świecie. W człowieku, który wątpi w istnienie Boga, albo w człowieku, który stwierdza, że Pan Bóg go nie obchodzi. W tym miejscu dziennikarz powiedział tak:

„Słucham z wielką uwagą tego wywodu filozoficznego. W jaki sposób jednak łączy się on z pytaniem, jakie zadałem Waszej Świątobliwości na temat „historii zbawienia”?”

Otóż Vittorio Messori jest cały czas bardzo przytomny. Myślę, że i państwo do tej pory nie znaleźli odpowiedzi na to pytanie, postawione przez dziennikarza na początku. Ale Ojciec Święty stworzył pewien fundament, na którym można zbudować całą resztę. Otóż każda dziedzina — i teologia również — ma to do siebie, że najpierw trzeba mieć dobre podstawy, tak jak fundamenty domu, żeby można było później zbudować dom. Nie sposób na trudne pytania udzielać łatwych odpowiedzi. Łatwe odpowiedzi to są tylko wykręty. Natomiast jeżeli pytanie jest trudne, to odpowiedź może być to, że samą sztuką i uprawianiem teologii jest stawianie mądrych pytań. Jeżeli bowiem człowiek stawia mądre pytania, to zabezpiecza go to przed powierzchownymi bądź głupimi odpowiedziami. A skoro tak, to już może powiedzieć, że w swoim myśleniu o sobie i o Bogu uczynił znaczący krok naprzód.

A więc jak to się ma do tego pytania o historię Zbawienia? A papież mówi:

Chcę właśnie do tego dojść.

Jest to więc rozmowa, żywa rozmowa dziennikarza z Ojcem Świętym.

Chcę właśnie do tego dojść. Poprzez tego rodzaju program myślenia i postępowania racjonalizm oświeceniowy godzi w całą *chrześcijańską soteriologię*, czyli refleksję teologiczną o zbawieniu (po grecku: *soteria*).

Proszę zwrócić uwagę, że Ojciec Święty stawia sprawę jasno. Chrześcijańska soteriologia (soter — znaczy zbawca, zbawiciel, *soteriologia* — nauka o zbawieniu) zakłada pewne elementy. Mianowicie:

- Bóg stworzył człowieka dobrym,
- człowiek żył w niewinności,
- człowiek źle wykorzystał swoją wolność, i zgrzeszył,
- ale Bóg nie zostawił człowieka samemu sobie,
- Bóg prowadził ludzkość ku zbawieniu,
- przygotowywał na przyjście Swojego Syna,
- Zbawicielem okazał się sam Syn Boży, który dla nas i dla naszego zbawienia przyjął mękę i śmierć krzyżową,
- Jezus Chrystus zmartwychwstał, Jezus Chrystus żyje.

Oto synteza chrześcijańskiej soteriologii. Ale papież mówi tak. Skoro współczesny człowiek wątpi w istnienie Boga, skoro współczesny człowiek chciałby postawić Pana Boga poza światem, nic dziwnego, że kwestionuje wszystkie poszczególne elementy tej soteriologii, i że podważa również całość chrześcijańskiej nauki o zbawieniu. Jeżeli bowiem ktoś programowo kwestionuje Pana Boga i Jego istnienie, to rzecz jasna przenosi te wątpliwości także na sposób działania Boga w historii.

Stąd sugestia Ojca Świętego jest następująca. W każdym myśleniu o Bożej obecności w świecie, w każdym ludzkim myśleniu o sposobach działania Bożego z ludźmi i dla ludzi, człowiek powinien zachować pokorę, w której uczyni miejsce dla Boga. Jeżeli ktoś polega tylko na tym racjonalizmie, jeżeli ktoś dowartościowuje i docenia wyłącznie swój rozum, jeżeli ktoś szuka tylko rozumowej, a więc wynikającej z jego możliwości odpowiedzi na tak trudne pytania zwłaszcza, jeżeli pielęgnuje w sobie te programowe wątpliwości, to nigdy nie dojdzie do odpowiedzi na pytania te, które żeśmy sobie postawili. A Ojciec Święty przypomina słowa z Ewangelii św. Jana, które stanowią jeszcze krótszą syntezę soteriologii:

„Tak [...] Bóg umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał, aby każdy, kto w Niego wierzy, nie zginął, ale miał życie wieczne” (J 3, 16).

Właśnie to wyznanie wiary w absolutnie unikatową miłość Boga Ojciec Święty będzie starał się rozwinąć. Będzie starał się wytłumaczyć, dlaczego Bóg ofiarował Swojego Syna, dlaczego potrzebował krwawej ofiary Syna, aby człowieka zbawić. Fundament tego działania Bożego jest przejrzysty — mianowicie Bóg działał z miłości. A jest tak dlatego, ponieważ sam jest Miłością. Tak więc tutaj, na wstępie Jan Paweł II przekreśla wszystkie tego rodzaju podejścia w patrzeniu na Boga, w których Boga by się przedstawiało jako okrutnika, jako kogoś straszliwego, mściwego, jako kogoś kto jest bezduszny, kto może patrzeć na śmierć swojego Syna w taki właśnie sposób. Otóż papież wyjaśnia i podkreśla, że sednem Bożego działania była i pozostaje zawsze miłość.

Każde słowo tej Chrystusowej odpowiedzi w rozmowie z Nikodemem jest właściwie kamieniem obrazy dla umysłowości zrodzonej z przesłanek Oświecenia, i to nie tylko francuskiego, również angielskiego i niemieckiego.

Otóż jeżeli człowiek mówi, że Bóg być może istnieje, ale Bóg go nie obchodzi, i jeżeli człowiek programowo w Boga wątpi, to mówienie mu, że Bóg jest Miłością, może sprawić reakcję ze strony tego człowieka. Reakcję, w której jego egoizm staje się jeszcze bardziej widoczny, i staje się jeszcze bardziej dramatyczny, i ma jeszcze bardziej bolesne skutki. Otóż skoro człowiek nie chce słuchać o Bogu i Jego obecności w świecie, to nie jest też w stanie przyjąć prawdy o Bogu, który jest Miłością i który tak umiłował świat, że Syna swego Jednorodzonego dał.

Zatem Ojciec Święty mówi: jeżeli chcemy zrozumieć sedno wiary chrześcijańskiej, musimy wyzbyć się takiej pychy, takiego egoizmu, w którym człowiek monopolizuje swój punkt widzenia. Musimy otworzyć się na prawdę pochodzącą od Pana Boga, musimy ją przyjąć, i musimy ją uznać.

A więc pierwsze zdanie, tłumaczy papież: „Bóg umiłował świat”. I zaraz dodaje: dla umysłowości oświeceniowej świata nie jest potrzebna miłość Boga, świat jest samowystarczalny.

Czy nie zwrócili państwo uwagę, że ta głęboko prawdziwa diagnoza papieża sprawdza się także w innych dziedzinach naszego życia? Otóż dla wielu współczesnych ludzi niepotrzebna jest miłość Boga, podobnie jak sądzą, że niepotrzebna jest im miłość drugiego człowieka. Nie mają potrzeby odwzajemniania miłości ani doznawania miłości, ponieważ uznają siebie za w pełni samowystarczalnych. Otóż to nastawienie jest widoczne w stosunku do Boga. Ale to nastawienie może być przenoszone także na drugiego człowieka.

I można odnieść wrażenie, że ta postawa bywa częstsza, niż nam się wydaje. Ludzie zamykają się na Pana Boga nawet jeżeli mówi się, że Bóg jest miłością, ponieważ twierdzą, że nie potrzeba im miłości, że mogą i powinni polegać na sobie. A z kolei Bóg jest przede wszystkim miłością. Dalej Ojciec Święty tłumaczy:

Taki właśnie samowystarczalny świat, przejrzysty dla ludzkiego poznania, coraz bardziej wolny od tajemnic w wyniku działalności naukowej, coraz bardziej staje się poddany człowiekowi jako niewyczerpalne tworzywo, *człowiekowi – demiurgowi* nowoczesnej techniki. *Taki właśnie świat ma uszczęśliwić człowieka.*

To znów bardzo ważne zdanie. Papież powiada, że do tej pory człowiek szukał szczęścia, które pochodziło z miłości Bożej, z odwzajemnionej miłości. Człowiek oświeceniowy szuka szczęścia wyłącznie w sobie i w świecie. Człowiek współczesny uważa, że będzie miał takie szczęście, jakie zdoła sobie sam zapewnić, jakie zdoła sam wykuć. W takim szczęściu niepotrzebny jest wizerunek Pana Boga, ani obraz Pana Boga, ani wiara w Pana Boga. Skoro tak — człowiek zamyka się na Boga i zamyka się również na prawdę o tym, jak Bóg działał wobec człowieka, i jak działa nadal. Jeżeli Chrystus mówi o miłości, jaką do świata ma Ojciec, to w Jego słowach zawiera się ta sama pierwotna afirmacja stworzenia, jaka towarzyszy opisowi w Księgi Rodzaju: „Bóg widział, że wszystko było dobre, że wszystko było bardzo dobre”.

Papież powiada tak: nie ma wyboru, Bóg czy świat. Nie musimy wybierać między miłością Boga, a przywiązaniem do osób i rzeczy tego świata. Bóg stworzył świat dobry i bardzo dobry. Zatem można i trzeba być głęboko zakorzenionym w tym świecie. Można i trzeba otwierać się na miłość, jaką można otrzymać także w tym świecie i ją odwzajemniać. Ale to wcale nie znaczy, że musimy zamykać się na Pana Boga. Otóż jedno i drugie, tzn. związek z Bogiem, i silne osadzenie w świecie, to jest warunek życia prawdziwie chrześcijańskiego. Otóż ta afirmacja świata, mówi Ojciec Święty, nie jest nigdy soteriologiczną absolutyzacją. Tzn. jeżeli człowiek przyjmuje świat i możliwości, jakie świat daje, nie może uważać, że na tym powinien poprzestać. Nawet jeżeli ktoś dozna w pełni korzyści, pożytków i wszystkich dóbr, które daje świat, nie może powiedzieć, że w ten sposób osiągnął pełne szczęście. Jest bowiem w człowieku głód, którego świat — zarówno osoby jak i rzeczy — zaspokoić nie mogą. I przywiązanie do świata powinno i może iść w parze z przywiązaniem do Boga, i z poleganiem na Bogu. Świat nie jest zdolny ocalić człowieka od zła, od wszystkich jego odmian i postaci: chorób, epidemii, kataklizmów, katastrof itp. Ten cały świat, ze swoim bogactwem i ze swoimi ograniczeniami, sam potrzebuje zbawienia i scalenia.

Tak powoli dochodzimy do tego, co w dzisiejszym rozważaniu jest najważniejsze. Mianowicie Ojciec Święty mówi tak: Istnieje we współczesnym człowieku taka pokusa, żeby zupełnie wyeliminować Pana Boga i polegać na tym, co jest na świecie. Otóż nie można przekreślać świata, trzeba żyć w świecie, trzeba w nim działać, można się do niego przywiązywać, trzeba go rozwijać, trzeba go ubogacać. Bo on jest dobry. Ale trzeba jednocześnie wiedzieć, że w świecie są wielkie pokłady zła i nieszczęścia, gwałtu i przemocy. W związku z tym ten świat, na którym chcemy polegać, potrzebuje zbawienia i ocalenia. Otóż grzech, który popełnił człowiek, nie dotyczy tylko naszych przodków, Adama i Ewy. On nie dotyczy tylko również ludzi, którzy wg. Pisma Świętego od nich pochodzą. Struktury grzechu i sam grzech ma to do siebie, że dotyczy całego świata. Św. Paweł powiedział: „Aż dotąd całe stworzenie jęczy w bólach rodzenia oczekując przybrania ludzi za Synów Bożych”. Co to znaczy? Wskutek grzechu w całym świecie istnieje cierpienie, nieszczęście, zło, przemoc. Widać to na przykładzie zwierząt. Widać to na wszystkich innych przykładach, gdzie widzimy ogromne pokłady krzywdy, przemocy, gwałtu. I tak, jak wiemy to dobrze z biologii, ale przecież nie tylko z biologii: „Prawda silniejszego zawždy lepsza bywa”. Papież mówi: ta niesprawiedliwość, ten gwałt woła o zbawienie! Dlatego Pan Bóg musiał takiego zbawienia dokonać. Zbawienia nie tylko pojedynczego człowieka, ale także zbawienia całego świata. Miłość Boża uznała grzech tego świata, zauważyła go, dostrzegła, i musiała to zło przezwyciężyć. W jaki sposób? No właśnie w taki, w jaki Bóg tego dokonał. Ojciec Święty dalej mówi:

Świat nie jest zdolny wyzwolić człowieka od cierpienia, nie jest w szczególności zdolny wyzwolić go od śmierci.

Papież mówi więc, że największym złem tego świata, największą jakąś niesprawiedliwością, wobec której się buntujemy a niektórzy z nas nie mogą tej perspektywy znieść, jest perspektywa śmierci. Otóż żeby można było przezwyciężyć śmierć, która jest skutkiem grzechu, trzeba było przezwyciężyć to w sposób, w którym mógł tylko działać Pan Bóg. Ponieważ ta obecność zła jest tak głęboka, to i siła miłości Bożej musiała przerastać wszystko, cokolwiek człowiek jest sobie w stanie wyobrazić. I dalej:

Świat cały poddany jest „znikomości”, jak mówi św. Paweł w Liście do Rzymian. Pod-
dany jest zniszczeniu i śmiertelności. Również człowiek jest poddany temu w wymiarze

cielesnym. Nieśmiertelność nie należy do tego świata. Ona może tylko przyjść do człowieka od Boga.

Zatem ta perspektywa śmierci, której wszyscy podlegamy. Ciekawe jak człowiek przeżywa bliskość śmierci. Być może ktoś z państwa ma takie doświadczenie. Ale każdy z nas w którymś momencie swojego życia stanie wobec tej perspektywy. Ciekawe jest patrzeć, jak zwierzęta przeżywają bliskość śmierci. Zwierzęta wiedzą, że ta chwila nadchodzi. Oczywiście wiedzą na swój zwierzęcy, instynktowny sposób. Ale ją przeczuwają i w przedziwny sposób na to reagują.

Podobnie z człowiekiem. Nie jesteśmy w stanie pokonać tej strony naszej rzeczywistości. Aby można było przezwyciężyć śmierć przez nieśmiertelność, musiał tutaj zadziałać Pan Bóg. Sam Pan Bóg musiał nas przed tym złem, które niesie śmierć, uchronić. Dlatego Chrystus mówi o miłości Bożej, która wyraża się w posłaniu Jednorodzonego Syna, aby człowiek nie zginął, ale miał życie wieczne. Właśnie dlatego, że człowiek jest poddany marność i śmierci, Bóg dał Swojego Syna, ponieważ to nasze nieszczęście i nieszczęście świata było tak wielkie, że i owoc miłości Bożej musiał być przeogromny.

Papież ukazuje takie horyzonty Bożej miłości, które — właściwie nie pozostaje nam nic innego — jak z wiarą i z pokorą przyjąć. Jeżeli ktoś powie: wątpię w to, nie uznaję tego, albo nie obchodzi mnie to, staje się w ten sposób dzieckiem owego oświeceniowego myślenia, które kwestionuje wszystko. Jeżeli ktoś otwiera się na tę miłość Bożą, która ujawnia się nam w Jezusie Chrystusie, ten człowiek wraca do ewangelicznych korzeni i przyjmuje nie tylko istnienie Pana Boga, ale także Jego działanie wobec nas. Działanie posunięte do ofiary z Syna Bożego. Życie wieczne może być tylko dane człowiekowi przez Boga, może być tylko Jego darem. Nikt z nas nie przeszedł by tej bariery śmierci ku życiu wiecznemu, gdyby nie Bóg sam ingerował w losy świata i w nasze własne losy. I dalej:

„Syn Boży nie przyszedł na ten świat, żeby świat potępić, ale żeby świat zbawić” (por. J 3, 17). Ten świat, jaki zastał Syn Boży stając się człowiekiem, zasługiwał na potępienie, a to z *racji grzechu*, który w nim zdominował dzieje człowieka, poczynając od upadku pierwszych ludzi.

Zatem tajemnica miłości Bożej jest wielka, ponieważ wielka jest tajemnica obecności grzechu w świecie. A tam, gdzie jest grzech, musiała też ponad miarę być obecna łaska. I tak okazuje się, że przyjęcie Pana Boga i zbawczej, krwawej śmierci Jezusa Chrystusa sprowadza nas do innego problemu.

Mianowicie do uznania grzechu i jego obecności w świecie. Dzisiejszy człowiek próbuje przezwyciężyć zło na rozmaite sposoby. Również do grzechu podchodzi na rozmaite sposoby. Traktuje to np. w kategoriach psychologicznych i myśli sobie tak: To nie jest grzech dlatego, że czego się dopuściłem, i dobrze się czuję. To nie mam żadnych wyrzutów sumienia, nie przeżywam tego źle.

Albo odwrotnie — ktoś przychodzi, wyznaje jakiś grzech, i szuka nie przebaczenia tego grzechu, tylko szuka komfortu psychicznego. Żeby wydobyć, go czy ją, z pewnego dyskomfortu, który czuje, żeby go pocieszyć, podtrzymać, żeby powiedzieć, że to nic takiego. Więc nie o przebaczenie i pojednanie z Bogiem chodzi, tylko chodzi o odzyskanie duchowej równowagi albo psychicznego zadowolenia.

Dlatego bywają tacy wierni, którzy korzystają nie tyle z pomocy spowiednika, co psychologa, psychiatry, wróżki lub sąsiadki. I uważają że skoro psycholog, powiedzmy, odbudował samozadowolenie, to jest dużo bardziej potrzebny, niż spowiednik. Że skoro sąsiadka powiedziała coś, co przyniosło święty spokój, co stanowi o świętym spokoju, to jest bardziej pożyteczna niż psychiatra, czy niż spowiednik.

Dochodzimy więc do bardzo ważnej kwestii, że nawet w życiu wewnętrznym człowiek może tak zamknąć się na Pana Boga, że traktuje życie duchowe tylko w kategoriach dobrego samopoczucia. I zdarzają się tacy penitenci, którzy przy spowiedzi szukają nie pojednania z Bogiem, nie przebaczenia grzechów, tylko pocieszenia, wsparcia duchowego. Takiego, żeby wyszli, i żeby mogli się cieszyć. Że kamień z serca spadł. Natomiast istota tego, co najważniejsze, pozostała w gruncie rzeczy nienaruszona.

Bywa też podejście socjologiczne, polegające na tym, że ktoś sobie tłumaczy, że to, czego się dopuszcza albo to, co robi, to nic złego, ponieważ wszyscy tak robią, albo większość tak robi.

Skoro tak, to czym mam się przejmować? Inni kradną, to i ja kradnę. Różnica taka, że inni być może więcej. Inni robią to czy tamto, to i ja mogę robić to czy tamto. Bo przecież tamten ktoś zaczął wcześniej. I to też podaje się jako usprawiedliwienie. Jeżeli więc patrząc na innych próbuje się siebie usprawiedliwić, to oczywiście nie ma to nic wspólnego z przewyciężaniem grzechu, ani z jakimś powrotem do Pana Boga. Człowiek, który szuka wsparcia na poziomie psychologicznym czy socjologicznym w gruncie rzeczy pozostaje poza obrębem prawdziwej wiary chrześcijańskiej w tym, co dotyczy przebaczenia grzechów.

Ktoś z państwa może powiedzieć: rzeczywiście, każdy z nas takie pokusy przeżywał i każdy z nas coś podobnego w sobie nosi. Szukamy łatwych usprawiedliwień w trudnych bardzo sprawach.

I w tym miejscu Ojciec Święty powiedział Messoriemu coś, co dotyczy sytuacji w Polsce. **Nigdy nigdzie, ani przedtem, ani później, Jan Paweł II nie wygłosił tak gorzkich słów jak te, które za chwilę przeczytam.** Ojciec Święty powiedział tak:

Kiedy podczas ostatnich odwiedzin w Polsce wybrałem jako temat homilii Dekalog oraz przykazanie miłości, wszyscy polscy zwolennicy „programu oświeceniowego” poczytali mi to za złe.

Ojciec Święty prowadził tę rozmowę w 1992 r. Kilka miesięcy wcześniej, w 1991 roku, Ojciec Święty był w Polsce, była to jego IV pielgrzymka do Ojczyzny. Przypadła mniej więcej 1½ roku po zmianach społeczno-politycznych. Wszyscy — zwłaszcza gazetowo — zachwycali się wolnością i jej perspektywami. Wydawało się, że wolność oznacza swobodę. I że wolność, która jest swobodą, w gruncie rzeczy pokrywa się ze swawolą. Przyjechał papież, objeżdżał Polskę i w każdym mieście, w którym był, omawiał jedno przykazanie Dekalogu.

I Ojciec Święty zwrócił uwagę, że kiedy był w Polsce i mówił o Dekalogu, i mówił o miłości, to polscy zwolennicy „programu oświeceniowego” poczytali mu to za złe. Trzeba sięgnąć do ówczesnej prasy, do komentarzy, do rozmaitych autorytetów i pseudo-autorytetów z których część nadal żyje — w jak dyskretny, delikatny i pokretny sposób krytykowano wtedy papieża. Mówiono, że przyjechał, ale nie zna sytuacji w Polsce. Już tyle lat jest w Watykanie. Tutaj daje nam jakieś programy, mówi o Dekalogu — to jest sprawa przestarzała. My to potrzebujemy nowych możliwości, nowych horyzontów, to będzie Europa itd. Te komentarze bardzo Ojca Świętego dotknęły. Papież powiedział tak, mówi o sobie:

Papież, który stara się przekonywać świat o ludzkim grzechu, staje się dla tej mentalności *persona non grata*.

Zwróćmy uwagę — Ojciec Święty odbył już wtedy ok. 60 podróży apostolskich. Ale jako przykład wybrał Polskę. Dlaczego? Nie odważył się tego powiedzieć o innym kraju czy narodzie nie tylko dlatego, że ta diagnoza nie dotyczyła innych — bo dotyczyła, tylko dlatego, że refleksję nad stanem duchowym i moralnym własnego narodu, Polaków, uznał za najbardziej niezbędną dla siebie. **I Ojciec Święty stwierdził tu najbardziej gorzką prawdę swojego pontyfikatu, przeżyta na początku lat 90-tych w Polsce.** Papież, który stara się przekonywać świat o ludzkim grzechu, staje się dla tej mentalności *persona non grata*.

I wtedy w Polsce, w 1991 r., po wyjeździe Ojca Świętego zapanowała atmosfera krytyki papieża polegającej na tym, że — jak to spointowano w jednej z gazet, w jednym z tygodników — papież powiedział swoje i pojechał do Watykanu, a my zostajemy ze swoimi problemami i ze swoimi wyzwaniem. Ale nie chciano uznać, że to zło, które jest najgorsze na przyszłość, i które okaże się bardzo dotkliwe w skutkach, tkwi nie obok nas, tylko tak — jak mówił Ojciec Święty — tkwi w nas. Że to jest święta prawda, to z perspektywy dziesięciu lat widać doskonale. Proszę zwrócić uwagę, że gdy przyjrzymy się życiu publicznemu, społecznemu i indywidualnemu w naszej ojczyźnie przez następne 10 lat to widać, że zaprzepaściliśmy mnóstwo szans i mnóstwo możliwości, niezależnie od strony politycznej i lewej, i prawej, stronnictwa takiego czy innego. A to dlatego, że okazało się, że główne podziały pomiędzy dobrem a złem przebiegają nie między ludźmi, tylko przebiegają w człowieku. I okazywało się bardzo często że ci, którzy przyjmowali odpowiedzialność za innych, którzy byli wybierani do sprawowania odpowiedzialnych funkcji, sami w środku pozostawali i być może pozostają bardzo zepsuci.

Gdybyśmy jako przedmiot refleksji wybrali w 91 r Dekalog i gdybyśmy dokonali jakichś narodowych rekolekcji ogólnych pod tym właśnie kątem, to być może — na pewno — nasze życie społeczne

i polityczne wyglądałoby inaczej. **Nic takiego się nie stało, ponieważ krytycy papieża znaleźli się nawet w Kościele, i na jego obrzeżach.** I ci krytycy uznali papieża za persona non grata.

Miało to wtedy jeszcze i ten dodatkowy wymiar, zapewne państwo to pamiętają, że w 1991 roku Ojciec Święty bardzo chciał odpocząć w Polskich Tatrach. I zamierzał, kiedy skończy się oficjalna pielgrzymka, kilka dni pozostać w Tatrach. I wtedy w naszych gazetach, w Wyborczej, w Tygodniku Powszechnym, pojawiły się artykuły, że nie stać nas, ponieważ jesteśmy w okresie transformacji, na utrzymanie papieża, i na to, żeby gościć papieża gdzieś tam w Tatrach, że to kosztuje bardzo dużo, ile, jak i gdzie.

Te głosy dotarły do Ojca Świętego, i oczywiście do wypoczynku w Tatrach nie doszło. Papież czuł się bardzo wtedy dotknięty. I trzeba było czekać kilka lat. Jak pamiętamy później odbył króciutką, jednodniową tylko wizytę na południu Polski. Trzeba było czekać kilka lat, żeby na nowo do swojej Ojczyzny przyjechał. I na dobrą sprawę dopiero w roku 97, a potem w roku 99, w Wadowicach, przy tych kremówkach Ojciec Święty raz jeszcze przekonał się, że Polacy go bardzo kochają. Raz jeszcze zauważył że to, co jest w gazetach, nie pokrywa się z tym, co jest w sercach ludzi. I od tamtej pory jakby jest znowu spokojniejszy.

A tu papież, który stara się przekonywać świat o ludzkim grzechu, staje się dla takiej mentalności persona non grata. Papież, który przyjechał do Polski, sam siebie odbierał jako człowieka, którego nie chcieliśmy słuchać. A nie chcieliśmy słuchać, kiedy mówił o grzechu. A mówił o grzechu dlatego, aby pokazać Bożą miłość. Aby w ten sposób pokazać, dlaczego Bóg stał się człowiekiem i dlaczego Bóg nas zbawił. Tak więc ta pointa prowadzi nas do krótkiej syntezy.

Otóż rzeczywiście drogi Boże, drogi Zbawienia są skomplikowane, są złożone. Rzeczywiście Bóg mógłby zbawić człowieka w inny sposób. Ale jeżeli dał Swojego Syna, i dał Go z miłości, to dlatego, że obecność grzechu w świecie jest bardzo głęboka. I jeżeli uznamy ten grzech, i jeżeli otworzymy się na miłość Bożą, to wtedy stanie się również jasne, dlaczego Bóg zbawił świat przez krwawą ofiarę Swojego Syna. Tam, gdzie wielki jest grzech, gdzie wielkie jest zło, tam musi być również przeogromne dobro, które mogłoby to zło pokonać.

Mam nadzieję, że ta refleksja nieco nam wszystkim wyjaśniła, a może bardziej przybliżyła do tej prawdy o Bogu, który stał się człowiekiem. Tę prawdę będziemy przeżywali wkrótce, w okresie Adwentu i potem w okresie Bożego Narodzenia, kiedy będziemy mówili o Jezusie Chrystusie, który „stawszy się człowiekiem przyjął postać sługi, uniżył się” i to uniżył się tak, jak uniżyć się Bogu na rozmaite sposoby nie wypada.

Spotkamy się w drugi poniedziałek stycznia, 14 stycznia. Zapraszam państwa bardzo gorąco i bardzo serdecznie. Następnym razem posuniemy się do jeszcze trudniejszego problemu, mianowicie *zła w świecie*. Jak się ma dobry Bóg do zła, które w świecie istnieje, i co na ten temat mówi Ojciec Święty.

Dzisiaj jako adwentową lekturę zachęciłbym państwa do książeczki, która nosi tytuł „Pan Bóg nie robi błędów”. Jest to dziesięć rozmów z różnymi teologami, m.in. prof. Michał Wojciechowski, ks. Jan Sikorski, ks. Zięba, ks. Sochoń, ks. prof. Dziuba, ks. Paweł Góralczyk, również ze mną, na temat poszczególnych przykazań Dekalogu. Ponieważ mówiliśmy dzisiaj o dekalogu, ta książeczka jest w jakimś sensie owocem papieskiej wizyty, tylko że nieco późniejszym. Myślę, że najlepiej jest teraz, w Adwencie, czytać po jednym rozdziale dziennie, jeżeli ktoś się zdecyduje. Czyli jedno przykazanie na jeden wieczór. To jest też forma rozmowy, dziennikarka zadaje pytania — my odpowiadamy. Myślę, że rzecz zasługuje na uwagę, jako dopełnienie tej papieskiej katechezy.

Natomiast na Święta Bożego Narodzenia wszystkim państwu i ich rodzinom życzę dobrych, błogosławionych, radosnych Świąt. Życzę wszystkiego, co najlepsze. Również wszystkiego, co najlepsze. Również pomyślności w nowym roku, z nadzieją, że w nowym roku się spotkamy.

Muszę państwu powiedzieć, że nasz Uniwersytet, i ja, mamy taką wyjątkową radość. W przyszłym tygodniu, w czwartek udajemy się do Rzymu. Jan Paweł II zgodził się przyjąć doktorat honoris causa Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego. I 15 grudnia odbędzie się ta uroczystość.

4 Co to znaczy „zbawić”? Zło w świecie (dn. 14 stycznia 2002)

Czas płynie bardzo szybko. Tak niedawno przygotowywaliśmy się do obchodów Wielkiego Jubileuszu Roku 2000. Myślę, że pamiętamy uroczyste otwieranie Drzwi Świętych, przeżywanie Wielkiego Jubileuszu. Rok temu nastąpiło zamknięcie tego Wielkiego Jubileuszu, mamy za sobą rok 2001, jak Państwo doskonale wiedzą, bardzo trudny i dla historii świata wielce znaczący. I dwa tygodnie temu rozpoczęliśmy rok 2002, już zdążyliśmy się do niego przyzwyczaić, i prawdę mówiąc zdążył już się nieco zestarzeć. Tak jak mówiłem półtora miesiąca temu na naszym ostatnim spotkaniu w tym okresie ogromnie ważnym wydarzeniem dla mojego Uniwersytetu, dla mnie również, była audyencja u Ojca Świętego i wręczenie Janowi Pawłowi II, przyjęcie przez Jana Pawła II doktoratu honoris causa naszej uczelni.

Dzisiaj zanim przejdziemy do książki „Przekroczyć próg nadziei” dosłownie parę zdań na ten temat. Myślę, że na pewno coś z tego państwa zainteresuje. Mianowicie z Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, który w ubiegłym roku miał ten swój czas, iż był obchodzony Rok Kardynała Stefana Wyszyńskiego, pamiętamy to: 20-lecie jego śmierci, 100-lecie jego urodzin. I w tym właśnie roku, dokładniej: pod koniec roku, Jan Paweł II przyjął doktorat honoris causa wszystkich wydziałów naszej uczelni. Był to czwarty doktorat honoris causa, nadany Janowi Pawłowi II przez uczelnie w Polsce, oczywiście chętnych byłoby znacznie więcej. Dosłownie kilka dni temu Ojciec Święty przyjął też, przy naszym pośrednictwie nawiasem mówiąc, doktorat honoris causa Szkoły Głównej Gospodarstwa Wiejskiego wygłaszając bardzo piękne przemówienie do profesorów tejże Szkoły, i również do rolników.

I myśmy też mieli swoje półtorej godziny w Watykanie, które polegało na tym, że w sobotę 15 grudnia zostaliśmy przyjęci przez Ojca Świętego w Sali Klementyńskiej Pałacu Apostolskiego. To jedna z najpiękniejszych sal. Pojechała duża delegacja naszego Uniwersytetu, łącznie 130 osób, poczynając od władz rektorskich aż do studentów, i oczywiście pracowników dydaktycznych, naukowych i administracyjnych. Ojciec Święty wygłosił do nas bardzo piękne przemówienie, tak piękne, że ciągle nie możemy się z tego otrząsnąć. M.in. powiedział, że czym jest stolica prymasowska w Gnieźnie dla kultury polskiej, tym — chciałby papież — żeby stał się Uniwersytetu Kardynała Wyszyńskiego od strony religijnej, teologicznej, dla wiary w Polsce, dla Kościoła katolickiego w Polsce. Jest to wielki, zobowiązujący, zaszczytny program. Te słowa Jana Pawła II stanowią fundament, na którym cała przyszłość Uniwersytetu będzie budowana. Ojciec Święty pobłogosławił też opłatki, które mieliśmy na naszym uczelnianym opłatku — a mamy w tej chwili 14 tysięcy studentów, więc to już jest dość pokaźna liczba. To piękne przemówienie Ojca Świętego to jest nie tylko wielkie zobowiązanie, ale również dla nas jest to przeogromna zachęta, żeby wsłuchując się w głos papieża rozwijać te wszystkie wspaniałe treści. Ale jeżeli chodzi o mnie, muszę państwu powiedzieć, że jeszcze większym przeżyciem było, gdy na drugi dzień Ojciec Święty zaprosił rektora i prorektorów do siebie na obiad.

I w niedzielę 16 grudnia miałem szczęście mieć obiad z Ojcem Świętym w bardzo wąskim gronie. I dwie sprawy, którymi chciałbym się podzielić. Jedna, to byłem sam zdumiony i zaszokowany, do jakiego stopnia papież zna sprawy polskie, jak bardzo interesuje się tym wszystkim, co w Polsce się dzieje, jak bardzo dokładnie pyta o wszystko, co się tutaj dzieje, jak bardzo głęboko mu leży na sercu zwłaszcza sprawa bezrobocia i cierpienie z tym związanych. Ojciec Święty ze dwa czy trzy razy pytał o to, jak wygląda ta sprawa bezrobocia, czy Kościół robi coś dla tych ludzi pozbawionych pracy, czy robi coś dla rodzin. Czy to jest sprawa, którą Kościół jakoś rozumie. Więc to był jeden wątek rozmowy, bardzo długi.

Drugi wątek dotyczył spraw wewnątrzchrześcijańskich, ale także rozmaitych dialogowych. Mianowicie Ojciec Święty dawał do zrozumienia, że wielką troską napelniają go żądania zgłaszane pod adresem Polski, żądania dotyczące m.in. restytucji mienia, także żydowskiego. Jan Paweł II sam zauważył, że są w świecie siły, które chciałyby obarczyć Polaków współodpowiedzialnością za to, co się tutaj stało. A po tej współodpowiedzialności mają pójść roszczenia i żądania. Papież był wyraźnie zainteresowany tą problematyką, wiele na ten temat słuchał. Prosił, żebyśmy powiedzieli jak to przedstawia się według naszego sposobu widzenia i przeżywania tych rzeczy. Widać, że sprawy polskie są Ojcu Świętemu niesłychanie drogie, niesłychanie bliskie.

Druga ważna sprawa, która nas zastanowiła i zaskoczyła, to jego ogromne zainteresowanie

szkolnictwem wyższym, także Uniwersytetem. Bardzo szczegółowe pytania o poszczególne wydziały, o kierunki, o studentów, ich zainteresowania, i ich zaangażowanie w proces dydaktyczny. Więc jednym słowem było to bardzo piękne, i jednocześnie bardzo wzruszające spotkanie. Bo zdają sobie państwo sprawę z tego, że niemal półtorej godziny trwał ten obiad u Ojca Świętego. I przez te półtorej godziny na odległość dosłownie dwóch metrów można było nie tylko siedzieć, patrzeć, ale również rozmawiać.

Kiedy patrzyłem na Ojca Świętego tak bardzo blisko — proszę mi wierzyć, nie są to jakieś puste słowa — myślałem także o tych konferencjach. I powiedziałem papieżowi, że staramy się w takiej grupie zgłębiać jego nauczanie, zastanawiać się nad tym nauczaniem. Papież patrzył bardzo wnikliwie, chwilę trwał w zastanowieniu, a potem powiedział: „To dobrze!”

Może niech „To dobrze!” zostanie również jako pochwała dla państwa, jako wyraz satysfakcji, że w Polsce nie tylko kochamy papieża, co nam się często zarzuca, ale również usiłujemy go zrozumieć, jego nauczanie w życie wcielić, i starać się to nauczanie i wiarę głębiej przeżyć.

Bardzo ciekawy był komentarz ks. biskupa Dziwisza, którego bardzo cenię, od długiego czasu mam zaszczyt również znać. Kiedy wychodziliśmy stamtąd, było z nami tylko sześć osób — oprócz władz rektorskich Uniwersytetu był ks. biskup Stefanek, biskup ordynariusz łomżyński, oraz ks. biskup Jarecki, to jest nasz biskup z Warszawy — powiedział słowa z pewnością głęboko prawdziwe. Mówi że musimy rozumieć, że był czas aż do 1978 r., kiedy te mury watykańskie bardzo rzadko słyszały język polski, a w sali, w której jada papież, i w której jadał papież przedtem, widok Polaka był absolutną rzadkością. Że teraz, od 23 lat, jest tam więcej Polaków. Ale — mówił biskup — pamiętajcie, że przyjdzie znowu czas, i pewnie nie za bardzo długo, że znów języka polskiego tam nie będzie. I trzeba starać się, żeby ta obecność Polski w Watykanie, w Stolicy Apostolskiej została jak najlepiej wykorzystana.

Jak państwo wiedzą Ojciec Święty w grudniu, w styczniu dał wiele dowodów bardzo ścisłych kontaktów z Polską. Bo był tam i wielki koncert muzyczny, i przyjął doktorat honoris causa, i spotykał się z Polakami, i był inny koncert muzyczny, koncert kolęd, gdzie była taka lżejsza muzyka, i był niedawno nasz wybrany głosami ludu premier, byli inni. Tak, że to wszystko, co w ciągu półtora miesiąca można tylko sobie wymarzyć, to wszystko było. I widać, że sprawy Polski bardzo leżą papieżowi na sercu.

Nawiasem mówiąc na słowo „premier” państwo się poruszyli, pewnie nie bez racji. Trzeba powiedzieć, że wg. tych wiadomości, które stamtąd napływają, było to ogromne przeżycie również dla samego premiera, dla jego żony, syna, synowej, i bardzo wielkie przeżycie dla wnuczki. No więc widać, że Jan Paweł II przez takie kontakty stara się również niejako oswoić władzę w tym znaczeniu, żeby każdego, kto ma coś w Polsce do powiedzenia, a wiadomo, że władze polityczne mają do powiedzenia, żebyśmy wszyscy przyczyniali się do budowania wspólnego ojczyzniego domu — jak mówimy szumnie — a co w przełożeniu na codzienny trud oznacza możliwość solidarnej współpracy wszystkich. Więc Ojciec Święty stara się jak może i trzeba powiedzieć, że sprawy polskie są mu bardzo, bardzo bliskie. Być może nawet niektórzy z tych, którzy tam są na co dzień, Włosi, inne narodowości, może nawet patrzą na to ze swoistą zazdrością. Ale Jan Paweł II stara się tak to wszystko godzić, tak łączyć i tak każdemu czas swój dawać, żebyśmy wszyscy, i my Polacy, i inni, byli zadowoleni.

Przeżycie naprawdę wielkie. Bo sama świadomość, że się w czymś takim uczestniczy, to jest rzecz bardzo wielka. Ja na najbliższym naszym spotkaniu postaram się rozdać państwu pamiątkę stamtąd polegającą na tym, że otrzymają państwo wydrukowane osobno w takiej specjalnej ozdobnej broszurce przemówienie Ojca Świętego Jana Pawła II do naszego Uniwersytetu. Drobiazg to jest, ale przynajmniej tyle. Jest to przemówienie bardzo piękne, bardzo głębokie. I być może znajdą państwo czas, żeby później po nie sięgnąć. No ale to dopiero wtedy, kiedy się spotkamy następnym razem, czyli za cztery tygodnie. Dlatego, że do tej pory wydrukowaliśmy parę tysięcy, i to wszystko poszło — najpierw dla studentów, i dla pracowników związanych bezpośrednio. A teraz przyjdzie czas również na to, żeby wyjść z tym poza mury uczelni.

Przechodzimy do książki. A konkretnie przechodzimy do pewnego bardzo ważnego tematu, zasadniczego dla naszej wiary, który związany jest z pytaniem postawionym papieżowi. I nad tym pytaniem my się również dzisiaj zastanowimy. To pytanie jest niesłychanie interesujące i niesłychanie głębokie. Wszyscy z państwa dobrze wiedzą, że kiedy rozważamy nauczanie Jana Pawła

II zawarte w „Przekroczyć próg nadziei”, to jest to nauczanie trudne — ale dlatego, że dotyczy spraw, które są dla naszej wiary i dla naszego bytowania najważniejsze. Vittorio Messori zadał Ojcu Świętemu następujące pytanie (R. 12, str. 68):

Jak wiadomo w dzisiejszej kulturze nam, „zwykłym ludziom”, grozi ryzyko, że nie zrozumiemy prawdziwego i głębokiego znaczenia chrześcijańskiej perspektywy.

Rzeczywiście, to co się dzieje dzisiaj na świecie nazywa się macdonaldyzacją kultury. Polega to na tym, że jak szybkie i łatwe jest jedzenie przygotowane w mikrofalówce, jadąc samochodem zjeżdża się na parking i nawet nie potrzeba wysiadać z samochodu, podają jedzenie przez okno — ta technika została opanowana wręcz do perfekcji, jedzenie stało się takim samym towarem, jak każdy inny. Z tym związana jest daleko posunięta banalizacja całej tej sfery. Więc podobnie ludzie wyobrażają sobie i religię — taką łatwą, lekką i przyjemną. I sądzą, że można zadawać bardzo trudne pytania, na które szybciotko — tak właśnie w oknie samochodowym — można otrzymać łatwą odpowiedź. Jest to popularne zwłaszcza w Ameryce, gdzie są rozmaitego rodzaju kaznodzieje, zwłaszcza protestanci, którzy gotowi są załatwiać najważniejsze ludzkie problemy już nie tylko przez radio i telewizję, ale ostatnio nawet przez telefon i internet.

Jeżeli ktoś ma wielkie życiowe sprawy, łączy się tylko przez internet lub telefon. I tam w 5 minut ma otrzymać receptę na całe życie. Dziennikarz włoski nawiązuje do tego w rozmowie z Ojcem Świętym, i powiada, że są rzeczy bardzo trudne, i że grozi nam bez przerwy powierzchowne traktowanie naszej wiary. Ale, powiada do Ojca Świętego tak:

Chciałbym więc zapytać, co to znaczy konkretnie dla wiary „zbawić”? Czym jest to „zbawienie”, o którym Wasza Świątobliwość mówi, że stanowi sam rdzeń chrześcijaństwa?

Rzeczywiście bez przerwy mówimy: „Zbaw nas od złego”, mówimy o zbawieniu, mówimy w przypadku żyjących, w przypadku zmarłych „Wieczny odpoczynek racz im dać Panie”. Co to znaczy „zbawić”? Oczywiście nie szukamy odpowiedzi typu McDonald’a, łatwej i przyjemnej. Ojciec Święty zastanowi się i za chwilę usłyszymy jego odpowiedź na to węzłowe i kluczowe, stanowiące sam rdzeń wiary chrześcijańskiej, pytanie. Co to znaczy „zbawić”? Przecież w życiu podejmujemy mnóstwo wysiłków, mnóstwo trosk, mnóstwo wyrzeczeń, musimy sobie odmawiać, podejmujemy rozmaite ascezę, dobre postanowienia, chodzimy do kościoła, staramy się żyć dobrze — a wszystko po to, żeby osiągnąć zbawienie. Więc co to znaczy „zbawić”? Ojciec Święty na to kluczowe pytanie — być może bardzo rzadko zastanawiamy się nad tą rzeczywistością zbawienia — odpowiedział tak:

Zbawić, to znaczy wyzwolić od zła.

To jest najkrótsza definicja zbawienia. Zaraz papież ją rozwinie.

Chodzi tu nie tylko o zło społeczne, takie jak niesprawiedliwość, zniewolenie, wyzysk; nie tylko o choroby, katastrofy, klęski żywiołowe i wszystko, co nazywa się nieszczęściem w dziejach ludzkości.

Otóż tak uświadamiamy sobie, że dookoła nas istnieją ogromne pokłady zła. Bo rzeczywiście istnieją. Gdybyśmy zaczęli wyliczać rozmaite przykłady zła, i rozmaite sposoby istnienia zła w świecie, to można by popaść w swego rodzaju defetyzm. W swego rodzaju przekonanie, że wszystko dookoła jest zepsute, złe, gnuśne, niedobre, i że w gruncie rzeczy nie warto żyć. Otóż niestety ostatni rok, 2001, przyniósł bardzo wiele takich radykalnych przykładów zła, i to zła posuniętego bardzo daleko. Zła, które weszło gdzieś tam w struktury społeczne, które przeniknęło do polityki, i które na rozmaite sposoby dotyczy losu pojedynczych ludzi. Bez przerwy słyszymy, że świat po 11 września nie jest taki sam, jak przedtem. To jest prawda. Z tym że to zło, o którym myślimy w kontekście 11 września, Waszyngtonu i Nowego Jorku, pozostaje ciągle zagadkowe, ukryte, nieznanne. To zło wyzwala nową falę zła. Bo ze złem jest trochę tak, jak ze sprężyną. Kiedy zaczyna się zło, to powstaje samonakręcająca się spirala. I trzeba rzeczywiście starać się, żeby to pasmo zła przerwać. Bo jeżeli człowiek, czy jeżeli ludzkie społeczności, to zaniedbają, to wtedy zło zagarnia i pożera coraz to nowe obszary. Bo zło ma to do siebie, że jest nienasycone.

Powróćmy raz jeszcze do wątku, który państwo dobrze znają, kiedy to papież prosił, aby jeden z piątków Adwentu był obchodzony jako dzień postu i modlitwy w intencji pokoju na świecie. Wiemy, że za kilka dni w Rzymie i w Asyżu odbędą się wielkie modlitwy w intencji pokoju. Przypominamy sobie od czasu do czasu, że pokój na świecie jest naprawdę zagrożony. Że już bardzo dawno świat nie stał na skraju takiej przepaści, na jakiej znajduje się teraz. Gdybyśmy więc chcieli wyliczać zło, to jest tego zła sporo. Są ludzie, którzy nie wytrzymują ciężaru tego zła w świecie. Są tacy, którzy mają albo delikatniejszą konstrukcję psychiczną, albo mniejszą wiarę, i w związku z tym przeżywają ogromne konflikty sumienia, a także przeżywają ogromne załamania. Nie opisujemy dalej zła, żeby nie popaść w ów defetyzm, ale spróbujmy — bo Ojciec Święty zauważył to zło — posunąć się krok dalej. Papież tłumaczy:

Zbawić, to znaczy wyzwolić od *zła radykalnego, ostatecznego*.

W świecie jest bowiem przedziwny paradoks polegający na tym, że nawet to, co złe, może się człowiekowi przeobrazić w jakiś rodzaj dobra. Że coś, co przeżywamy dzisiaj jako złe, jutro może się okazać zupełnie dobre, mające zupełnie dobre skutki. Powiedzmy ktoś spóźnił się na pociąg i nie pojechał, i okazało się, że dzięki temu wrócił do swojej rodziny, czy do swoich bliskich, i spotkało go coś tak miłego, czego by w przeciwnym przypadku nie przeżył. Powiedzmy sobie: ktoś dzisiaj dokonał czegoś złego w swoim przekonaniu złego, ale tak go to zastanowiło i skłoniło do refleksji, że jego życie wskutek tego zmieniło się diametralnie. Dlatego też słusznie mówimy, i to pojęcie przejęła zwłaszcza niegdyś Zofia Kossak-Szczucka, że istnieje coś takiego jak *blogosławiona wina*. A więc, że można zło przeobrazić w dobro. Na tym też polega siła człowieka, którą każdy z nas dysponuje. Albo też na tym polega ta przemożna siła dobra, która nawet zło jest gotowa sobie podporządkować. Ale obok takich przejawów zła istnieje zło inne, radykalne, głębokie. Istnieje skażenie i zepsucie, które ogarnia nas w sposób nieunikniony. I papież dalej mówi tak:

Takim złem nie jest sama tylko śmierć. Śmierć już nie jest takim złem, skoro przychodzi po niej zmartwychwstanie. A zmartwychwstanie przyszło za sprawą Chrystusa. *Za sprawą Chrystusa śmierć przestaje być złem ostatecznym — zostaje podporządkowana mocy życia.*

Otóż człowiek postrzega śmierć jako zło najgorsze, najbardziej radykalne. I papież widząc to niebezpieczeństwo postrzegania śmierci jako zła, którego nie sposób przewyciężyć, mówi tak: *Śmierć jest złem. Ale nie jest najgorszym złem. W każdym razie nie dla chrześcijanina. Dlaczego? Ponieważ chrześcijanin przeżywa śmierć przez pryzmat wiary w zmartwychwstanie. Śmierć jest zatem przejściem. W ten sposób następuje codzienne chrześcijańskie oswajanie śmierci.* Oczywiście są wśród nas ludzie zupełnie młodzi, dla których mówienie o śmierci jest czymś absolutnie odległym. Są ludzie starsi, którzy być może z zupełnie innych powodów myśl o śmierci od siebie odsuwają. Nie ma żadnej reguły, która pozwoliła by nam przewidzieć, kto z nas, jak tu jesteśmy, będzie pierwszy. Kiedyś na pogrzebach — teraz tego zaniechano, bo to robiło duże wrażenie — jak już składano ciało do grobu, to jedno z wezwań modlitwy powszechnej brzmiało; „Módlmy się za tę albo tego spośród nas, którego jako pierwszego czy pierwszą Pan Bóg powoła przed swój sąd”. I to zawsze robiło wrażenie, bo nikt nie może być pewny, czy przypadkiem właśnie teraz nie modli się za siebie. Ta myśl o śmierci jest jednak czymś, co powinno nam towarzyszyć. A Jan Paweł II ustawia ją w perspektywie zmartwychwstania. Zdaje sobie bowiem z tego sprawę, że dla chrześcijanina nie mają sensu takie rozważania o śmierci, które nie są połączone, czy są wyizolowane, od prawdy o zmartwychwstaniu. I dalej:

Świat nie ma takiej mocy.

Bo skoro dawcą zmartwychwstania jest Chrystus, to oczywiście świat takiej mocy nie ma.

Świat, który może ulepszać swoje techniki terapeutyczne w różnym zakresie, nie ma mocy wyzwolenia człowieka od śmierci.

Wiemy, że medycyna wykonała w ostatnich dziesięcioleciach przeogromny postęp. Ale jednocześnie ta sama medycyna niesie przeogromne pułapki etyczne. Wiedzą o tym doskonale lekarze, wiedzą pielęgniarki, wiedzą ci, którym przychodzi zmagać się zwłaszcza z tzw. fazą terminalną. Nigdy do tej pory ludzkość nie dysponowała takimi możliwościami podtrzymywania ludzkiego życia, jak obecnie. Otóż medycyna może bardzo wiele. Ale medycyna nie może tego, co jest najważniejsze — może przedłużyć życie, czasami przedłużyć jakąś egzystencję człowieka, może odsunąć śmierć, ale nie może jej usunąć.

I dlatego świat nie może być dla człowieka źródłem zbawienia. *Tylko Bóg zbawia*, a zbawia ludzkość całą w Chrystusie.

To zdanie jest niesłychanie ważne. Każdemu z nas przychodzi myśl o złu takim najbardziej radykalnym, jakim jest śmierć. Ale pamiętać musimy, że moc zbawienia ma tylko Pan Bóg. Ale papież dodaje więcej: „Bóg zbawia całą ludzkość”. To bardzo ważne dla nas. Na świecie są różne religie, różne sposoby wyznawania Pana Boga i dochodzenia do Pana Boga. Są również różnego rodzaju ateizmy, które negują czy kwestionują Pana Boga. Ale Bóg pragnie zbawić całą ludzkość i każdego człowieka. Musimy pamiętać, że chociaż chrześcijaństwo jest religią zbawienia i słusznie jesteście dumni, że jesteście chrześcijanami, to podstawowa godność człowieka wynika z dzieła stworzenia. Każdy człowiek przez sam fakt, że został stworzony przez Boga, jest Jego dzieckiem. I Bóg nie może odepchnąć ani odsunąć od Siebie żadnego swojego dziecka. Bo w tej fundamentalnej godności ludzkiej jesteśmy wszyscy na jednym poziomie. My później przez chrzest, a następnie przez wychowanie chrześcijańskie i życie chrześcijańskie, zyskujemy ten wymiar który sprawia, że zmierzamy do Boga przez Chrystusa. Ale są miliardy innych ludzi, którzy tak samo jak my żyją. I kiedy patrzymy na nich, w żadnym wypadku nie możemy stawiać ich poza nawiasem zbawienia. Zatem słusznie trzeba wyeksponować uniwersalizm zbawczy. Ile razy oglądamy ludzi z Afryki, z Azji, rozmaitego rodzaju Afganów, Talibów, Chińczyków, Japończyków czy kogokolwiek jeszcze - australijskich Aborygenów czy mieszkańców Grenlandii, to wszystko to są ludzie — i Bóg zbawia całą ludzkość. Każdy człowiek jest miły Panu Bogu.

Nie ma chyba prawdy radośniejszej, niż ta. Bo skoro Bóg w osobie Jezusa Chrystusa stał się człowiekiem, stał się jednym z nas, to właśnie ten fakt, że jesteśmy ludźmi, każdego z nas do Pana Boga pociąga i każdego z nas ku Panu Bogu wiedzie. Można by powiedzieć, że z ludzkością, i z religiami, jest tak, jak ze ścieżkami w lesie. Kiedy wchodzimy do znajomego nam lasu, to wiemy którąś iść, żeby dojść w określone miejsce. Może pamiętamy to z dzieciństwa czy młodości, może pamiętamy z grzybobrania. Natomiast dobrze wiadomo również, że jeżeli ktoś nie zna tego lasu i wejdzie w jakąś ścieżkę leśną, to dojdzie z czasem do swojego celu, wyjdzie z lasu, aczkolwiek może to być droga mozolna czy nawet bardzo ryzykowna. Droga, po której błędzi dlatego, że tej ścieżki właściwej ścieżki nie zna. Ale ona istnieje, ona jest.

Każdy człowiek ma wypisaną swoją drogę życia, każdy człowiek jest powołany do zbawienia. Ojciec Święty kładzie na to nacisk, bo bez tego nie zrozumiemy nigdy, co to znaczy „zbawić”. Nie możemy pojmować zbawienia jako swoistego kaprysu Pana Boga. A więc Pan Bóg zbawia ciebie, ciebie, mnie, i jeszcze kogoś — ale tamtych to już nie zbawi! Absolutnie nie! Byłoby krzywdzącym mieć taki wizerunek Pana Boga, w którym byśmy przypisywali Panu Bogu to, że kocha jedne swoje dzieci lepiej, a drugie kocha mniej. Albo, że są wśród ludzi tacy, których z góry chce skazać na potępienie. Otóż urągało by to wizerunkowi Pana Boga i obrazowi Pana Boga gdybyśmy sądzili, że zbawienie jest związane z jednymi, a z góry wyklucza innych.

Jeżeli zbawienie Pana Boga ma sens, a przecież ma, to ono dotyczy wszystkich ludzi. Ten uniwersalizm zbawczy jest już podkreślany na kartach Starego Testamentu, zwłaszcza w Księdze proroka Izajasza, a później wiele razy na kartach Nowego Testamentu. „Idźcie i czyńcie uczniami wszystkie narody, udzielając im chrztu w imię Ojca, i Syna, i Ducha Świętego”. Musimy więc czynić uczniami wszystkich, ale nie wszystkim udzielimy chrztu. Wszyscy jednak są dziećmi Bożymi, i do wszystkich Chrystus chrześcijan posyła. Papież mówi dalej tak:

Samo imię Jezus, Jeshua, „Bóg, który zbawia”, mówi o tym zbawieniu.

Rzeczywiście imię Jezus pochodzi od „Jehoshua” — „Jahwe shua”, „Jahwe zbawia”, „Bóg zbawia”. Samo imię Jezus niesie ze sobą, jako imię teoforyczne, czyli imię zawierające pierwiastek

imienia Bożego, obietnicę i zapowiedź zbawienia. Otóż Jezus, który jest Zbawicielem par excellence, ma ten wymiar zbawienia, ten dynamizm zbawienia wpisany w samo imię, które od początku nosił.

Imię to nosili w dziejach różni Izraelici, ale można powiedzieć, że imię to czekało na Tego jedynie syna Izraela, który miał potwierdzić jego prawdę: „Czyż nie Ja jestem Pan, a nie ma innego Boga prócz Mnie? Bóg sprawiedliwy i zbawiający nie istnieje poza Mną” (Iz 45,21).

Tylko Bóg może zbawić człowieka. Ale dobrze wiemy, od czasów wcielenia Syna Bożego, że Bóg jest nie tylko jeden, ale jest w trzech Osobach. Dobrze wiemy o tym bogactwie życia Bożego, dzięki któremu istnieje Ojciec, i Syn, i Duch Święty. Mówimy o tej prawdzie Trójcy Świętej w naszym ludzkim języku, bo innego języka mieć nie możemy. Ale tego jesteśmy pewni, że Bóg jest Miłością. Bo On, jeden jedyny i najwyższy łączy w sobie, zespala w sobie, w jednej Boskiej naturze te trzy Osoby. I wolą trójjedynego Boga jest zbawienie ludzi, których powołał do życia ze Sobą. W średniowieczu powstał kiedyś spór między franciszkanami a dominikanami. Jak państwo wiedzą, wiara zawsze potrzebuje teologii. Można wierzyć bez teologii. Bez teologii wierzą na przykład dzieci, zwłaszcza małe, wierzą osoby starsze, osoby prostsze. Są to osoby, których przemyślenia specjalnie nie interesują. I polegają one na tradycji, na przywiązaniu, na przyzwyczajeniach itd. Ale tam, gdzie jest to możliwe, trzeba przechodzić od wiary do teologii. A teologia jest próbą zrozumienia wiary i przeżywania tej wiary w sposób racjonalny, a więc rozumowy.

I kiedy w średniowieczu przechodzono od wiary do teologii, to franciszkanie z dominikanami, dwa wielkie i wspaniałe zakony, pokłócili się wręcz między sobą. A przedmiotem ich sporu było to, dlaczego Pan Bóg stworzył świat i dlaczego Jezus Chrystus, Syn Boży, stał się człowiekiem. Dominikanie mówili, że Pan Bóg stworzył świat z miłości, przeznaczył go do życia ze Sobą. A dawszy wolność przewidział co prawda upadek ludzi, ale gdyby nie upadek, to Syn Boży nie stał by się człowiekiem. Zatem dlatego, że ludzie upadli, to Bóg stał się człowiekiem aby nas wyzwolić, aby nas wybawić. Zatem można by powiedzieć, że ceną za upadek stało się zejście Boga do nas, i stało się wcielenie. A franciszkanie mówili: nie, jest zupełnie inaczej. Otóż Bóg stałby się człowiekiem nawet wtedy, gdyby człowiek nie zgrzeszył. Dlatego, że Pan Bóg stworzył ludzi i powołał nas do życia ze Sobą. I od początku zamierzył wcielenie, czyli to, że Syn Boży stanie się człowiekiem. Nawet gdyby człowiek nie zgrzeszył, to mielibyśmy jako brata Jezusa Chrystusa, Syna Bożego. Oczywiście na to pytanie po dzień dzisiejszy nie ma odpowiedzi. Pytanie jest interesujące. Kto z państwa chce, może pójść szkołą teologii dominikanów, kto inny teologii franciszkanów, w zależności od usposobienia, ale samo postawienie tego pytania daje wiele do myślenia. Mianowicie daje nam poznać, że Bóg stworzył ludzi dla Siebie, przeznaczył ludzi dla Siebie. A kiedy ludzie upadli — na to zgadzają się i franciszkanie, i dominikanie, i wszyscy inni — Bóg nie pozostawił człowieka sobie, ale przeznaczył nas do życia ze Sobą, dając nam Swojego Syna jako ofiarę za grzechy. Na ten moment wskazywaliśmy półtora miesiąca temu. Papież mówi dalej tak:

Zbawić, to znaczy *wyzwolić od zła radykalnego*. Takim złem jest nie tylko stopniowe wyniszczanie się człowieka z upływem czasu i jego końcowe unicestwienie przez śmierć.

Rzeczywiście, czas jest naszym przyjacielem — ponieważ w czasie możemy wykonywać różne rzeczy, możemy coś sporządzić, przygotować, powstają wielkie owoce ducha, i powstają wielkie wytwory pracy naszych rąk. Ale czas jest również naszym wrogiem. Dobrze o tym wiemy. Dobrze wiemy, że z każdym dniem, tygodniem, miesiącem, rokiem zmieniamy się nieuchronnie i nieustannie. Zwłaszcza wiemy o tym wtedy, kiedy widzimy kogoś po długim okresie, zwłaszcza po kilku latach. Dobrze wiemy, że czas tak jak gdyby nas trawił, jak gdyby nas pożerał. I że jest to tak nieuchronna sprawa, jednocześnie tak definitywna i tak głęboka, że gdyby człowiek nad tym się zastanawiał i nie widział jakiegoś sensu, to być może nawet by stracił zmysły. W końcu czas prowadzi nas do swoistego unicestwienia, bo człowiek czuje, że coś w nim się nie tylko zmienia, ale obumiera, że zmienia się nieuchronnie.

Takim złem, jeszcze bardziej radykalnym, jest odrzucenie człowieka przez Boga, czyli *potępienie wieczne* jako konsekwencja odrzucenia Boga ze strony człowieka.

To zdanie stanowi klucz do dzisiejszych naszych rozważań. Niech państwo zwrócą uwagę na swoistą dialektykę. Jej dwa bieguny są takie. Ojciec Święty mówi: „Najgorsze, co może człowieka spotkać, to nie jest nieuchronność czasu, nie jest wyniszczanie przez czas, ani nawet nie jest śmierć jako taka. Najgorsze, co może człowieka spotkać, to jest odrzucenie człowieka przez Boga. Ale” — dodaje papież, i tu przenosimy się na drugi biegun — „czyli *potępienie wieczne* jako konsekwencja odrzucenia Boga ze strony człowieka.” Okazuje się więc, że Ojciec Święty uczy nas, iż Bóg odrzuca człowieka, *odrzuca* pisze w cudzysłowie, wtedy, kiedy człowiek odrzuca Boga. I tylko wtedy! Otóż są wśród nas osoby, które bardzo boją się potępienia wiecznego. To widać na rozmaitych dziedzinach duszpasterstwa, i na rozmaite sposoby. Są osoby szczególnie wrażliwe, które boją się potępienia przez Boga. Papież przypomina prawdę, która od początku jest wielką prawdą, wielkim wyznaniem wiary Kościoła, mianowicie że **Bóg nie odrzuci człowieka, jeżeli wpierw człowiek nie odrzuci Boga.**

Przekładając to na inny język — otóż piekło, o którym tak wiele mówimy w tradycji, istnieje dla człowieka wtedy, kiedy się je świadomie wybiera, kiedy człowiek odrzuci Boga. Bóg jest Miłością. I Bóg czyni wszystko, żeby człowieka na rozmaite sposoby pozyskać i mieć dla siebie. Ale, zaraz przejdziemy do tej kwestii, jeżeli są ludzie, którzy odrzucają Boga, to oczywiście ktoś, kto odrzuca, kto wzgardzi miłością, kto jej nie chce, stawia się poza jej nawiasem. Stawia się jakby poza nią, i poza możliwością oddziaływania tej miłości, w tym przypadku Boga, który jest Miłością.

Jeżeli tak, to jest to jedna z najważniejszych prawd naszej wiary. Bo ona powinna przynieść człowiekowi pewien spokój, pewną błogość, pewność zbawienia. Nie jest żadnym nadużyciem przekonanie, że Bóg nas zbawia i powołuje do życia ze Sobą. Powtarzam państwu od bardzo długiego czasu, że są w życiu dwie zasadnicze drogi, którymi kroczymy. I jedna, i druga prowadzą do Boga. Jedna jest to *droga niewinności*. Zazwyczaj mówi się, że prowadzi ona do Pana Boga, bo jest ona droga świętości par excellence, w ścisłym tego słowa znaczeniu. Ale jest też inna droga prowadząca do Boga — *droga nawrócenia*. I to też jest droga świętości. Jak niegdyś św. Piotr, jak św. Paweł, jak Ignacy Loyola, jak tyłu świętych, którzy doczekali się kanonizacji i beatyfikacji, i jak miliony i miliardy innych świętych, którzy szli do Pana Boga drogą nawrócenia. Bóg nikogo nie odrzuci, jeżeli człowiek nie odrzuci definitywnie Pana Boga. Zatem żadne nasze słowo zaufania wobec Boga nie będzie bezowocne. Nie jest tak, że ktoś prosi Pana Boga o zbawienie: „Zbaw nas ode złego, przyjmij mnie do Siebie, daj mi życie wieczne” a Bóg mu odpowie: „O nie!” Bóg nie jest taki, jak człowiek. Wśród ludzi zdarza się, że przebaczyliśmy komuś siedem razy, siedemdziesiąt siedem razy, a potem mówimy: „Nie, dość, stop, nie chcę mieć z tobą do czynienia”.

Bóg nie jest taki, nigdy taki nie był, i nigdy taki nie będzie. To powinno przynieść człowiekowi wielką radość. Ile razy mam przebaczyć swojemu bratu, czy aż siedem razy? Nie aż siedem, ale aż siedemdziesiąt siedem razy — mówił Jezus, czyli zawsze. To daleko bardziej Pan Bóg nam zawsze przebacza, jeżeli jesteśmy na tej drodze nawrócenia. I daleko bardziej na nas spokojnie czeka, gdy my spokojnie do Niego idziemy drogą niewinności. Otóż każdy wierzący powinien mieć w sobie wewnętrzną pewność, płynącą z głębokiej niezłomnej nadziei, że naszym przeznaczeniem jest Pan Bóg, który pragnie naszego zbawienia, i który czyni wszystko, aby to zbawienie się urzeczywistniło. Nikt z nas zatem nie może się bać, zwłaszcza w momencie tych radykalnych wyborów związanych z cierpieniem, ze śmiercią. Nie może się bać, że oto chce Pana Boga, pragnie Pana Boga, chce się z Nim złączyć, chce być Jego dzieckiem, ale Bóg go odrzuci czy postanowi inaczej. Nic z tych rzeczy! Ojciec Święty mocno podkreśla, raz jeszcze to przeczytam:

Takim złem, jeszcze bardziej radykalnym, jest odrzucenie człowieka przez Boga, czyli *potępienie wieczne* jako konsekwencja odrzucenia Boga ze strony człowieka.

Zatem to drugie jest logicznie i chronologicznie pierwsze. Można to odwrócić i powiedzieć: „Jeżeli człowiek odrzuca Boga, stawia się poza nawiasem tej Bożej miłości, której mógłby i powinien doświadczyć. I którą Pan Bóg go obejmuje, ale człowiek tej miłości nie chce.” I dalej:

Potępienie jest przeciwstawne zbawieniu. Jedno i drugie łączy się z przeznaczeniem człowieka do życia wiecznego. Jedno i drugie zakłada, że istota ludzka jest nieśmiertelna. Śmierć doczesna nie może zniszczyć przeznaczenia człowieka do życia wiecznego.

A więc to życie, które Pan Bóg nam dał, to jest przedziwna tajemnica, że to życie prowadzi nas, wiedzie do życia innego, życia wiecznego, którego natury nie znamy. Człowiek zawsze, w każdym pokoleniu, stara się na rozmaite sposoby oswoić życie i oswoić śmierć. Już w starożytności szukano rozmaitych eliksirów młodości. Szukano rozmaitych wywarów i sposobów najrozmaitszych, od farmakologicznych poprzez psychoterapeutyczne, przedłużania człowiekowi zdrowia, młodości, życia. Wszystko w życiu ludzkim się zmieniło od starożytności. Jego uwarunkowania, jego możliwości, aspiracje, możliwości techniczne i technologiczne. Jedno nie zmieniło się wcale — mianowicie samo życie i jego uwarunkowania. Dwa i pół tysiąca lat temu psalmista ułożył psalm, że miarą lat ludzkich jest lat siedemdziesiąt, jeżeli jesteśmy mocni to osiemdziesiąt. A reszta — to już dodatek. Od tamtej pory nie zmieniło się nic. Nadal miarą jest lat siedemdziesiąt, osiemdziesiąt, a reszta to dar.

Pod tym względem zmiany nie ma. W naszej rzeczywistości, w naszych czasach funkcję starożytnych różnych sposobów usiłuje przejąć inżynieria genetyczna. Zaczęto od owcy. I parę lat temu jakież to był sukces, kiedy wreszcie dokonano sklonowania owcy. Wyobrażano sobie, że ta owca jakby na nowo się narodziła. Wyobrażano sobie, że to jest jak gdyby ona rozpoczęła na nowo swoje życie. A więc że jest to jakiś rodzaj nieśmiertelności, bo we wszystkim ma być taka sama, jak ta jej „siostra”. Bardzo szybko okazało się, że nie. Bo chociaż urodziła się wczoraj, to jednak ma tak samo pięć lat jak tamta, z której dokonano sklonowania. A więc Pan Bóg, natura, genetyka nie daje się oszukać. Ostatnio okazało się również, że jest chora, podobnie jak i tamta była chora. Jeżeli więc człowiek myśli — jest to znak i ostrzeżenie — że kogoś wielkiego współczesnego czy urodziwego da się sklonować, i tamta się zestarzeje a będziemy mieli drugą czy drugiego, to nic takiego nie jest możliwe. Natura, okazuje się, ma w sobie zakodowane życie, którego barier, którego możliwości człowiek nie przeniknie. Nie zrobił tego do tej pory. I można z pełną odpowiedzialnością powiedzieć, że nie przeniknie tego nigdy. Jedyne, co może zrobić, to sprowadzić na siebie i na świat nieszczęście poprzez takie eksperymenty, które są zupełnie nieodpowiedzialne.

Zatem człowiek musi być przygotowany do tej perspektywy przejścia. I papież tłumaczy, że ta perspektywa przejścia to jest perspektywa życia z Bogiem, jak nazywamy to — życia wiecznego. A co jest tym życiem wiecznym — pyta papież. Jest nim szczęśliwość, która pochodzi ze zjednoczenia z Bogiem. Zatem naszym przeznaczeniem jest zjednoczenie z Bogiem.

Powiedzieć, że naszym przeznaczeniem jest zjednoczenie z Bogiem, to jest tak, jak gdyby próbować opisać bezmiar morza, głębię oceanu, albo piękno kwiatu, czy cokolwiek, co jest właściwie nie do opisania. Otóż *zjednoczenie z Bogiem*, gdybyśmy chcieli to oddać jakimś innym językiem, może bliższym nas ludzi, *to jest spełniona miłość*. Miłość bowiem, wiemy o tym dobrze, ma to do siebie, że wtedy jest szczęśliwa, gdy doczeka się wzajemności. Wtedy dopiero staje się źródłem niezwykłego szczęścia. Otóż kiedy Pan Bóg doczeka się wzajemności ze strony człowieka, i człowiek Mu odpowie, następuje to zjednoczenie z Bogiem.

My, w naszym ziemskim życiu, nie możemy dojść do takiej kondycji zjednoczenia z Bogiem. Dochodzą do tego tylko ludzie naprawdę święci, nieliczni, można by powiedzieć — mistycy. Ale i doświadczenie mistyków umyka naszym możliwościom poznania, recepcji, opisywania, przedstawiania. Dlatego, że ktoś, kto jest mistykiem, żyje wprawdzie w ciele, ale duchem, duszą, wnętrzem jest już w świecie, którego my nie rozumiemy i zrozumieć nie możemy. Jest w człowieku jakiś przedziwny pierwiastek duchowy, jakaś tajemnica, jakiś głód i tęsknota, którą bez przerwy na rozmaite sposoby w sobie odkrywamy, i która znajdzie swoje spełnienie wtedy, kiedy zjednoczy się z Bogiem. „Niespokojne jest serce człowieka” mówił św. Augustyn, a przeżył w swoim życiu sporo, bo przecież nie od początku był świętym, najpierw popadł w młodzieńcze tarapaty, potem odstąpił od wiary, później miał masę innych przygód, ale gdy się już nawrócił, to powiedział „Niespokojne jest serce ludzkie, dopóki nie spocznie w Tobie, Boże”. I to zbawienie to jest zjednoczenie z Bogiem, którego kształtu nie znamy, a które możemy tylko porównać do spełnionego, odwzajemnionego zakochania się. Jeżeli są wśród państwa osoby, które ten stan znają, to być może lepiej możemy wyobrazić sobie na nasz ludzki sposób niebo.

Można zatem powiedzieć, że przeżywanie nieba to jest ten ustawiczny stan spełnionej, spokojnej szczęśliwości. Że oto człowiek osiągnął wszystko, czego pragnął. Że oto człowiek nie jest sam. Bo skoro największym wrogiem człowieka jest samotność, to ta spełniona miłość z Bogiem sprawia, że cała wieczność będzie taka. Ojciec Święty tłumaczy dalej, co to znaczy. Tłumaczy, że takie życie wieczne stanowi pełnię życia. Że do tego Pan Bóg nas przeznaczył. Ja opuszczam cały ten fragment,

nie mamy czasu, żeby się nim zająć. Natomiast zostaje tutaj jeszcze jedno pytanie, niesłychanie istotne, bardzo interesujące i bardzo ważne. Papież mówi tak:

Według św. Mateusza zmartwychwstanie ma poprzedzić *sąd* według uczynków miłości lub ich zaniedbania.

Zatem człowiek umiera, człowiek dostępuje sądu. Kryterium są uczynki miłości, bądź ich zaniedbanie. „Byłem głodny, a daliście Mi jeść. Byłem spragniony, a daliście Mi pić. Byłem głodny, a nie daliście Mi jeść, nie daliście Mi pić, nie przysłiście do Mnie” — a więc to jest miarą sądu. Potem odbywa się to definitywne rozstrzygnięcie o naszej wieczności. Wynikiem sądu sprawiedliwi zostają przeznaczeni do życia wiecznego. Istnieje także przeznaczenie na mękę wieczną. A męka ta to nic innego, jak definitywne odrzucenie od Boga, definitywne zerwanie komunii z Ojcem, i Synem, i Duchem Świętym. I papież konkluduje:

To nie tyle Bóg odrzuca człowieka, ile człowiek odrzuca Boga.

Otóż przez całe swoje życie przygotowujemy się do tego definitywnego wyboru, który nastąpi wraz ze śmiercią. Jeżeli teraz przyjmujemy Boga, liczymy na Pana Boga, potrzebujemy Go, prosimy Go, modlimy się do Niego, to tak już zostanie. Natomiast jeżeli teraz dla człowieka sprawy Boże nie są ważne, może się okazać, że nie będą ważne również wtedy, kiedy doświadczy Bożej obecności. Co prawda Bóg i Jego miłość są niesłychanie atrakcyjne, i może kiedy człowiek doświadczy Pana Boga, może jego wybór będzie inny niż teraz. Ale tylko „może”.

Otóż pewni możemy być tego, że w naszym późniejszym wyborze przedłużą się wszystkie nasze dobre wybory. Ale jeżeli chodzi o złe wybory, o odrzucenie Boga, może też istnieje możliwość odrzucenia Boga w wieczności. Może są ludzie tak źli, tak zepsuci, że odrzucają nie tylko teraz Pana Boga, kiedy Go poznają w sposób bardzo zawoalowany, ale może również, kiedy człowiek zobaczy Boga twarzą w twarz, może odrzuci Go. Ktoś z państwa powie: to jest chyba niemożliwe. Oby było niemożliwe!

Ale czy w naszym ludzkim życiu nie zdarza się i tak, że miłość bywa podeptana? Że wielka miłość bywa wzgardzona? Czy nie znamy niewdzięczności dzieci wobec rodziców? Czy nie znamy niewdzięczności w małżeństwie? Czy nie znamy rozmaitych innych niewdzięczności? Tam, gdzie powinna być przecież miłość, gdzie ona kwitła a nawet krzepła, a potem coś w jakimś człowieku pęka? Czy nie jest tak, że w niektórych przypadkach — na szczęście są to rzadkie rzeczy — dobroć, miłość i wszystko to, co szlachetne, wywołuje furję i rozgniewanie ze strony złych? Czy nie bywa tak, że dobroć bywa nie tylko wyśmiewana, ale wręcz zwalczana, nie tylko wykpiąca, ale wystawiona na bardzo ciężką próbę? Jeżeli coś takiego możliwe jest w życiu, tym doczesnym, to może i w wieczności jest zupełnie podobnie? Że są jednak ludzie, którzy doznawszy, a w każdym razie poznawszy Bożą miłość, mówią Bogu „Nie!”? I jeżeli tak powiedzą, to sami skazują się na życie bez Boga.

Oczywiście nie możemy sobie piekła wyobrażać tak, jak wyobrażali je sobie zwłaszcza średnio-wieczni i późniejsi malarze. Tutaj wyobrażenia artystów była niesłychanie rozbudowana. Ogień, i kotły, i smoła, i widły, i diabły, i wszystkie najbardziej ponure i najciemniejsze rzeczy — pewnie nie tak. Ale co to znaczy życie w wieczności bez Boga? Tu musimy zatrzymać się na progu tajemnicy. Na progu tajemnicy, której być może lepiej nie zgłębiać. Bo o ile dobrze jest zgłębiać tajemnicę miłości, o tyle lepiej jest nie zgłębiać tajemnicy nienawiści, czy najbardziej ponurego czy najczarniejszego zła. Bo to byłoby tak, jak zgłębiać naturę absolutnych ciemności, znając światło i wiedząc, że może być inaczej.

Bierzemy więc pod uwagę istnienie takiej możliwości, że człowiek odrzuca Pana Boga, i wskutek tego sam stawia się poza nawiasem Bożego miłosierdzia. Ale zadajemy sobie pytanie, czy to jest możliwe. Czy są tacy ludzie? Proszę zwrócić uwagę, że w swojej prawie dwu tysiącletniej historii Kościół dokonał beatyfikacji i kanonizacji tysiący świętych. Natomiast nigdy o nikim Kościół nie stwierdził, nie powiedział, nie zawyrokował, że ktoś jest w piekle — chociaż w historii świata było wielu morderców i ludzi prawdziwie złych, których imiona aż nadto dobrze znamy, i w dawniejszej historii, i w obecnej historii, takich, którzy mają na swoim sumieniu tysiące i miliony istnień ludzkich. O nikim Kościół nie powiedział, że ten człowiek jest na pewno w piekle.

Może więc — bywa i takie rozumowanie — może więc ten stan nazywany piekłem istnieje, ale może nie ma takich ludzi, którzy doświadczywszy Pana Boga twarzą w twarz mówią Mu „Nie”? Tego przeniknąć nie możemy, tego nie wiemy. Wiemy, że Bóg zbawia ludzi, i powołuje ich do życia ze Sobą. Ale czy ktoś decyduje się na potępienie? I przez to samo czy ktoś jest odrzucony od Boga? Tego nie wiemy. Wiemy, że taka możliwość istnieje. Ale czy ktoś, mówiąc trochę perwersyjnie, z tej możliwości korzysta? Tajemnica dobra jest zawsze godna zgłębiania, podejmowania i naśladowania. Tajemnica zła zawsze stawia nas wobec jakiejś granicy, której lepiej nie podejmować, i którą lepiej się nie zajmować. Również ta tajemnica odrzucenia Pana Boga przez człowieka to jest taki próg, przed którym człowiek powinien się zatrzymać, licząc na Bożą miłość i miłosierdzie. Przypomnę więc jeszcze raz — to nie tyle Bóg odrzuca człowieka, ile człowiek odrzuca Boga. I papież — na zakończenie naszej konferencji — mówi słowa, które potwierdzają tę intuicję, którą państwu tutaj przedstawiłem. Ojciec Święty powiedział tak:

Potępienie wieczne jest z pewnością zapowiedziane w Ewangelii. O ile jest ono jednak realizowane w życiu pozagrobowym? To ostatecznie wielka tajemnica. Nie da się jednak zapomnieć, że Bóg „pragnie, by wszyscy ludzie zostali zbawieni i doszli do poznania prawdy” (1 Tm 2,4)

Więc Ojciec Święty mówi: „W Ewangelii, w Piśmie Świętym jest wiele zapowiedzi potępienia wiecznego. Ale czy ktoś doprowadza siebie aż do tego stanu, by potępić się na wieki przed Bogiem?” Papież mówi: „To ostatecznie wielka tajemnica.” Tego nie wiemy. I przypomina, że ostatecznym celem Boga jest zbawienie każdego człowieka.

Tak więc Ojciec Święty staje się wielkim głosicielem prawdy o zbawieniu. I myślę, że na progu roku 2002, jeżeli przypomnieliśmy sobie tę wielką soteriologiczną, czyli zbawczą, prawdę, to jest bardzo dużo. Bóg pragnie, aby wszyscy ludzie zostali zbawieni i doszli do poznania prawdy. Jeżeli tak, to pragnie tego również w odniesieniu do każdego z nas. Nasz modlitwa wobec Niego może być bardziej ufna, niż kiedykolwiek do tej pory. Możemy być spokojniejsi, niż kiedykolwiek przedtem. Pan Bóg pragnie zbawienia każdego z nas. „Nikt, kto zaufa Panu Bogu, nie będzie zawiedziony” mówił psalmista, i to samo podejmuje Nowy Testament. I każdy z nas może być pewny, że skoro pragnie zbawienia i pragnie Boga, to stanie się jego uczestnikiem. Jeżeli tak, to można by powiedzieć, że życie i jego przykrości a nawet śmierć, tracą swoją ostrą wymowę, i stają się tylko drogą do zjednoczenia z Panem Bogiem. Ta perspektywa jest wzniosła, ale wierząc w Jezusa Chrystusa przyjmujemy ją i z nadzieją jej wyczekujemy.

Dziś dziękuję państwu bardzo serdecznie. Zapraszam za cztery tygodnie, w drugi poniedziałek lutego.

Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

5 Problem gwałtu i przemocy w świetle Pisma Świętego (dn. 11 lutego 2002)

...Zatem przyjdzie dzisiaj tym większym jest bohaterstwem. Cieszę się bardzo, że państwo są. I kolejne nasze spotkanie, kolejna konferencja, która nie tylko z tytułu będzie bardziej biblijna, Chciałbym bowiem dzisiaj trochę wyjątkowo, kierując się dwoma okolicznościami, odstąpić nieco od czytania „Przekroczyć próg nadziei” Jana Pawła II i komentowania tej książki, a zamiast tego spróbować odpowiedzieć na problem, który został postawiony przez kilka osób, który również pojawił się w listach, mianowicie *problem gwałtu i przemocy w świetle Pisma Świętego*. Temat ten był już poruszany parę lat temu, przy omawianiu Księgi Rodzaju. Ale nie od rzeczy będzie, żeby się tą problematyką zająć tym bardziej, jeżeli zwrócimy uwagę na współczesny kontekst, w którym się znajdujemy.

Wyjdźmy więc od tego kontekstu który, jak mi się wydaje, jest niezbyt różowy. I dlatego tym więcej człowiek wierzący w Boga, chrześcijanin, zwłaszcza ten, który stara się nie tylko zrozumieć ale i pogłębić swoją wiarę, to tym więcej każdy chrześcijanin, a więc i każdy z nas powinien się nad tymi okolicznościami zastanowić, bo one również mają związek z naszą wiarą, i mają związek z naszym doświadczeniem religijnym, które tutaj teologicznie staramy się pogłębić. Nie ulega wątpliwości — i myślę, że to jest również przyczyna tych pytań, kierowanych pod naszym adresem — że w ostatnich miesiącach w świecie zmieniło się coś, że zmieniło się także sporo w naszej ojczyźnie.

Także stan duchowy, a po części i psychiczny wielu ludzi jest inny niż pół roku temu, czy wcześniej. Na pewno po zamachach terrorystycznych w dn. 11 września świat jest inny, niż był przedtem. I w związku z tym te pytania, które sobie stawiamy, także pytania, które kierujemy pod adresem Boga i siebie samych, te pytania i problemy są dzisiaj inne, niż przedtem, chyba bardziej natarczywe. Sądzę, że odczuwa się jakiś rodzaj napięcia, któremu każdy z nas się poddaje. I nie jest to tylko sprawa pory roku, nie jest to tylko sprawa naszych emocji związanych z taką czy inną pogodą, tylko jest to sprawa pewnego kryzysu, którego jesteśmy świadkami. I zapewne trzeba będzie sobie z nim w sposób dojrzały z chrześcijańskiej perspektywy poradzić.

Otóż musimy cofnąć się nieco, i musimy sobie uzmysłowić, że po wielkich osiągnięciach technicznych i technologicznych XIX wieku wydawało się, że wiek XX będzie wiekiem tylko i wyłącznie niebywałych sukcesów. Kiedy kończył się wiek XIX, w którym dokonano wielu odkryć i wynalazków, w którym człowiek posunął się bardzo do przodu — było to nie tylko wynalezienie elektryczności, ale także wtedy wynalezienie komunikacji, która później miała być lotniczą, telefonu, telegrafu. Wydawało się, że człowiek może wszystko. I wydawało się, że im człowiek jest sprawniejszy od strony technicznej i technologicznej, te osi osiągnięcia spowodują, że będzie mu łatwiej żyć, i z całą pewnością świat lepszy będzie. Wiek XX te rachuby całkowicie przekreślił.

Wiemy dobrze, że wiek XX był naznaczony wieloma tragediami. Już nie chcemy ich przypominać, na ogół są to sprawy bardzo dobrze znane. Kiedy zakończyła się II wojna światowa, znów ludzie nabrali pełniejszego oddechu. U nas co prawda lata 50-te były bardzo trudne, bo Polska nie do końca wygrała wojnę. Natomiast lata 60-te i 70-te przyniosły znacznie lepsze ożywienie. I do dzisiaj mamy tego ślady w rozmaitej twórczości, także artystycznej, w piosenkach, w rozmaitych zespołach, które pamiętamy z tamtego okresu. Tamte lata są okresem wejścia do powszechnego użycia telewizji. I wraz z telewizją został przetworzony świat. I to tak znacznie, że ani żeśmy się obejrzeli kiedy to jedno pokolenie ludzi weszło w dorosłe życie w jednym świecie, natomiast przeżywa te życie w świecie zupełnie innym.

Mianowicie świecie, gdzie władzę niepodzielnie sprawuje telewizja, komputer, wysoka technologia, szybkie komunikacje, również szybka informacja, z którą świat nie może sobie dać rady. I to wszystko ma bardzo duży wpływ na nasze życie, i jak zauważono to pod koniec lat 80-tych, cały świat stał się jedną globalną wioską, jak został nazwany. Pojawiły się międzynarodowe i międzykontynentalne sieci telewizyjne. W tym samym czasie ludzie są karmieni tymi samymi obrazkami, i tymi samymi wiadomościami w różnych częściach świata.

Istniała nadzieja na to, zwłaszcza po roku 1989, że świat będzie lepszy wtedy, kiedy w Europie pękły pewne granice i podziały polityczne. Z tym wszystkim ma ogromny związek Ojciec Święty Jan Paweł II. Ale oto w latach 90-tych okazało się, że sytuacja nie jest tak prosta. Jeszcze dalszy postęp techniki, dalszy postęp technologii, a zarazem wyłoniła się pewna nowa jakość, o której

dzisiaj chciałbym powiedzieć, i którą dzisiaj chcielibyśmy nieco zrozumieć, również w świetle Pisma Świętego.

Ta nowa jakość, to jest sprawa bardzo zawaalowana, bardzo trudno o niej mówić. I znów trzeba odrobinę cofnąć się i powiedzieć, że w wieku XX toczona była bardzo silna walka z religią. W Rosji sowieckiej toczona była przez komunizm, gdzie religia była bardzo silnie prześladowana. Ukuto taką formułę, że „religia jest opium dla ludu”. religia jest jak narkotyk. Należy ten narkotyk ludowi zabrać, i uszczęśliwić go w nowy sposób. Oczywiście to uszczęśliwianie odbywało się w formie silnie zideologizowanej. Wskutek tego uszczęśliwiania miliony ludzi były bardzo źle traktowane, a nawet poniosły śmierć.

W tych dniach obchodzone są w Polsce rocznice — chyba od niedawna obchodzone, i od niedawna się o tym głośno mówi — rocznice deportacji, choćby Polaków na Wschód, w sumie deportowanych było dwa miliony Polaków, z których znaczna część nigdy tutaj nie wróciła. Próbowano budować świat bez Boga. Również z innej strony, ze strony nazizmu, czyli narodowego socjalizmu, też była próba zbudowania świata bez Boga. Wiemy, że jedna i druga próba pochłonęły miliony ludzkich istnień.

I oto w latach 80-tych i 90-tych, czyli już w naszym pokoleniu, toczy się rywalizacja skierowana przeciwko religii na nowy sposób, kiedy to jedną z prób przejęcia władzy nad człowiekiem jest próba skłócenia wielkich religii świata. Już nie tylko skłócenia ludzi w ramach jakiegoś wyznania chrześcijańskiego, jak np. skłócenie katolików i protestantów w Irlandii Północnej, jak skłócenie katolików i prawosławnych na terenie byłego Związku Sowieckiego. Ale jeszcze silniejsze globalne konflikty, kiedy to rywalizacji są poddawane całe wielkie wspólnoty — a w naszych czasach jest próba wzniecenia silnego konfliktu chrześcijańsko - islamskiego, chrześcijańsko - muzułmańskiego. Tak dochodzimy powoli do istoty rzeczy. Oto konflikty polityczne, czy rywalizacja o władzę i o wpływy, zwłaszcza na Bliskim Wschodzie — jest to dzisiaj najbardziej newralgiczny punkt świata, bo jest tam ropa, bez której nie można będzie się obyć w dającej się przewidzieć przyszłości. Prowadzona jest zatem polityka globalna polegająca na tym, że oszczędzane są źródła ropy na terenie Stanów Zjednoczonych, na terenie innych kontynentów. Natomiast masowo eksploatowana jest ropa na Bliskim Wschodzie.

I tam, gdzie chodzi o ropę, nie ma żadnych sentymentów. Chodzi o przejęcie wpływów, ale ponieważ walka polityczna jest nazbyt widoczna i nie wszyscy chcieli by się bić o ropę, została m.in. przeniesiona na płaszczyznę religijną. I to, co się wydarzyło w Stanach Zjednoczonych, przedstawiane jest jako konflikt pomiędzy chrześcijanami i muzułmanami. Dzisiaj doszło do tego, zaledwie po kilku miesiącach takiej indoktrynacji, że kiedy zobaczymy na ulicy muzułmanina, zwłaszcza ubranego w tradycyjny strój — u nas bardzo rzadko, ale w innych miejscach Europy częściej — od razu podchodzimy do niego z nieufnością, i widzimy w nim jeszcze jednego terrorystę. Ale z kolei kiedy w krajach Afryki Północnej, muzułmańskich, zobaczą chrześcijanina, patrzą na niego dokładnie tak samo. A więc rywalizacja polityczna została przeobrażona w rywalizację na polu religijnym. Przedstawia się to, co wydarzyło się w Stanach Zjednoczonych, zwłaszcza zamachy na Światowe Centrum Handlu i na Pentagon w Waszyngtonie, jako dzieło sprawców, którzy byli muzułmanami, i jako zamach świata muzułmańskiego na świat chrześcijański. Zatem konsekwentnie trzeba by zorganizować jakąś chrześcijańską krucjatę przeciwko muzułmanom.

Jest tu przedziwny paradoks polegający na tym, że krucjaty ze średniowiecza są przez tych ludzi, którzy dzisiaj próbują wzniecić te konflikty, bardzo surowo potępiane. Samo słowo „krucjata” jest bardzo obciążone. Natomiast jeżeli chodzi o przeniesienie tej rzeczywistości w nasze czasy, odbywa się to bardzo chętnie, nawet można by powiedzieć: zbyt chętnie. Zostawiam na boku dociekania, które na świecie wciąż trwają, kto jest sprawcą tego terroryzmu w Stanach Zjednoczonych. Na pewno rzecz nie jest tak prosta, że jakiś człowiek gdzieś tam siedzący w jakimś miejscu na ziemi zorganizował to wszystko, zaraz go znajdziemy, ukarzymy i na tym koniec. Na pewno tak zorganizowana akcja terrorystyczna miała swoje głębokie korzenie, ma swoich głębokich prowodyrów i sprawców. I na pewno nigdy, ani nasze pokolenie, ani następne, nie dowiedzą się, kto dokonał tego haniebnego, okrutnego aktu terroru, wskutek którego zginęło wiele niewinnych ludzi. Na pewno sprawców nie poznamy. Bo przecież ci, którzy bezpośrednio uderzyli, którzy prowadzili samoloty, byli tylko narzędziami. Oczywiście można karać ślepe narzędzie — w tym przypadku też nie bardzo, bo oni nie żyją — natomiast ważniejszą rzeczą jest ukarać rękę, która to narzędzie prowadzi. A ukaranie

tej ręki nie jest sprawą łatwą, bo każdy dobrze pomyślany akt terroru właściwie pozostaje nigdy nie zbadany do końca.

Natomiast nie można dopuścić do tego, aby ludzie wierzący w Boga, chrześcijanie czy muzułmanie, byli obciążani za takie akty i dali się zantagonizować jedni przeciwko drugim. Zwróćmy uwagę że w tej całej grze jest pewien niuans — Żydzi są zupełnie z boku, tak jakby ich to w ogóle nie dotyczyło. O wyznawcach judaizmu na razie nie mamy żadnego, jeżeli tak można powiedzieć, jasnego ustosunkowania się ich, ani jasnej obecności w tym wszystkim. To też daje sporo do myślenia, bo to powoduje dalsze zantagonizowanie tylko chrześcijan i muzułmanów, co w dalszej perspektywie może mieć katastrofalne skutki dla jednych, i dla drugich.

W tym kontekście trzeba by postawić modlitwę Ojca Świętego w Asyżu, która niedawno miała miejsce, modlitwę na życzenie Ojca Świętego. I próbę zbratania wyznawców różnych religii w zadaniu wspólnego świadectwa o Panu Bogu i jednocześnie przeciwstawienia się tym niewierzącym, tym ateistom, którzy chcieli by upiec polityczną pieczęń kosztem religii i wyznawców Pana Boga. I tutaj dochodzimy do dwóch bardzo ważnych spraw. Po pierwsze, chrześcijanie — bo teraz pomówmy o sobie, zostawmy na boku inne religie — muszą być bardzo czujni na tym punkcie, żeby wyznawać swoją wiarę w sposób godny Pana Boga i w sposób, który daje Bogu wiarygodnie, dobre, przekonujące świadectwo. Jeden z problemów polega bowiem na tym, że ludzie mówią, że są świadkami Pana Boga, mówią o Nim, że chcą Go naśladować. Natomiast w gruncie rzeczy to naśladowanie można w wielu przypadkach nazwać przedrzeźnianiem Pana Boga. Otóż nie żyjemy tak, jak żyć powinniśmy. W związku z tym nasza religijność, nasza wiara, nie są przekonywujące i nie przynoszą tych owoców, które przynosić powinny.

Pod tym względem jeżeli mamy posunąć się do jakiejś samokrytyki, to widać doskonale mechanizmy tego przedrzeźniania Pana Boga w naszej Ojczyźnie. Zwróćmy uwagę na to, że niezależnie od tego, kto sprawuje władzę polityczną, to są te same afery, te same nadużycia, te same problemy. W gruncie rzeczy nie jest takie bardzo ważne, czy ktoś jest z lewej czy prawej strony. Bo okazuje się że pokusy, i uleganie tym pokusom, zwłaszcza finansowym, odbywa się i po jednej i po drugiej stronie bariery, i po jednej i po drugiej stronie sporów politycznych. To nam pokazuje, że człowiekowi wierzącemu w Boga, i deklarującemu się przy wartościach religijnych i chrześcijańskich, nie są oszczędzone żadne pokusy, które przeżywają inni ludzie. I oczywiście tutaj mamy pewnie sporo do zrobienia w tej dziedzinie.

Druga rzecz, chyba jeszcze ważniejsza, na tym polega, że za przemoc i gwałt, który dokonuje się w świecie, jest oskarżany Pan Bóg. Otóż ludzie mówią, i w tym kierunku idzie myślenie — i do niego chciałbym się dzisiaj odnieść: „Pana Boga nie ma, skoro takie rzeczy w świecie się dzieją. Skoro można bezkarnie robić tak wielkie rzeczy, to gdzie jest Bóg, który by się ludźmi opiekował? Gdzie jest Jego wszechmoc, która by ludzi chroniła przed złem? Gdzie jest Jego miłość i miłosierdzie, które by współczuło cierpiącym?”

W ten sposób mnożą się tacy, także w kontekście ostatnich ataków terrorystycznych, którzy stają się oskarżycielami Pana Boga. Czyli problem z płaszczyzny polityki zostaje przeniesiony w sferę religii, a następnie zostaje przeniesiony w sferę tzw. *teodycei*. I ci, którzy widzą zło popełniane przez ludzi, oskarżają za nie Pana Boga. Bo mówią: „Albo Bóg nie jest wszechmocny, skoro do tego wszystkiego dochodzi, albo Bóg nie jest miłosierny, skoro tak złe rzeczy się dzieją. A jeżeli nie jest wszechmocny, to nie jest Bogiem. Jeżeli nie jest miłosierny, to też nie jest Bogiem.” I takie rozmyślenia pojawiają się i trafiają także do głów ludzi wierzących.

Zastanówmy się zatem dzisiaj krótko, ponieważ o tej sprawie bardzo często mówi Ojciec Święty. Jednak jego „Przekroczyć próg nadziei” zostało napisane już 8 lat temu, gdzie ten kontekst był mimo wszystko inny. Ojciec Święty zwraca tylko uwagę na to, że w świecie są wciąż siły, takie areopagi, które usiłują Pana Boga przedrzeźniać i pokazywać Go w fałszywym świetle. Więc spróbujmy na ten problem spojrzeć od strony Pisma Świętego. I spojrzeć od strony pewnego epizodu, który jest na samym początku Pisma Świętego, i który na pewno oświetla nam te problemy na tyle dobrze, że powinniśmy — nawet jeżeli nie zrozumiemy wszystkiego do końca — to mieć świadomość jednak, że nie wolno oskarżać Boga za grzechy, za zło, za nieprawości, których dopuszcza się człowiek.

Tak dochodzimy do słynnego opowiadania, znanego opowiadania, które kiedyś, dobre parę lat temu czytaliśmy i komentowaliśmy, a dzisiaj do niego właśnie w tym kontekście chciałbym wrócić, opowiadania o Kainie i Ablu. To powiadanie o dwóch braciach, z których jeden zabił drugiego, i to

wszystko działo się w obecności Bożej, doskonale pasuje do tych wyzwań, przed którymi stoimy na progu XXI wieku. Paradoks polega na tym, że wiek XXI zapowiada się tak, jak w niego weszliśmy, jako wiek mroczny, trudny, ciemny, gdzie przyszłość maluje się w barwach ciemniejszych niż kiedykolwiek dotąd.

Powiedział o tym Ojciec Święty Jan Paweł II 8 grudnia ub. r., a więc dwa miesiące temu, na Placu Hiszpańskim w Rzymie, gdzie przed figurą Najświętszej Maryi Panny Niepokalanie Poczętej — stąd ten związek z dzisiejszym świętem — zauważył, że na horyzoncie świata pojawiły się czarne chmury. Jeżeli papież powiedział coś takiego **po raz pierwszy w całym swoim pontyfikacie**, to na pewno Ojciec Święty wie, co mówi.

I stąd nasza refleksja nad obecnością Boga w świecie, w którym dochodzi do podziałów, do konfrontacji, do rywalizacji, do walki, a nawet do bratobójstwa, być może pozwoli nam również wnieść swój własny wkład do tego, żeby w tym świecie znaleźć swoje własne miejsce. Nie chodzi tutaj przy tym, jeszcze dodam, o jakąś wizję katastroficzną — pamiętajmy, że panem historii jest Pan Bóg, to On prowadzi ludzkość przez wszystkie wichry, On pozwala z nich wyjść zwycięsko, jednak bardzo wiele zależy od człowieka. I posłuchajmy właśnie, to proste opowiadanie odkrywa nam mechanizmy, które pozwalają lepiej tę trudną rzeczywistość zrozumieć. Czytamy tak:

Abel był pasterzem trzód, a Kain uprawiał rolę.

Zwróćmy uwagę, że wracamy do prozaicznych starożytnych stosunków społecznych, które zresztą istnieją po dzień dzisiejszy. W świecie istnieje podział ról, związany z wiekiem, z płcią, wykształceniem, z zadaniami, których się podejmujemy sami, z tym, co nazywamy powołaniem. Upraszczając wszystko, Pismo Święte mówi, w świecie zawsze są ci, którzy uprawiają rolę, są ci, którzy pasą trzody, żyją obok siebie, żyją ze sobą, i każdy ma swoje miejsce w tym świecie. Normalnie biorąc nie powinno być konfliktów, nie powinno być rywalizacji, bo mogłoby starczyć miejsca dla wszystkich i dla każdego człowieka. Ale to opowiadanie jest usytuowane tuż po biblijnym opowiadaniu o upadku pierwszych ludzi. Grzech, którego dopuścili się pierwsi rodzice, spowodował zachwianie ich kontaktu z Bogiem, zachwianie ich kontaktów między sobą, spowodował utratę zaufania do siebie nawzajem, i wreszcie spowodował nieporządek w ich wnętrzu. I zło pojawia się wszędzie tam, i przemoc pojawia się tam, gdzie człowiek niszczy swoje więzi z Bogiem, gdzie człowiek niszczy to dobro, które jest w nim, i gdzie człowiek niszczy więzi z innymi ludźmi. Zatem siedlisko zła jest gdzieś w głębi naszego serca i sumienia. To, co dzieje się w świecie, ma swoje jakieś źródło, które trzeba odkrywać, i to źródło mieści się na ogół, najczęściej w człowieku. To z jednej ludzkiej decyzji może potem wychodzić pasmo zła i nieszczęść, które przynoszą katastrofalne skutki. Ale na początku tego opowiadania mamy klimat zupełnie spokojny.

Gdy po jakimś czasie Kain składał dla Pana w ofierze płody roli, zaś Abel składał również pierwociny ze swej trzody i z ich tłuszczu, Pan wejrzał na Abła i na jego ofiarę; na Kaina zaś i na jego ofiarę nie chciał patrzeć.

Z tym fragmentem opowiadania wiążą się oskarżenia kierowane po dzień dzisiejszy pod adresem Boga. Można by je sprowadzić mniej więcej do takich stwierdzeń. Dlaczego jest tak, że jednym prowadzi się dobrze, jedni są bogaci, jednym Pan Bóg zdaje się schlebiać i sprzyjać, natomiast innym — nie? Czyżby Pan Bóg w postępowaniu z człowiekiem kierował się kapryszkami? Czy tutaj postępowanie Kaina i Abła, i zachowanie Pana Boga, to był wyłącznie kaprys Boży? Bo posłuchajmy: jeden i drugi składał ofiarę dla Boga. I Bóg przyjął ofiarę jednego, natomiast na drugiego i na jego ofiarę nie chciał patrzeć. Czyżby Pan Bóg był kapryśny? Jeżeli Pan Bóg jest kapryśny, to nie ma o czym mówić, to człowiek nie ma żadnych szans. Bo wtedy skąd możemy wiedzieć, czy Jego kaprys akurat mnie dotyczy, w dobrym tego słowa znaczeniu. Część wizerunków Pana Boga, część wizji, część obrazów jest sprowadzanych do takiego właśnie kaprysu, gdzie przedstawia się nie wizerunek Boga, nie Jego obraz, tylko Jego karykaturę. I tam, gdzie mamy do czynienia z karykaturą Pana Boga, niewiele da się zrobić.

Żeby zrozumieć świat i swoje miejsce w świecie, trzeba mieć prawidłowy wizerunek Pana Boga. Trzeba Go należycie rozumieć na tyle, na ile w ludzkim języku ludzki sposób i na ludzki sposób zrozumieć i pojąć Go możemy. Mnóstwo trudności religijnych bierze się stąd, że obraz Boga jest wypaczony, że myślenie o Bogu jest karykaturalne. Sprowadzając to znów do naszego poziomu i do naszych spraw nieraz jest tak, że człowiek jest bardzo wykształcony w swojej

dziedzinie, dokonuje jakichś zupełnie wielkich rzeczy, natomiast jego wiedza religijna, jego rozeznanie o Bogu jest na poziomie małego dziecka. I dysproporcja pomiędzy technicznymi możliwościami i pomiędzy wiedzą, jaką ma, a tą wiedzą o Panu Bogu, powoduje, że oczywiście odrzuca wiarę jako coś dziecinnego, naiwnego. I w ten sposób odrzuca Pana Boga. Ale on właściwie nie odrzuca Boga, bo on Boga nie znał, nie poznał takim „jakim Pan Bóg jest”. On odrzuca ten naiwny wizerunek Boga, na który przystać nie może, z którym pogodzić się nie może, i którego nie może przyjąć.

I dodajmy, że bardzo często może to być po prostu jego wina. Dlatego, że rozwój człowieka, pełny, integralny rozwój człowieka powinien brać pod uwagę wszystkie aspekty rzeczywistości. Zatem tak ważną sprawą jest to, aby pogłębiając swoją wiedzę o świecie, o człowieku, o tym wszystkim, co w świecie się dzieje, jednocześnie pogłębić swój wizerunek Pana Boga i nie doprowadzić do wielkiej dysproporcji pomiędzy wiedzą a wiarą. Jan Paweł II powiedział, że człowiek unosi się jak gdyby na dwóch skrzydłach, na skrzydłach wiedzy i wiary. Oddycha jak gdyby dwoma płucami: wiedzą i wiarą. Tam, gdzie zabraknie jednego z nich, to człowiek żyje jak gdyby połową swoich możliwości.

Wróćmy do tego obrazu. Otóż Kain był rolnikiem i składał Panu ofiary z roli. I Kain przynosi do Pana Boga to, co ma pod ręką. Bóg chce ofiary, trzeba Bogu oddać ofiarę. Wobec tego Kain zabiera to, co ma — „Chciałeś, to masz!” **Niestety jest sporo takich ludzi wierzących, którzy w stosunku do Boga zachowują się tak, jak Kain. Muszą coś zrobić, to robią.** Takie jest prawo, taki jest przepis, tak go nauczono, taka jest tradycja — w porządku, zrobię. Chciałeś — masz. Taka religijność „na odczep się”. Ona niestety bywa dość popularna, zwłaszcza w świecie, gdzie wszystko jest nastawione na używanie, na korzystanie. I człowiek jest jakoś obowiązkowy po swojemu z tym, że ten obowiązek pojmuje po najmniejszej linii oporu. Tak właśnie czynił Kain. Wiedział, że ma złożyć Bogu ofiarę, przyniósł i złożył.

Abel też wiedział, że ma złożyć Bogu ofiarę. Ale składając tę ofiarę składał pierwociny ze swojej trzody, z ich tłuszczu. Tu jest właśnie różnica. Żeby złożyć pierwociny ze swojej trzody, trzeba te pierworodne zwierzęta znaleźć, trzeba je odszukać, trzeba je odróżnić. I z ich tłuszczu, a więc tego, co w przekonaniu starożytnych semickich nomadów było najważniejsze, Abel składa ofiarę. Składa z tego, co ma najcenniejsze, co ma najdroższe w swoim posiadaniu. Wie, że musi oddać Bogu chwałę, ale nie uznaje religijności „na odczep się”, która była religijnością jego brata. Wybiera i daje Panu Bogu to, co ma najcenniejsze, nawet więcej, to, co go kosztuje.

Być może wyda się to państwu osobliwe, ale kiedy przez wieki tłumaczono to biblijne opowiadanie, zwracano uwagę na pewien fakt, który być może i my będziemy w stanie zrozumieć. Otóż nawet człowiek uprawiający rolę, człowiek, który ma związek ze światem roślinnym, jest w stanie do roślin w jakiś sposób się przywiązać. Proszę wziąć pod uwagę np. ogrodników, rolników, leśników z których ci, którzy są naprawdę najlepsi, potrafią z drzewami rozmawiać, potrafią czekać cierpliwie na owoce. Widać to we Włoszech czy we Francji np. w winnicach, gdzie jakość owoców w najlepszych winnicach bierze się z jakości troski człowieka, który chodzi wokół tej winnicy. U nas sady, last itd.

Daleko bardziej ten przedziwny proces psychiczny dotyczy człowieka i zwierząt. Zwłaszcza pasterze potrafią przywiązywać się do trzody, do tych sztuk, które są najlepsze, potrafią nazywać je po imieniu, rozpoznawać. Każdy, kto miał, czy ma w domu jakiegokolwiek zwierzę, wie doskonale, jakie nieraz intymne więzi nawiązują się pomiędzy zwierzęciem i człowiekiem. Człowiek dzięki niemu staje się lepszy, a zwierzę, jakiegokolwiek ono jest, jest w stanie bardzo wiele nas nauczyć. To jest ważne również do zrozumienia tego fragmentu.

Abel ofiarował Panu Bogu to, co miał najcenniejsze. Dlatego Bóg spojrział na Abła i na jego ofiarę i ją przyjął; na Kaina zaś i na jego ofiarę nie chciał patrzeć. Abel ofiarował Bogu to, co miał najcenniejsze i jego ofiara odsłoniła tajniki jego serca. Natomiast Kain ofiarował Bogu to, co miał pod ręką i jego ofiara również odsłoniła tajniki jego serca. Na zewnątrz wszystko wyglądało w porządku. Natomiast to, co najważniejsze, działo się w sercu obydwu tych ludzi. To nam odsłania istotę kultu, sprawowanego także w Kościele. Na zewnątrz może wszystko wyglądać jak najlepiej. Wszyscy jesteśmy w Kościele, są nas setki czy tysiące, i wydaje się, że stoimy jeden obok drugiego. Ale pobudki, intencje, które nas ożywiają, to, co nami kieruje, kiedy tak stoimy obok siebie, zna tylko Pan Bóg. W związku z tym należy się spodziewać, że każdy z nas inaczej jest przez Niego postrzegany, i że nie każda nasza obecność jest Panu Bogu tak miła, jak obecność tego, który stoi obok. I Ewangelia wiele razy potwierdza, że tak jest w istocie, choćby w słynnej przypowieści o fary-

zeuszu i celniku. Na zewnątrz faryzeusz wydawał się dużo bardziej religijny, ale to co najważniejsze działo się we wnętrzu człowieka.

I w religijności właśnie wewnątrz jest najważniejsze. Również w dzisiejszym świecie, jeżeli ma się dokonywać nieustannie jakaś odnowa religii i religijności, jeżeli mamy nie dopuścić do tego, żeby Pana Boga przedrzeć, to to, co najważniejsze, ma się dokonywać w naszych sumieniach. Raz jeszcze wracamy do nauczania Jana Pawła II, które znamy tutaj aż nadto dobrze, kiedy to od początku pontyfikatu papież wzywał, żebyśmy byli *ludźmi sumienia*. I to wezwanie do tego, żeby być człowiekiem sumienia było ponawiane także i w Polsce. Bo to właśnie według sumienia i tego, co jest w naszym wnętrzu, jesteśmy postrzegani przez Boga. W Starym Testamencie czytamy takie słowa: „Człowiek widzi to, co jest odkryte dla oczu. Bóg natomiast patrzy w serce”. Kiedy Kain i Abel składali swoją ofiarę, można było powiedzieć, że z zewnątrz wyglądało to równie dobrze. Ale Bóg patrzy w serce — przyjął ofiarę Abla, natomiast na Kaina i na jego ofiarę nie chciał patrzeć. Czyli już zwróćmy uwagę, że w sercu Kaina, we wnętrzu Kaina, dokonuje się jakieś zło. Nigdy nie możemy postrzegać wszystkich ludzi jako dobrych, chcących dobrze dlatego, że niestety od czasu, gdy pierwsi rodzice ulegli przemożnej sile zła, zło rzeczywiście jest w świecie. I mówić, że go nie ma, jest zwyczajną naiwnością. Myślę, że każda chwila, każdy dzień przynosi nam niestety ciemne, mroczne potwierdzenie prawdy o obecności zła. I dalej:

Smucilo to Kaina bardzo i chodził z ponurą twarzą.

Kaina smucilo to, że Bóg nie chciał patrzeć na niego i na jego ofiarę. Proszę zauważyć: **nie smucilo go to, że źle zachował się wobec Boga, i że jego intencje zostały odkryte. Tylko smucilo go to, że Pan Bóg nie zachował się tak, jak on chciał, żeby się zachował.** Otóż to jest problem w religii, w religijności, po dzień dzisiejszy. Bo zwróćmy uwagę, że Kain i Abel byli ludźmi religijnymi. Jest to problem ludzi wierzących. Po dzień dzisiejszy ludzie, jeżeli Pan Bóg się nie zachowa wobec nich tak, jak oni by chcieli, są z tego powodu zasmuceni, s tutaj jest słowo hebrajskie mocniejsze, bo ono brzmi po polsku coś w rodzaju: „wściekł się Kain”, albo „rozjuszył się Kain i chodził z ponurą twarzą”. A więc i dzisiaj jeżeli Pan Bóg nie zachowa się tak, jak powinien, to wywołuje to u ludzi złość na Boga. Bywa to taka religijność okazjonalna, albo taka religijność bardzo interesowna. Tak długo, dopóki w życiu układa się wszystko w porządku, no to jest miejsce dla Pana Boga. Natomiast kiedy się coś w życiu załamuje, to i Pan Bóg okazuje się niepotrzebny, bo nie postąpił tak, jak byśmy chcieli. **Gdyby Pan Bóg, mówiliśmy o tym wielokrotnie i myślę, że dzisiaj też to trzeba przypomnieć, odpowiadał zawsze na wszystkie nasze potrzeby, to nie byłby żadnym Bogiem, lecz byłby po prostu naszym narzędziem.** I wtedy jedni by Go prosili o to, drudzy o tamto, a pewnie największe wzmocnienie wiary w naszych warunkach przypadłoby zwłaszcza w środę, czyli w okolicy losowania Toto-Lotka. Gdyby Pan Bóg odpowiadał na wszystko to, co chcemy, to niestety przekreślał by swoją Boską Istotę.

Proszę zwrócić uwagę, że **jedna ze stron wyznawania Pana Boga na tym polega, że musimy z góry założyć, że nie wszystkie nasze prośby wysłucha i że musimy przyjąć w niektórych przypadkach życie i jego przebieg taki, jaki on jest. Nie możemy również wierzyć w Pana Boga tak, żeby Go sobie podporządkowywać. Bo wtedy taka wiara byłaby parodią religijności, byłaby zabobonem, magią.** I są w świecie religie czy też pseudoreligie, które mają sposoby wywierania nacisku na Boga. W religijności obiegowej, popularnej, ludowej, nieraz takie sposoby wywierania nacisku na Pana Boga są. I wiemy dobrze, że w każdej obyczajowości, także tej religijnej, są rozmaite formuły, za pomocą których staramy się Pana Boga jak gdyby zakląć i przymusić Go do takiej działalności, jak by nam odpowiadała.

Kain więc smucił się z tego, że Pan Bóg nie przyjął jego ofiary. Nie smucił się w tym znaczeniu, iżby podjął rachunek sumienia, tylko smucił się w tym znaczeniu, że fortel się nie udał.

Pan zapytał Kaina:

Zwróćmy uwagę, że inicjatywa należy do Pana Boga. Kiedyś podkreślaliśmy, że Boża obecność w życiu człowieka zaczyna się od pytania. Tak było z Adamem i Ewą, gdzie Bóg pytał Adam: «Adamie, gdzie jesteś?», tak jest z Kainem, kiedy to z inicjatywą wychodzi Pan Bóg. We wszystkich sytuacjach krytycznych w naszym życiu musimy wsłuchać się w głos sumienia. I tam zazwyczaj pojawia się jakaś wątpliwość, jakieś pytanie, na które człowiek powinien udzielić odpowiedzi. I tutaj też to pytanie kieruje Pan Bóg. Powiada do Kaina tak:

«Dlaczego jesteś smutny i dlaczego twoja twarz jest ponura?»

Otóż istnieje bardzo ścisły związek, o tym wiedzano w starożytności, między stanem duchowym a wyglądem fizycznym. Człowiek zmartwiony, z kłopotami, knujący podstęp czy zło wygląda inaczej niż człowiek spokojny, dobry, mający poczucie dobrze spełnionego obowiązku, czy człowiek dobrego sumienia. Niestety, a może na szczęście jest tak, że jakby zwierciadłem serca, czy zwierciadłem wnętrza, jest ludzka twarz, ludzkie oczy. Wiemy dobrze, że z twarzy każdego człowieka można bardzo dużo odgadnąć, można zobaczyć w jakim jest nastroju, co przeżywa. Ale także inaczej wyglądają twarze ludzi złych, zwłaszcza tych permanentnie złych. Wiemy dobrze, że od czasu do czasu pokazywane nam są twarze tych, którzy dopuścili się wielkich nieprawości czy wielkiego zła. I wtedy możemy zobaczyć, że ten drama jest również wypisany w ich twarzach właśnie.

Pan Bóg dojrzał w twarzy Kaina jakiś dramat. Myślę, że dzisiaj, gdy mamy wiek telewizji, wiek obrazu, warto i od tej strony popatrzeć na rozmaitych przywódców politycznych, na zabierających głos, na decydujących o losach świata. Warto jest na niektórych z nich popatrzeć. To znaczy warto patrzeć na wszystkich, ale zwłaszcza na tych, gdzie jest najbardziej niespokojnie. Proszę zwrócić uwagę na rozmaite miejsca na świecie, zwłaszcza te najbardziej zapalne, i popatrzeć na wygląd twarzy tych, którzy odpowiadają nieraz za losy milionów ludzi. To jest bardzo znaczący eksperyment. Tylko czasami możemy się mylić. Na ogół widać to bardzo dobrze. Na pewno twarz Szarona różni się od twarzy, choćby krańcowo, Jana Pawła II. Na pewno twarz jakiegoś jednego prezydenta różni się od twarzy innego człowieka. Rola twarzy jest zauważona w tym biblijnym opowiadaniu, które powiada, że zła tak do końca nie da się ukryć, że ono jednak jest wypisane również w ludzkim ciele. I teraz dalej Bóg mówi do niego:

Przecież gdybyś postępował dobrze, miałbyś twarz pogodną; jeżeli zaś nie będziesz dobrze postępował, to grzech leży u wrót i czyha na ciebie.

Bóg zwraca uwagę Kainowi, że powinien przemyśleć swoje życie, że powinien przemyśleć swoje postępowanie. Zapewne wielu ludzi złych czuje w sobie taki głos, skłaniający ich do przemyślenia. To przemyślenie ma bardzo prosty schemat. Gdybyś postępował dobrze, miałbyś twarz pogodną, dobrą. Ale skoro postępujesz źle, to grzech leży u wrót i czyha, żeby się wdrzeć. Ten grzech jest porównany tutaj do węża, który w każdej chwili może się wślizgnąć niepostrzeżenie do domu człowieka, i może mu wyrządzić niepowetowane szkody. Po tym przepięknym obrazie pojawia się niezwykle ostrzeżenie. One po hebrajsku, bo przecież Pismo Święte jest napisane po hebrajsku, brzmi tak: Weatta timszol bo.

W powieści Johna Steinbecka „Na wschód od Edenu” jest taki przejmujący epizod ja to pewien człowiek, bohater, stara się zrozumieć to hebrajskie wyrażenie i stara się zrozumieć, co to znaczy „timszol”. Próbuje zasięgnąć rady rabinów. I ci przez długi czas studiują ten fragment Pisma Świętego. Minęło wiele lat. Przychodzą do niego i powiadają: „Słuchaj, wydaje nam się, że chyba wiemy, jak należy to przetłumaczyć.” „Jak?” „Otóż grzech czeka u wrót, a przecież ty możesz nad nim panować”. I wtedy, dodaje Steinbeck, mieli poczucie dobrze spełnionego obowiązku, że właściwie zrozumieli święty tekst. A przecież grzech czeka u wrót, a ty możesz nad nim panować. Nigdy nie jest tak, że moce zła są absolutnie nie do odwrócenia. Nigdy nie jest tak, że człowiek w konfrontacji ze złem jest absolutnie przegrany.

Na szczęście ceną wolności jest to, że możemy wybierać pomiędzy dobrem a złem. I na szczęście ceną wolności jest to, że w konfrontacji ze złem możemy wybrać dobro. A więc człowiek jest silniejszy, a w każdym razie może być silniejszy niż te okoliczności, a także jakiś wewnętrzny imperatyw, przymus, który go popycha do złego. Więc jeżeli *ty możesz nad nim panować*, zatem ostatnie słowo należy do ciebie.

Proszę zwrócić uwagę, że Bóg mógł stworzyć człowieka ubezwłasnowolnionym, pozbawionym wolnej woli. Tylko cóż to byłoby za człowiek? I jakaż z tego byłaby chwała dla Pana Boga? Bóg stworzył człowieka wolnym, a ceną tej wolności jest także to, że możemy dokonywać wyborów przeciwko Panu Bogu. *Możemy dokonywać wyborów przeciwko Panu Bogu!* Ale nie musimy tego robić, możemy nad złem panować. Zatem jeżeli zbierają się rozmaite czarne chmury na horyzoncie ludzkości, to nigdy nie jest tak, że świat jest w tym momencie przegrany. Nigdy nie jest tak, że nie ma żadnej iskierki nadziei na to, że można inaczej, można lepiej.

Temu poświęcona jest w gruncie rzeczy cała końcówka — bo niestety musimy tak mówić, tak to przedstawiać — pontyfikatu Ojca Świętego Jana Pawła II. Otóż Ojcu Świętemu przyszło rządzić Kościołem i odgrywać rolę pierwszoplanową w świecie w okresie, gdy świat doznaje jakiegoś potwornego wstrząsu. Ale wobec tego potwornego wstrząsu, który jak się wydaje od czasu do czasu się nasila — już w tej chwili są zapowiedzi, że wiosną ma być kolejny konflikt, i to zakrojony na szeroką skalę — gdyby człowiek patrzył tylko w tych kategoriach, to utracił by wszelką nadzieję, a nawet poczucie planowania czy jakiejś pewności siebie.

Jan Paweł II zwraca uwagę na to, że nie wolno tracić nadziei w świecie, który się wydaje jej pozbawiony. „Ty możesz nad nim panować”. I bez przerwy podejmuje wysiłki dyplomatyczne wobec wielkich przedstawicieli politycznych, a jednocześnie podejmuje wielki wysiłek modlitewny względem ludzi wierzących, przede wszystkim chrześcijan, ale także ludzi innych wyznań i religii. W tych dniach zostało opublikowane tzw. *Annuario Pontificio* — „Rocznik papieski”, z którego wynika, że w świecie 1/6 ludzkości to są katolicy. To można by powiedzieć dużo, ale i mało po 2000 lat. Ale nie ma żadnej innej religii, żadnego innego wyznania, które byłoby tak wielkie, tak znaczące, jak katolicyzm. I do tych katolików, do tego co szóstego człowieka na świecie, Jan Paweł II próbuje trafić, i próbuje ukazać nam wartość i wielkość modlitwy o pokój, troski o pokój, starań o pokój, i starań o przezwycięzenie tego wszystkiego, co jest takie złe.

Tu zwróćmy uwagę, że Bóg daje Kainowi szansę. Mówi do niego „Gdybyś dobrze postępował, miałbyś twarz pogodną, byłoby wszystko w porządku. Ale kiedy postępujesz źle, to jeszcze nie jesteś na absolutnie przegranej pozycji. Bo grzech czyha u wrót i chce się wdrzeć do twojego środka, a przecież ty możesz nad nim panować.” **I największym zadaniem, największym powołaniem, jakie chrześcijanie mogą wnieść i przynieść współczesnemu światu, to jest przesłanie nadziei polegające na tym, że człowiek nigdy nie jest tak zepsuty, żeby się nie mógł z tego podnieść. Że świat nigdy nie jest na tak przegranej pozycji, żeby się nie mógł z tego wydostać.** To przesłanie nadziei jest chyba największym wkładem, jaki człowiek wierzący w Chrystusa może wnieść w dzieje świata. To jest niesłuchanie wzniesłe powołanie. Nam, zwyczajnym ludziom, może się wydawać, że ono nas bezpośrednio nie dotyczy. A cały pontyfikat Jana Pawła II jest to jedno wielkie przypomnienie wkładu, jaki pojedynczy, zwykły człowiek może wnieść w dzieje świata.

Kiedyś, podczas jednego ze spotkań w Afryce, Ojciec Święty użył takiego przykładu, który zapewne znamy również ze swojego dzieciństwa, z czytanek bodajże w elementarzu. Kiedy był pytany o to, co mogą zrobić afrykańskie dzieci gdzieś tam w jakimś buszu, Ojciec Święty poprosił, żeby mu przyniesiono patyczek. Wziął ten patyczek przed sobą, i go złamał. Następnie poprosił o trzy patyczki. Złamanie już nie przyszło łatwo. Potem pięć — i było coraz trudniej. A potem wziął garść patyczków i powiedział „Spróbujcie teraz to złamać”. I w ten sposób pokazał murzyńskim dzieciom, że siła polega na tworzeniu jedności, tworzeniu wspólnoty. I że decyzja każdego pojedynczego człowieka znaczy tak bardzo wiele, bo układa się w pewien splot rozmaitych decyzji. I każdego z nas łatwo jest złamać. Kilkoro — trudniej. Ale kiedy stworzymy większą wspólnotę — to jest bardzo trudno, albo wręcz niemożliwe. Że są granice oddziaływania na człowieka. I w dzisiejszym świecie, w którym rola religii bywa na rozmaite sposoby pomniejszana, właśnie dlatego każda indywidualna decyzja człowieka wierzącego, i cały nasz wkład w wyznawanie wiary staje się szczególnie ważny wtedy, kiedy nabiera wymiaru społecznego. Kiedy tworzymy zbiorowość, w której już nikt nas tak łatwo złamać nie może. Jak kończy się to biblijne opowiadanie?

Rzekł Kain do Abla, brata swego: «Chodźmy na pole».

Zwróćmy uwagę, że Kain nie odpowiedział Bogu w ogóle. Bóg skierował do niego przesłanie, ofertę, pytanie, które spotkało się z brakiem jakiegokolwiek odpowiedzi. Również i dzisiaj bywa tak, że ci, którzy są źli, zepsuci, w gruncie rzeczy nie podejmują rozmowy z Bogiem. Tam gdzie brakuje religijności, tam również i sumienie jest utwardzone, niedostępne, i jest kłopot z tym, żeby człowieka zmienić. Tu wypadki nabierają teraz niesłuchanego przyspieszenia.

A gdy byli na polu, Kain rzucił się na Abla i zabił go.

Okazało się, że Pan Bóg był cały czas obecny. Moglibyśmy powiedzieć tak: a czy Pan Bóg nie mógł powstrzymać ręki Kaina? Tak, jak później powstrzymał rękę Abrahama? Otóż Abrahama Bóg sam wystawił na próbę. Natomiast Kain był wolny. Dlatego w każdym pokoleniu mogą być tacy,

którzy, jak Kain, podnoszą rękę na swojego brata i niestety go ugodzą i zabiją. Skoro Bóg obdarzył człowieka wolnością, powtórzmy to raz jeszcze, to ceną wolności jest również cena odrzucenia Pana Boga, i cena podeptania ludzkiej godności. Taka jest wolność, bez tego byśmy nie byli wolni. Gdyby wszystko zamykało się w ramach tego świata, z pewnością człowiek byłby istotą nieszczęśliwą. Na szczęście perspektywa życia, to jest perspektywa doczesności, za którą rozciąga się perspektywa wieczności, w której ostatecznie słowo należy do Boga. Tu, w doczesności zdarza się, że ostatecznie słowo należy do człowieka. I jeżeli jest to człowiek zepsuty i zły, wtedy to ostatecznie słowo człowieka jest słowem gwałtu i przemocy. Niestety taki jest również los Pana Boga. **Gdzie był Pan Bóg wtedy, kiedy Kain zabijał Abła? Otóż Pan Bóg był razem z Ablem. Pan Bóg był po stronie Abła, ale nie sposób było przeciwstawić się tej wolności człowieka.** Jeszcze dalej:

Wtedy Bóg zapytał Kaina: «Gdzie jest twój brat, Abel?»

Zauważmy, że Bóg nie opuścił zbrodniarza. Że nawet wtedy, kiedy Kain zabił Abła, Bóg nie potępił Kaina, tylko pyta: „Gdzie jest twój brat, Abel?” Istniała jeszcze taka możliwość, żeby Kain powiedział: „Panie Boże, zobacz, co zrobiłem! Zabiłem swojego brata! Przebac mi to, czego się dopuściłem!” Ale nic takiego się nie stało. On odpowiedział:

On odpowiedział: «Nie wiem. Czy jestem stróżem mojego brata??»

A więc w dalszym ciągu ten, który dopuścił się bratobójstwa kieruje swoje oskarżenie pod adresem Pana Boga. Czego ode mnie chcesz? A na to Pan Bóg:

Cóżeś uczynił? Krew brata twego głośno woła ku mnie z ziemi!

Otóż ten napis „Krew brata twego głośno woła ku mnie z ziemi!” wszędzie pojawia się tam, gdzie jeden człowiek przelewa krew drugiego człowieka, gdzie popełniany jest gwałt, przemoc, gdzie próbuje się oskarżać Pana Boga za zbrodnie i za zło popełniane przez człowieka. To opowiadanie jest bardzo przejmujące. **Ono pokazuje, że w świecie, w którym jest gwałt i przemoc, jest obecny Pan Bóg. Ale obecny nie tak, że miałby zmieniać wydarzenia, tylko tak, że chce zmienić ludzkie sumienie, ludzkie serce.** Jeżeli się to Panu Bogu uda, wtedy świat, przynajmniej w tej mniejszej skali, zostaje zabezpieczony przed złem i przemocą. Jeżeli Pan Bóg poniesie porażkę, to wtedy i człowiek dopuszcza się zła, które zaplanował, i wówczas — można by powiedzieć — że jedyna sprawiedliwość, jaka jest, polega na tym, że Bóg jest po stronie prześladowanych. Kain zabił Abła, ale Bóg był po stronie Abła.

Tradycja żydowska umieszcza ten epizod w Jerozolimie na górze, na której później Abraham miał złożyć swojego syna, obok góry, na której później Syn Boży Jezus Chrystus poniósł mękę i śmierć krzyżową. Abel stał się w ten sposób w Starym Testamencie zapowiedzią, jak mówimy to mądrze: *prefiguracją* ofiary Jezusa Chrystusa. W konfrontacji przed Kaifaszem, później przed Pilatem, znów spotkały się dwa punkty widzenia. Ci zgromadzeni przed Pilatem wołali „Ukrzyżuj Go, ukrzyżuj Go!” „A cóż On złego uczynił?” „Ukrzyżuj Go! Nie chcemy nad sobą nikogo, tylko cesarza!” Znów płaszczyzna religijna i polityczna zostały zręcznie ze sobą przemieszane.

Natomiast w losie Chrystusa uzewnętrzniło się raz jeszcze to, co niegdyś dokonało się w losie Abła w samych początkach ludzkości. I w każdym pokoleniu będą Ablowie, którzy cierpią niesprawiedliwość, którzy cierpią prześladowania ze strony Kaina nawet, jeżeli jest to ich własny brat.

Problem polega na tym, po której stronie my jesteśmy. W żadnym wypadku nie wolno nam być Kainami, ani stać po stronie Kaina. W każdym wypadku powinniśmy być solidarni z Panem Bogiem, który domaga się zmiany ludzkiego wnętrza. I w tym dzisiejszym świecie również to wołanie o zmianę ludzkiego wnętrza jest wołaniem, któremu każdy z nas powinien starać się na swój sposób sprostać. I to jest sens pontyfikatu, taki jest również sens nauczania Jana Pawła II w tym trudniejszym czasie, w którym żyjemy. Miejmy nadzieję, że te chmury, które pojawiły się na horyzoncie ludzkości, rozejdą się. Ale one nie rozejdą się wtedy, kiedy tylko będziemy na to czekać, tylko one rozejdą się wtedy, kiedy uświadomimy sobie my, ludzie różnych religii, że grzech waruje u wrót, zło czyha i chce się wdrzeć, a przecież *ty możesz nad nim panować.*

Dzisiaj dziękuję bardzo państwu za uwagę. Gorąco zapraszam na następną konferencję, za cztery tygodnie w marcu, 11 w marca chyba, że będą u nas w tym terminie rekolekcje parafialne. Wtedy konferencja byłaby tydzień później, czyli 18 marca. Dzisiaj bardzo serdecznie dziękuję i zapraszam za cztery tygodnie.

Chwała Ojcu ... Pochwalony Jezus Chrystus ...

6 Męka Pana Jezusa wg. św. Mateusza (dn. 18 marca 2002)

Przedmiotem naszej tegorocznej refleksji było zazwyczaj zastanowienie się, nowe przemyślenie, nowe odczytanie fragmentów książki Jana Pawła II „Przekroczyć próg nadziei”. Dzisiaj jednak zrobimy sobie małe odstępstwo. Tzn. odstępstwo będzie duże, ale koniec końców Ojciec Święty też traktuje o tym, o czym dzisiaj chcielibyśmy sobie powiedzieć. Dlatego że dzisiaj z uwagi na to, że mamy okres Wielkiego Postu, chciałbym przedmiotem naszej refleksji uczynić ewangeliczne u św. Mateusza opowiadanie o pojmaniu, o procesie, o męce i o śmierci Jezusa Chrystusa.

Chciałbym tak zrobić po pierwsze dlatego, ponieważ mamy czas Wielkiego Postu, i właściwie biorąc nie pamiętam, żebyśmy nad tym ewangelicznym opowiadaniem w ostatnich latach się zastanawiali. Po drugie były głosy, kilka co najmniej głosów sugerujących to, żeby zatrzymać się nad ewangelicznymi opowiadaniem o męce Zbawiciela. I po trzecie wreszcie, że te motywy męki i śmierci zajmują sporo miejsca także w książce „Przekroczyć próg nadziei” Jana Pawła II, i one stanowią o naszym chrześcijańskim istnieniu, o tym, kim jesteśmy. I myślę, że na progu Wielkiego Tygodnia, który rozpoczynamy za kilka dni, zatrzymanie się nad Ewangelią, jej lektura i krótki komentarz do niej, dobrze nam zrobią.

Wyjdźmy najpierw od rzeczy ogólniejszych, aby później przejść do bardziej szczegółowych. Otóż państwo dobrze wiedzą, że w kanonie Nowego Testamentu, który stanowi księgę świętą naszą, są cztery Ewangelie: św. Mateusza, św. Marka, św. Łukasza oraz św. Jana. Każda z nich ma swoją własną specyfikę, każda ma swój własny profil, była pisana w określonej sytuacji, i każda również ma swoich adresatów. Jeżeli chcemy te ewangelie czytać z pożytkiem, to musimy mieć podstawowe wiadomości o poszczególnych Ewangeliach, i o ewangelistach. Wiele lat temu zastanawialiśmy się właśnie nad specyfiką każdej z Ewangelii. Dzisiaj trzeba byłoby ewentualnie tylko tytułem wprowadzenia powiedzieć krótko o Ewangelii św. Mateusza, i uzasadnić ten wybór, którego dokonaliśmy.

Ewangelia św. Mateusza została napisana przez człowieka imieniem Mateusz albo przez kogoś bardzo mu bliskiego, kogoś z jego kręgu. Najprawdopodobniej jednak to on sam napisał tę Ewangelię. Wiemy o nim, że był celnikiem, czyli pracował jako poborca podatkowy. Wiemy, że został powołany przez Jezusa prosto z komory celnej. Świadectwem i śladem jego profesji jest fakt, że w żadnej innej Ewangelii nie ma tylu nazw pieniędzy i monet. Można by powiedzieć, że miał mentalność dzisiejszego pracownika kantoru. Jeżeli się czyta Ewangelię św. Mateusza, to tam widać doskonale, że wspomina monety i żydowskie, i greckie, i rzymskie, i syryjskie, i odróżnia jedne od drugich, i zna wartość tych monet. Czyli to by nam bardzo dobrze przystawało do wizerunku jego profesji.

Był Żydem, i swoją Ewangelię pisał, i to jest bardzo ważne, dla tych chrześcijan, którzy nawrócili się z judaizmu, przyjęli Jezusa Chrystusa jako Żydzi. Właśnie ten взгляд przesądzi o tym, że zastanowimy się dzisiaj nad tą Ewangelią. Bo chcielibyśmy dotrzeć jak najbliżej do tych realiów, związanych ze skazaniem Jezusa na śmierć, oraz z Jego męką i z Jego śmiercią. I te realia w Ewangelii św. Mateusza zostały bardzo dobrze pokazane.

Jeżeli chodzi o pozostałe Ewangelie, to tylko słów kilka. Ewangelia św. Marka jest to w gruncie rzeczy Ewangelia św. Piotra Apostoła, ponieważ Marek był jego bardzo bliskim towarzyszem. I gdy czytamy Ewangelię św. Marka to tak, jakby gdybyśmy oglądaliśmy Jezusa oczami św. Piotra, który mu zawsze towarzyszył. Potwierdzeniem tego jest fakt, że tylko w Ewangelii św. Marka tak bardzo ostro i bardzo surowo mówi się o św. Piotrze, i o jego zaparciu. Bo tylko sam Piotr, kiedy zastanawiał się nad swoim życiem, mógł podjąć taki głęboki rachunek sumienia. Inni ewangelisci starali się na wszelkie sposoby Piotra wybielić, a niejako usprawiedliwić. W Ewangelii św. Marka tego nie ma.

Trzecia Ewangelia kanoniczna to jest Ewangelia św. Łukasza. Jest to jedyna Ewangelia napisana przez kogoś, kto nawrócił się z pogaństwa, i kto nie był bezpośrednim świadkiem życia Jezusa Chrystusa, tylko to, co zapisał, znał z opowiadań tych, którzy Jezusa bezpośrednio znali. Ponieważ była to mentalność grecka, sposób myślenia grecki, to i Ewangelia św. Łukasza jest nam najbliższa, bo i my jesteśmy wychowani w tej samej kulturze. Wielokrotnie przy innych okazjach wspominałem państwu, że ta Ewangelia ma zupełnie inne zapatrywania np. na kobiety, jest bardzo przychylna kobietom. Ponieważ Łukasz był lekarzem, to ta Ewangelia jest jednocześnie bardzo mocno wyczułona na rozmaite choroby, słabości, na ludzkie ciało, na ludzki organizm. Jest to, jak się ją często

nazywa również, *ewangelia miłosierdzia*. O ile np. w Ewangelii św. Marka czy św. Mateusza mówi się, że Jezus uzdrowił człowieka, który miał uschłą rękę, to Łukasz zawsze w takim przypadku dopowiada, która to była ręką, czy choroba dotyczyła tej czy innej części ciała — więc bardziej to precyzuje, bo przecież dla lekarza to była sprawa ważna.

Wreszcie czwarta Ewangelia jest to Ewangelia umiłowanego ucznia Jezusa, Jana, który towarzyszył Jezusowi jako młody chłopak. Natomiast swoją Ewangelię pisał pod koniec życia. I jest to Ewangelia człowieka, który zapamiętał Jezusa z młodości, natomiast przeżywał Go przez kilkadziesiąt lat na rozmaite sposoby, a przede wszystkim w sakramentach świętych. Ta Ewangelia jest najpełniej sakramentalna, tam zwłaszcza podkreśla się bardzo mocno wartość Eucharystii oraz wartość chrztu. *Symbolem chrztu jest woda, symbolem Eucharystii jest krew*. I pamiętamy epizod, przedstawiony tylko przez św. Jana, że jeden z żołnierzy przebił włócznią bok Jezusa, a wtedy wypłynęła krew i woda. W ten sposób Jan daje poznać, że na krzyżu mają swój początek dwa sakramenty: chrzest i Eucharystia.

Po tym wprowadzeniu pozostaniemy przy Ewangelii św. Mateusza. Jest to Ewangelia bardzo trudna. Trudna dlatego, bo jest napisana przez Żyda dla Żydów, którzy przyjęli Jezusa Chrystusa, a więc bardzo często nawiązuje do świata żydowskiego, który nam jest obcy, pod wieloma względami go nie znamy. Zawiera również słowa hebrajskie, słowa aramejskie. Wspominałem kiedyś państwu epizod z 1994 r. Mianowicie przebywałem wtedy w Chicago, gdzie w ramach wymiany wykładowców miałem wykłady w Spertus College of Judaica — uczelni kształcącej rabinów. Słuchaczami studium doktoranckiego była grupa stosunkowo młodych rabinów żydowskich. Ponieważ oni chcieli poznawać chrześcijaństwo, poznawać Nowy Testament, uznałem, że powinni przeczytać ewangelie, a w szczególniejszy sposób Ewangelię św. Mateusza. Więc mówię im, że powinni sobie kupić Nowy Testament. Na to usłyszałem, co było dla mnie zaskoczeniem bo wiedziałem o nich sporo ale nie wszystko, że oni nie mogą kupić Nowego Testamentu. Dlaczego? Bo oni, jako Żydzi, zwłaszcza jako rabini, nie mogą wydawać swoich pieniędzy na chrześcijańskie wydawnictwo, żeby chrześcijańskich wydawnictw nie wspierać. Nie mogą tego nabyć, więc nie mogą tego mieć w domu. Byli bardzo szczerzy w swojej odpowiedzi. Więc mówię: „No to co, nie możecie tego w ogóle przeczytać?” No nie, w zasadzie moglibyśmy pójść do biblioteki, ale tam nie będzie. Ale jest wyjście, mówią. Żeby to ja kupił, nawet za pieniądze instytutu, i im dał, to wolno. W ten sposób nie wspieraliby bezpośrednio, tylko wspierali pośrednio.

Proszę zauważyć tę mentalność, niezwykle mądrą. Bo z jakim brakiem odpowiedzialności wielu z nas kupuje rozmaite rzeczy, dając w ten sposób swój grosz na rozwój tych rzeczy. Nie byłoby przecież jakichś tam pism, czasopism i nie wiadomo czego, kaset czy czegokolwiek, gdyby nie było tych, którzy to kupują. A my przykładamy do tego mniejszą wagę, albo żadnej wagi. Ale zostawmy to na boku, to jeszcze nie koniec wszystkiego.

Kiedy dostali w końcu Ewangelię poprosiłem ich, żeby przeczytali Ewangelię św. Mateusza, mieli na to tydzień. Ewangelia św. Mateusza ma 28 rozdziałów. Zabrali się więc dzielnie do czytania, zresztą rabini nawykli do czytania, i za tydzień wrócili. I muszę państwu powiedzieć, że był to jeden z najbardziej wartościowych wykładów i przeżyć, jakie kiedykolwiek miałem w życiu. Bo kiedy przyszli to widziałem, że prawie wszystkim błyszczą się oczy. I czekali, od czego ja zacznę, i myśleli, że to będzie taki wykład, w którym ja będę im coś mówił. Tymczasem ja wołałem czegoś się dowiedzieć od nich, bo po raz pierwszy w życiu miałem przed sobą grupę ponad 20 rabinów, którzy przeczytali Ewangelię. Kiedy zapytałem ich o wrażenia, to wrażenie było takie. Mówię: „Czy zrozumieliście to, o czym Ewangelia mówi?” „Tak, oczywiście.” „A macie jakieś pytania, czy macie jakiś problem?”

I wtedy pierwszy głos, który był, to jeden z nich powiedział: „Ja nie mogę zrozumieć, że wy, chrześcijanie, rozumiecie tę Ewangelię. Przecież ona jest taka żydowska, że żeby ją zrozumieć, żeby ją pojąć, trzeba być Żydem! Jak wy to rozumiecie?” On podejrzewał, że nasze kłopoty z czytaniem Ewangelii św. Mateusza są znacznie większe niż ich kłopoty z czytaniem Ewangelii św. Mateusza. I tak jest w istocie. Bo proszę sobie przypomnieć choćby sam jej początek.

Rodowód Jezusa Chrystusa, syna Dawida, syna Abrahama. Abraham zrodził Izaaka; Izaak Jakuba; ...

Gdy chrześcijanin to czyta, zadaje sobie pytanie — po co to komu? Ale gdy Żyd to czyta, czy to

Żyd chrześcijanin, czy Żyd wyznawca judaizmu, ma to dla niego całkiem inny sens, bo on przywykł do takiego myślenia w kategoriach rodowodów. Mówiłem państwu kilka razy, że chrześcijańska pamięć o przodkach kończy się na naszych dziadkach, rzadko kiedy na pradziadku. Jeżeli zapytać młodego człowieka: „Jak nazywają się twoi dziadkowie, jak mają na imię od strony ojca i od strony mamy?”, to jeszcze z biedą — pod warunkiem, że żyją — potrafi ich wyliczyć. Ale żeby powiedział coś więcej: kiedy się urodzili, jak się nazywali pradziadkowie — koniec! Natomiast kiedy państwo w rodzinie żydowskiej się zapytają, to oni potrafią wywodzić przodków do piątego, do ósmego, do dziesiątego pokolenia i natychmiast potrafią sięgać tak, jak w naszych warunkach, do XVII - XVIII wieku. Czyli pamięć o przeszłości jest zachowywana tam zupełnie inaczej.

Mówię o tym także dlatego, żeby być może w tym świetle popatrzeć na fragment Ewangelii, który będziemy dzisiaj czytali. Jest to bardzo ważne, w tej Ewangelii jest bardzo wiele nawiązań do żydowskiego sposobu pojmowania sprawy, bo przecież Mateusz pisał do takich którzy tak, jak on, stali się uczniami i wyznawcami Jezusa Chrystusa będąc wcześniej wyznawcami judaizmu. Zatem Ewangelia Mateusza dla nas jest trudna, wymaga jakiegoś komentarza, tam się mówi o dziesięcinach z mięty, z kminku, z ruty, tam się mówi o prawie żydowskim, tam się mówi o Starym Testamencie, cytatach biblijnych. Nas to niejako nuży, podczas gdy dla Żyda, starożytnego i dzisiejszego, jest to świat, w którym się obraca.

Dla nas natomiast najłatwiejsza jest Ewangelia św. Łukasza, bo przedstawia Jezusa właśnie według takiej mentalności, według takiego sposobu postrzegania świata, który i nam jest właściwy. Jeżeli więc się zaleca przeczytanie Ewangelii człowiekowi, który chciałby po raz pierwszy przeczytać Ewangelię, to najlepiej zaczynać od Ewangelii Łukasza, Mateusza powinna być na końcu.

Przechodząc do tej konkretnej Ewangelii parę słów na temat Palestyny w czasach Jezusa Chrystusa. Musimy mieć wzgląd na kilka spraw. Otóż po pierwsze Palestyna była wtedy pod okupacją rzymską, która trwała już kilka dziesięcioleci. Okupacja rozpoczęła się w r. 63 przed Chr., kiedy to Rzymianie zajęli Jerozolimę, i zajęli Palestynę. W momencie śmierci Jezusa, co miało miejsce ok. roku 30 bądź 33, w zależności od sposobu rachuby czasu, już mieli za sobą ponad 90 lat okupacji. Można by powiedzieć: 90 lat zaborów.

Jeżeli więc chcielibyśmy zrozumieć *Palestynę i jej uwarunkowania w czasach Jezusa, to moglibyśmy porównać do sytuacji Polski pod zaborami pod koniec XIX wieku*. Można by powiedzieć, że istniały zupełnie podobne reakcje, zupełnie podobne tendencje, i zupełnie podobne problemy. Otóż byli tacy Żydzi, którzy nieźle się ułożyli z Rzymianami i czerpali z tego tytułu rozmaite zyski. Byli tacy Żydzi, którzy ciągle liczyli na to, że okupacja rzymska się skończy, i wobec tego nie chcieli się z nią pogodzić. Byli wreszcie tacy Żydzi, którzy zbrojnie sprzeciwiali się okupantom rzymskim, a także przeciwstawiali się innym Żydom, którzy kolaborowali z Rzymianami. Tak więc podziały nie biegły tylko pomiędzy Żydami a Rzymianami, tylko również wewnątrz żydowskiego świata. Znakiem tych podziałów jest bardzo silne różnicowanie w ówczesnym judaizmie, o którym powiemy sobie jeszcze parę słów za moment. Więc jedna sprawa to jest okupacja, i oczywiście rozmaity stosunek do tej okupacji rzymskiej.

Druga sprawa, którą trzeba znać, to była wielojęzyczność w tym okresie, i wielokulturowość. Co to znaczy wielojęzyczność? W Palestynie były wtedy w użyciu trzy języki. Język hebrajski, który był starym językiem ogółu Żydów, ale w czasach Jezusa Chrystusa był używany przede wszystkim w synagodze, przede wszystkim w liturgii, przede wszystkim do czytania ksiąg świętych. Natomiast czy i na ile na co dzień mówili po hebrajsku, tego nie wiemy. Bo problem polega na tym, że znajdujemy księgi święte z tamtego okresu, ale one przynależą do kanonu Pisma Świętego, i one z konieczności musiały być hebrajskie. Językiem popularnym, mówionym na co dzień, był język aramejski, który jest bardzo bliski hebrajskiemu. Z nim Żydzi zetknęli się na wygnaniu babilońskim, potem go sobie przyswoili. Ten język w starożytności był bardzo rozpowszechniony. I wreszcie od ok. dwóch stuleci przed Jezusem w całym basenie Morza Śródziemnego upowszechnił się język grecki. Pełnił on taką funkcję, jaką dzisiaj pełni język angielski, np. w takich krajach jak Dania, jak Holandia, Skandynawia w ogóle, każdy mówi dobrze lub bardzo dobrze po angielsku. W Palestynie było podobnie. Przeciętny Żyd mówił po aramejsku, znał hebrajski, bo to był język modlitwy. Ale przeciętny Żyd mówił również po grecku, bo był to język, który przynieśli ze sobą Rzymianie. Paradoks polegał na tym, że na terenie Palestyny łacina wtedy była bardzo rzadka. I tylko niektórzy, którzy przybywali z Rzymu, mówili po łacinie. Ona była językiem oficjalnym,

kancelaryjnym, natomiast po łacinie tam wtedy nikt nie mówił — mówiono po grecku.

Ta wielojęzyczność powodowała wielokulturowość. Podziały przebiegały mniej więcej tak. Hebrajski i aramejski były używane w Jerozolimie i okolicy, natomiast grecki był używany w dużej części na terenie Galilei, czyli bardziej na północ, ku granicy z Libanem. Tam, gdzie wychował się Jezus, w Nazarecie, używany był częściej grecki, niż aramejski i hebrajski. Ale Jezus najprawdopodobniej mówił na co dzień po aramejsku. Skąd o tym wiemy? Mówiliśmy o tym kiedyś, ja tylko państwu przypomnę. Wskazują na to te teksty ewangeliczne, w których mowa jest o cierpieniu Jezusa, zwłaszcza o cierpieniu na krzyżu. Ci z państwa, którzy mają cokolwiek do czynienia ze sztuką medyczną, wiedzą, że każdy człowiek cierpi w języku swojej matki. Można znać wiele języków. Natomiast kiedy nas coś bardzo boli, to wtedy okazuje się, który język jest matczyny, który język jest rodzimny. Otóż Jezus na krzyżu rozpięty modlił się po aramejsku. Kiedy mówił: „Eli, Eli, lema sabachthani?” (Boże mój, Boże mój, czegoś Mnie opuścił?), co stanowi początek psalmu, modlił się po aramejsku. Możemy z tego zasadnie wnosić, że ten język był Mu najbliższy. Ale z drugiej strony dobrze wiemy, że np. z Pilatem, czyli rzymskim urzędnikiem, rozmawiał bez żadnego tłumacza, czyli znał grecki. I wreszcie na pewno znał hebrajski, bo kiedy poszedł do synagogi w Nazarecie, wtedy podano Mu zwój księgi proroka Izajasza. On czytał z tego zwoju tekst, a następnie ten tekst komentował. Zatem można o Jezusie jako o człowieku domniemywać, że znał wszystkie te trzy języki, i to znał bardzo dobrze.

Po tym wstępie jeszcze jedna uwaga. Otóż życie żydowskie było wtedy bardzo silnie zróżnicowane. Istniały różne grupy, które bardzo często kłóciły się między sobą, a nawet do pewnego stopnia się zwalczały, ale mimo to tworzyły taką jedność w różnorodności. Najważniejsze grupy, to byli tzw. *faryzeusze*, którzy ukształtowali się od ok. 150 lat przed Chrystusem. To była bogatsza warstwa społeczeństwa, można by ich porównać — z pewnym ryzykiem, bez złośliwości, przyszło mi do głowy takie porównanie, chciałbym, żeby państwo to dobrze zrozumieli — do takich Klubów Inteligencji Katolickiej. Mianowicie to byli ludzie przekonani o swoich możliwościach umysłowych, intelektualnych. jednocześnie nieco separowali się od takich zwyczajnych, prostych ludzi, uważali siebie za nieco lepszych, sporo pisali, sporo uczyli, sporo mówili itd. Na ogół byli podziwiani, ale jednocześnie niezbyt lubiani, aczkolwiek ich słuchano. Wśród nich byli specjaliści nauczyciele, cieszący się szczególnym autorytetem, i do nich zwracano się mówiąc „rab”, czyli „nauczyciel” albo „mistrz”. Kiedy zwracano się w formie bardzo osobistej, mówiono do nich „rabbi” czyli „mój mistrzu”, „mój nauczycielu” — tak, jak po polsku „proszę pana” albo „proszę pani” do nauczycielki w szkole. Ten sposób zwracania się „rabbi” bardzo szybko stał się tytułem, i bardzo szybko zaczęto używać określenie „rabbi” jako nazwy własnej. Tak powstała nazwa „rabin”, która przez grecki język przeszła również do języka polskiego.

Druga grupa to byli tzw. *sadyceusze*. Otóż to była grupa o pochodzeniu kapłańskim. Kapłaństwo przechodziło tam z ojca na syna, w naszym wyznaniu było by to niemile widziane. Tam był to obowiązek: kapłanem mógł być tylko syn kapłana, córka niestety nie, pod tym względem sprawiedliwości nie było. Oczywiście tych kapłanów było bardzo dużo, były ich tysiące. I mieli bardzo duży wpływ na ówczesne życie. Trzeba dodać jeszcze jedną sprawę, że i faryzeusze i sadyceusze, mniej lub bardziej, w sposób otwarty bądź nie, kolaborowali z Rzymianami. Dlatego, że mieli za dużo do stracenia. I wydaje się, że tak przyzwyczaili się do okupacji — choć starali się robić inne wrażenie — prawda była taka, że nieźle się z Rzymianami układali.

Była jeszcze jedna grupa, mianowicie tzw. *zeloci*. Nazwa jest pochodzenia greckiego, od zeleo czyli „gorliwy”. Odrzucali oni jakąkolwiek kolaborację, jakąkolwiek współpracę z Rzymianami. Mało tego! Wśród nich najbardziej radykalnym odłamem byli tzw. *sykaryjczycy* od słowa łacińskiego oznaczającego miecz. Oni pod płaszczami nosili krótkie miecze, można by powiedzieć: duże noże. I bardzo się ich bano, bano się ich jak ognia, bo byli to tacy starożytni żydowscy terroryści. Ich udział w życiu publicznym na tym polegał, że jeżeli tylko mogli, to zabijali skrycie zarówno Rzymian jak i kolaborujących Żydów. W Ewangelii mamy też ślady tych obaw, tego lęku.

I wreszcie czwarta grupa ówczesnego życia żydowskiego to byli tzw. *esseńczycy*. Ci uznali, że faryzeusze są za bogaci, sadyceusze są za układni, sykaryjczycy i zeloci są zbyt krwawi, zatem najlepszą rzeczą będzie zostawić całe to towarzystwo, usunąć się i szukać Pana Boga w ciszy, w odosobnieniu, nie w Świątyni, nie w mieście tylko na indywidualnej modlitwie i we wspólnocie, którą założyli nad Morzem Martwym w Qumran. Tam mieszkali ich setki, a być może tysiące ludzi,

którzy izolowali się od życia publicznego. Można by powiedzieć, że byli to starożytni żydowscy mnisi.

Dodajmy tylko jedno zdanie, że w roku 70 po Chr., w trakcie powstania żydowskiego przeciwko Rzymianom, które wybuchło 4 lata wcześniej, Rzymianie wtargnęli na teren Palestyny i wszystkie te grupy zlikwidowali w okrutny sposób. Wymordowali kogo się dało. Jeżeli ktoś poszedł na układy z Rzymianami tak, jak Józef Flawiusz, który to wszystko opisał, to ten przeżył. Natomiast reszta musiała albo uciekać, albo ponieść śmierć. Po roku 70 przetrwały tylko niedobitki faryzeuszów. I właśnie ten nurt faryzejski dał później początek temu życiu żydowskiemu, które trwa po dzień dzisiejszy. Ponieważ wśród faryzeuszy prym wodzili rabini, to konsekwentnie ten judaizm nosi nazwę judaizmu rabinicznego i istnieje po dzień dzisiejszy.

Po tym długim wstępie przejdźmy do Ewangelii. Otóż w Ewangelii św. Mateusza obserwujemy, jak bardzo wyraźnie narasta napięcie pomiędzy różnymi grupami Żydów, a Jezusem. Największe napięcie narastało pomiędzy faryzeuszami i sadyceuszami z jednej strony, a Jezusem i jego uczniami. Faryzeusze i sadyceusze kłócili się między sobą, ale w tym jednym byli zgodni — mianowicie i jedni i drudzy przeciwstawili się otwarcie Jezusowi. Dlaczego? Odpowiedź jest bardzo złożona i bardzo trudna. Przede wszystkim dlatego, ponieważ Jezus zakwestionował w wyraźny sposób ich sposób przeżywania religijności, ich pobożność, ich wpływ na ludzi. I zwrócił uwagę na to, że religijność, jaką oni reprezentują, ma więcej w sobie z ludzi, niż z Boga. I wiele razy im wskazywał, że tak rozbudowali rozmaite przykazania, i każą ich przestrzegać prostym ludziom, że ci prości ludzie nie są w stanie wywiązać się z wszystkich tych wymogów. Proszę sobie przypomnieć te słowa Jezusa, które słyszymy od czasu do czasu w kościele, w których Jezus ostro upomina faryzeuszy i sadyceuszy. Mówi, że „wiążecie ludziom ciężary wielkie, ale sami palcem nie chcecie ich tknąć”. Takie słowa musiały wywoływać reakcję, narastał coraz większy konflikt.

Ale jeszcze większy konflikt narastał z arcykapłanami i z tymi, którzy w owym czasie byli przywódcami religijnymi. Przyczyną tego konfliktu w dużej mierze był stosunek Jezusa do świątyni jerozolimskiej, a także to, za kogo Jezus przedstawiał siebie tym, którzy Go słuchali, i tym wszystkim, których nauczał. *Otóż Jezus wskazywał, że świątynia jerozolimska nie jest niezbędną częścią życia religijnego.* Wskazywał i uczył, że wyznawcą Boga można być wszędzie pod warunkiem, że człowiek ma prawe sumienie, prawe serce, że jest dobry, że przestrzega przykazań. Oni natomiast mocno podkreślali rolę świątyni jerozolimskiej. Ten konflikt osiągnął szczyt, kiedy Jezus zbliżał się do Jerozolimy i zapowiedział, że z tego, na co patrzą, nie zostanie kamień na kamieniu. I wtedy powstało oburzenie.

Jeżeli komuś z państwa się wydaje, że to ot taka prosta sprawa, to wyobraźmy sobie sytuację, w której ktoś zbliża się do Jasnej Góry i zapowiada, że Jasna Góra zostanie zburzona — proszę sobie wyobrazić reakcję paulinów. Otóż coś podobnego było tam, w Jerozolimie. Reakcja tych arcykapłanów była straszliwie żywa, mocna, dosadna. Oni nie ukrywali, że Jezusa szczerze nienawidzą. Te przesłanki — muszę skracać, bo niektóre motywy pojawią się zaraz w Ewangelii św. Mateusza — przesądziły o tym, że coraz bardziej zastanawiano się co z Jezusem zrobić.

I wtedy pojawiły się dwie frakcje. Jedną wśród faryzeuszy, którą reprezentował m.in. Gamaliel (znany jego imię z Dziejów Apostolskich) oraz Nikodem (który wcześniej spotkał się z Jezusem, i z Jezusem rozmawiał) mówiła mniej więcej tak: „Zostawmy tę sprawę. Zostawmy tego człowieka. Jeżeli ta sprawa jest z Boga, to ona przetrwa, jeżeli jest z ludzi, to sama przepadnie.” A druga frakcja wśród arcykapłanów, faryzeuszy i sadyceuszy była o wiele bardziej radykalna, i o wiele wyraźniej formułowała swoje żądania — postanowili Jezusa zgładzić. Oczywiście mogli to zrobić w sposób skrytobójczy, ale najwyraźniej nie mieli ku temu okazji, bo Jezus zawsze był w otoczeniu Apostołów. Wobec tego postanowiono doprowadzić do pojmania Jezusa i do przeprowadzenia jego procesu, wskutek którego można byłoby Jezusa skazać na śmierć. Z tym, że proszę zauważyć tutaj taki podstęp, fortel — za chwilę będziemy widzieli jego szczegóły. Mianowicie doszli do wniosku, że ponieważ oni byli w tym czasie pod okupacją rzymską i nie mogli wykonywać wyroków śmierci, to wobec tego wydawszy wyrok śmierci na Jezusa musieli mieć zatwierdzenie Rzymian po to, aby to według systemu prawnego rzymskiego, czyli według systemu okupanta, przeprowadzić następnie egzekucję.

Posłuchajmy. Wiemy dobrze, że żaden moment z życia Jezusa nie jest tak dobrze opisany, jak ostatnie godziny Jego życia, Jego męka i Jego śmierć. Znaczna część każdej Ewangelii jest poświęcona tym kilkunastu godzinom, ostatnim godzinom w życiu Zbawiciela. Dlaczego Apostołowie

przykładali do tego taką wagę? Można by powiedzieć — z dwóch powodów. Po pierwsze dlatego, że oni na co dzień byli bardzo blisko z Jezusem, bardzo przyjaźnili się z Jezusem, i bardzo mocno przeżyli Jego śmierć. Konsekwentnie więc to wszystko, co przeżyli, wywarło na nich trwale piętno. I po drugie oni doskonale wiedzieli, że całe życie Jezusa nabiera znaczenia właśnie w świetle Jego męki, Jego śmierci, i później Jego zmartwychwstania. Oni wiedzieli, że Jezus dokonał wielu cudów, nauczał, robił co mógł, ale najwięcej uczynił wtedy, kiedy został pojmany i kiedy to, co się działo, nie zależało od Jego woli.

I w związku z tym właśnie te ostatnie godziny Jego życia zostały opisane bardzo dokładnie. Pamiętamy, że w czwartek, w ostatnim tygodniu życia Jezusa, miała miejsce Ostatnia Wieczerza — tak nazywamy ostatni posiłek Jezusa. Jezus miał świadomość, że to jest Jego ostatnie spotkanie z Apostołami. Na tej Ostatniej Wieczerzy ustanowił zatem sakrament Eucharystii, sakrament kapłaństwa i sakrament pokuty. Otóż dał poznać, że to jest koniec i w związku z tym zostanie z Apostołami, ze swoimi wyznawcami w zupełnie nowy, sakramentalny sposób. Podczas Ostatniej Wieczerzy — pamiętamy to — w pewnym momencie Jezus zapowiedział dość dramatycznie, że „jeden z was, którzy tutaj siedzicie, Mnie zdradzi”. Wszyscy zaczęli pytać „Czy to nie ja?”, tak samo zapytał Judasz. Jezus odpowiedział „Tak, ty”. Wtedy Judasz wstał i wyszedł. Ewangelista dodaje „a była noc”, czyli był już wieczór, taka mniej więcej pora, jak w tej chwili.

Ta noc to jest również symbol jakiegoś wejścia w niewiadomą, w którą udał się Judasz. I kiedy skończyła się Ostatnia Wieczerza, a miała miejsce tam, gdzie po dzień dzisiejszy wznosi się tzw. Wieczernik, Jezus zszedł do podnóża Góry Oliwnej, do Ogrodu Oliwnego, aby się modlić. Wziął ze sobą tylko trzech uczniów: Piotra, Jakuba i Jana. Tych, którzy byli najbliższym Jego. Tych, którzy towarzyszyli Mu również podczas Przemienienia na górze Tabor. Tych, którzy zdawali sobie najlepiej sprawę z tego, kim On jest. I dobrze wiemy, że kiedy oni Mu towarzyszyli w tej modlitwie, to wtedy Jezus modlił się — a oni usnęli. Zatem był to już taki późny wieczór, trudno mówić o godzinie, ale może dziewiąta, może w pół do dziesiątej. Pamiętajmy, że rytm dnia w starożytności był inny niż dzisiaj. Nie było prądu elektrycznego, nie było światła, zatem ludzie wstawali ze słońcem, i kładli się spać niedługo po zachodzie. Była wtedy wiosna, obliczono, że najprawdopodobniej śmierć Jezusa miała miejsce 3 kwietnia 30 roku. W Palestynie zmrok zapada ok. godz. 18, więc to wszystko było 2 - 3 godziny później. I teraz ewangelista napisał tak:

Gdy On jeszcze mówił, oto nadszedł Judasz, jeden z Dwunastu, a z nim wielka zgraja z mieczami i kijami, od arcykapłanów i starszych ludu.

Otóż Mateusz nie zostawia żadnej wątpliwości, że to, co dokonało się w Ogrodzie Oliwnym, było zorganizowane przez arcykapłanów i starszych ludu. O ich niechęci do Jezusa powiedzieliśmy już nieco. Ta niechęć osiąga teraz swój szczyt. Udało się im pozyskać rozmaitych ludzi prostych, również jakąś grupę posłusznych im strażników, i wreszcie Judasza, który otrzymał od nich pieniądze. Dlaczego Judasz był potrzebny? Otóż przede wszystkim dlatego, że ci strażnicy, którzy szli Jezusa aresztować, w nocy nie bardzo wiedzieli, który to jest, nie bardzo zdawali sobie sprawę, kogo mają pojmać. Zadaniem Judasza było wskazać Go. I Judasz, jak wiemy, zrobił to w sposób, który do tej pory pozostał w języku jako „judaszowski pocałunek”. Mianowicie umówił się ze strażnikami że to Ten, do którego podejście pierwszego, i z Kim się przywita. To powitanie będzie znakiem dla strażników, kogo mają chwycić. I Judasz podchodzi do Jezusa, i się z Nim wita. A na starożytnym Bliskim Wschodzie witali się mężczyźni między sobą, i kobiety między sobą w taki sposób obejmując się i pochylając nad sobą. Wtedy usłyszał Judasz od Jezusa „Judaszu, pocałunkiem zdradzasz Syna Człowieczego?” (Łk 22,48) Judasz przekonał się, że Jezus bardzo dobrze rozpoznał jego intencje. I gdy tylko powitanie się skończyło, natychmiast dopadli ci, którzy przyszli razem z Judaszem, i Jezus został przez nich pojmany.

Zdrajca zaś dał im taki znak: «Ten, którego pocałuję, to On; Jego pochwyćcie!». Zaraz też przystąpił do Jezusa, mówiąc: «Witaj Rabbi!», i pocałował Go. A Jezus rzekł do niego: «Przyjacielu, po coś przyszedł?» Wtedy podeszli, rzucili się na Jezusa i pochwycili Go. A oto jeden z tych, którzy byli z Jezusem, wyciągnął rękę, dobył miecza i ugodziwszy sługę najwyższego kapłana odciął mu ucho.

Wspominaliśmy o tych zelotach, a nawet sykaryjczykach. I w gronie Apostołów był jeden, który był takim właśnie gorliwcem, zelotą. Ten Apostoł nosi imię Szymon Gorliwy — ale nie chodzi o gorliwość w modlitwie, chodzi o gorliwość o profilu, nazwijmy to umownie patriotycznym. Najprawdopodobniej to on z mieczem wystąpił w obronie Jezusa.

Wtedy Jezus rzekł do niego: «Schowaj swój miecz, bo wszyscy, którzy za miecz chwytają, od miecza giną. Czy myślisz, że nie mógłbym poprosić Ojca mego, a zaraz wystawiłby Mi więcej niż dwanaście zastępów aniołów? Jakże więc spełnią się Pisma, że tak się stać musi?»

W owej chwili Jezus rzekł do tłumów: «Wyszliście z mieczami i kijami jak na zbójcę, żeby Mnie pojmać. Codziennie zasiadałem w świątyni i nauczalem, a nie pochwyciliście Mnie. Lecz stało się to wszystko, żeby się wypełniły Pisma i Prorocy».

Zwróćmy uwagę, że Jezus daje im poznać, że oto tego wieczoru ludzie, którzy przedtem krzyczeli „Witaj królu!”, którzy Go podziwiali — w ciągu jednego wieczoru wszystko zmieniło się przeciwko Jezusowi. Mówi „Wiele razy byłem w świątyni, na terenie świątyni, mogliście Mnie pojmać. A dzisiaj przychodzicie z mieczami i kijami, jak na chuligana. Dlaczego to robicie?” A jak zachowali się Jego uczniowie?

Wtedy wszyscy uczniowie opuścili Go i uciekli.

Była noc. Więc w tym tłumie w nocy mogli jakoś uciec. Jezus został sam ze swoimi prześladowcami. Tak rozpoczyna się opis męki, któremu chcemy się teraz, na krótko przed Wielkim Tygodniem, jeszcze raz przyjrzeć.

Ci zaś, którzy pochwycili Jezusa, zaprowadzili Go do najwyższego kapłana, Kajfasza, gdzie zebrali się uczeni w Piśmie i starsi.

Ten wiersz, te słowa stały się przedmiotem silnych kontrowersji, zwłaszcza w minionym XX wieku, kiedy to uczeni żydowscy powiedzieli tak: „To jest niemożliwe, żeby tak się stało dlatego, ponieważ najwyższy kapłan i sanhedryn, czyli wysoka rada żydowska, nigdy nie obradowali wieczorami. A jeżeli nawet obradowali wieczorami, to nigdy wieczorami nie wydali wyroku śmierci. Nie było takiego zwyczaju. Przepisy były inne.” I tak dochodzimy do pewnego paradoksu, jaki istnieje między teorią prawa, a prawną praktyką.

Kiedy w 1984 r. został porwany ksiądz Jerzy Popiełuszko, to na drugi dzień — znany ten epizod ze zwierzeń samego biskupa Kazimierza Romaniuka — zadzwonił do biskupa generał Kiszczak i zakomunikował biskupowi, że wczoraj mężczyźni przebrani za milicjantów porwali księdza Popiełuskę. Biskup zapytał „A skąd pan wie, że oni byli przebrani za milicjantów?” Na to generał odpowiedział: „No chyba ksiądz biskup nie przypuszcza, że mogli to zrobić milicjanci.” Otóż procedury milicyjne nie przewidywały porwań ludzi, nie przewidywały mordowania ludzi w nocy ani wrzucania tych ludzi do rzeki, przywiązywania im kamieni itd. Nie znajdzie się żadnego spisu procedur milicyjnych, które by takie metody dopuszczały, czy by na takie metody pozwalały.

Podobną sytuację mamy tutaj. Czym innym są procedury, a czym innym może być faktyczny stan rzeczy. W normalnych procedurach wysoka rada nie wydawała wyroków śmierci, ani nie zbierała się późną nocą. Ale w tym przypadku, jak świadczą Mateusz, Marek, Łukasz i Jan, było inaczej. Mianowicie sąd nad Jezusem odbył się późnym wieczorem w czwartek. Jak ten sąd wyglądał?

A Piotr szedł za Nim z daleka, aż do pałacu najwyższego kapłana. Wszedł tam na dziedziniec i usiadł między służbą, aby widzieć, jaki będzie wynik.

Tymczasem arcykapłani i cała Wysoka Rada szukali fałszywego świadectwa przeciw Jezusowi, aby Go zgładzić.

Zatem wyrok faktycznie już zapadł. Szukano tylko pretekstu, żeby ten wyrok uwiarygodnić. To nie po raz pierwszy niewinny człowiek zostaje skazany na śmierć, a zadaniem sądu jest tylko wydać wyrok skazujący. Takie sądy odbywały się w starożytności, takie sądy odbywają się po dzień dzisiejszy. Mamy tutaj przykład solidarności Jezusa z niewinnie skazanymi, i z niewinnie prześladowanymi. Zatem wyrok był wcześniejszy, niż cała procedura. I dalej:

Ale nie znaleźli, jakkolwiek występowało wielu fałszywych świadków. W końcu stanęli dwaj i zeznali: «On powiedział: „Mogę zburzyć przybytek Boży i w ciągu trzech dni go odbudować”».

Otóż i tak wracamy do tego, co posłużyło za pretekst do skazania Jezusa, mianowicie *stosunek Jezusa do świątyni jerozolimskiej*. Wszystko to działo się w bliskim sąsiedztwie świątyni, dosłownie w odległości kilkuset metrów. I oto ci świadkowie powołują się na faktyczne słowa Jezusa, zapowiadające zburzenie świątyni jerozolimskiej z tym, że mówią, że Jezus zapowiadał, że to On zburzy tę świątynię — nie „że zostanie zburzona”, tylko „On ją zburzy”.

Wtedy powstał najwyższy kapłan i rzekł do Jezusa: «Nic nie odpowiadasz na to, co oni zeznają przeciwko Tobie?» Ale Jezus milczał. A najwyższy kapłan rzekł do Niego: «Poprzysięgam Cię na Boga żywego, powiedz nam: Czy Ty jesteś Mesjasz, Syn Boży?»

To pytanie arcykapłana jest jednym z najważniejszych miejsc w Ewangelii. Jeżeli państwo czytają uważnie Ewangelię to wiecie, że do Jezusa przychodzili ludzie i pytali „Kim Ty jesteś?”, „Powiedz, kim Ty jesteś”. Jan Chrzciciel wysłał posłańców: „Kim Ty jesteś? Czy Tym, który miał przyjść, czy też mamy oczekiwać kogoś innego?” Czasami Jezus pytał swoich uczniów: „Za kogo Mnie uważają ludzie?”, „A wy, za kogo Mnie uważacie?”. Ale nigdy Jezus nie mówił o sobie „Ja jestem Synem Bożym”. Dlaczego? Bo zdawał sobie sprawę z tego, że zostało by to odebrane jako swoiste bluźnierstwo. Bo przecież był człowiekiem, nie mógł im ukazać tej boskiej części Swojej tożsamości. Bo jedyne, co mógł robić, to cuda, znaki, piękne nauki. Ale z tego jeszcze nie można było wnosić, że On jest Bogiem. Bo ci ludzie, tak jak i my dzisiaj, byśmy tego do siebie nie dopuścili, nie mogli przyjąć.

Użyjmy jeszcze jednego przykładu. Gdyby Najświętsza Maria Panna, Matka Jezusa, powiedziała, że poczęła Jezusa w dziewiczy sposób, stała by się przedmiotem kpin. To była Jej tajemnica, o której można było mówić tak na dobre dopiero po Zmartwychwstaniu, gdy Zmartwychwstanie rzuciło zupełnie nowe światło na całe życie Jezusa.

Otóż Jezus przez całe życie wzbraniał się przed mówieniem, że jest Bogiem. Natomiast kiedy arcykapłan zadał Mu pytanie:

«Poprzysięgam Cię na Boga żywego, powiedz nam: Czy Ty jesteś Mesjasz, Syn Boży?»
Jezus mu odpowiedział: «Tak, Ja Nim jestem.

To jest sedno Ewangelii. Właśnie wobec arcykapłana, najwyższego ówczesnego religijnego autorytetu, Jezus wyznaje swoją tożsamość. Jezus mówi „Tak, Ja Nim jestem”, i dodał:

Ale powiadam wam: Odtąd ujrzycie Syna Człowieczego, siedzącego po prawicy Wszechmocnego, i nadchodzącego na obłokach niebieskich». Wtedy najwyższy kapłan rozdarł swoje szaty i rzekł: «Zbluźnił. Na cóż nam jeszcze potrzeba świadków? Oto teraz słyszeliście bluźnierstwo. Co wam się zdaje?» Oni odpowiedzieli: «Winien jest śmierci».

Otóż Jezus zostaje skazany na śmierć dlatego, że wyznał wobec arcykapłana, że jest Synem Bożym. To zostało Mu poczytane za bluźnierstwo. **Po dzień dzisiejszy spór o Jezusa to jest spór o to, kim On jest.** Każdy kto powie, że Jezus był wielkim nauczycielem, dobrym człowiekiem, Mistrzem z Nazaretu, wspaniałym rabbim, miłosiernym itd. **nie jest jeszcze chrześcijaninem. Otóż być chrześcijaninem, to znaczy uznać bóstwo Jezusa Chrystusa.**

I tutaj się różnimy. Przede wszystkim różnimy się od Żydów. Ojciec Święty Jan Paweł II w „Przekroczyć próg nadziei” napisał, że właśnie ten moment, to wyznanie, stało się jakby kamieniem obrazy. Że właśnie z tego wyznania zrodził się protest, który trwa po dzień dzisiejszy. I ten protest nazywa się synagogą i nazywa się islamem. Jedni i drudzy mówią, że Bóg jest wzniosły, transcendentny, absolutny, wszechmogący, pełen majestatu i *kocha ludzi. Ale nie na tyle, żeby stać się jednym z nas.*

Tutaj nasze drogi radykalnie się rozchodzą, drogi chrześcijan, wyznawców Jezusa Chrystusa, oraz drogi wyznawców judaizmu i drogi wyznawców islamu. I proszę zauważyć, że ta scena przesłuchania przed najwyższym kapłanem była decydująca dla całego losu Jezusa, i jest również decydująca dla tego, kim my jesteśmy. **Być chrześcijaninem to znaczy przyjąć tę deklarację**

Jezusa przed arcykapłanem, jako swoją. Natomiast jeżeli się tej deklaracji nie przyjmuje, to oczywiście nie należymy też do grona Jego wyznawców. Arcykapłan zawołał o Jezusie „Zbluźnił!” I dalej:

Co wam się zdaje?» Oni odpowiedzieli: «Winien jest śmierci». Wówczas zaczęli pluć Mu w twarz i bić Go pięściami, a inni policzkowali Go i szydzili: «Prorokuj nam, Mesjaszu, kto Cię uderzył?»

Czyli Jezus staje się przedmiotem kpin, przedmiotem drwin i przedmiotem udręczenia. Skoro jesteś zapowiadającym Mesjaszem, skoro jesteś posłany od Boga — urządzono z Niego brzydką zabawę bijąc Go i każąc Mu wskazywać, kto Go uderzył. Jezus zostaje sponiewierany. Odpowiedzią na deklarację Jezusa jest właśnie sponiewieranie Go.

Dalej następuje epizod zaparcia się Piotra. Zostawmy ten epizod na moment, znamy go bardzo dobrze, być może kiedy indziej trzeba będzie się nad nim zatrzymać. Natomiast zauważmy, co się działo później. Wyrok śmierci na Jezusa zapadł przed arcykapłanem Kajfaszem. Ale ponieważ Palestyna była pod okupacją rzymską, to Żydzi mogli wydawać wyroki śmierci za trzy przestępstwa: bluźnierstwo, cudzołóstwo, nadużywanie imienia Bożego. Ewangelie świadczą, że wszystkie te przypadki były wykorzystywane. I kiedy Jezus zostaje skazany na śmierć, należało dopełnić obowiązku potwierdzenia tego wyroku przez namiestnika rzymskiego Piłata. On musiał ten wyrok zatwierdzić, aby mógł być wykonany. I dlatego:

A gdy nastał ranek, wszyscy arcykapłani i starsi ludu powzięli uchwałę przeciw Jezusowi, żeby Go zgładzić.

Proszę zwrócić uwagę na moment, który zaznaczyłem nieco wcześniej. Mianowicie niektórzy krytycy, zwłaszcza żydowscy, powiadają, że sanhedryn nie wydawał wyroków śmierci wieczorem. I w gruncie rzeczy ewangelista Mateusz powiada, że *oficjalny wyrok śmierci na Jezusa zapadł dopiero wtedy, kiedy nastał ranek*. Bo, raz jeszcze przeczytam: „wszyscy arcykapłani i starsi ludu powzięli uchwałę przeciw Jezusowi, żeby Go zgładzić”. Otóż wiedzieli, że noc nie jest dobrym czasem na podejmowanie sądów, takie sądy były nielegalne. Więc to przesłuchanie, które dokonało się w nocy, dopełniono wyrokiem śmierci wydanym na drugi dzień rano. Możemy się tylko domyślać, jak wyglądała ostatnia noc w życiu Jezusa. W Jerozolimie, w dawnym pałacu arcykapłana Kajfasza, w miejscu które nosi nazwę *św. Piotra o pianiu koguta*, w kościele bardzo ładnym, bardzo zadbanym, są lochy pokazywane jako miejsce, gdzie Jezus przeżył ostatnią noc swojego ziemskiego życia. Nazajutrz:

Związawszy Go zaprowadzili i wydali w ręce namiestnika Poncjusza Piłata.

W ten sposób Jezus stanął przed namiestnikiem rzymskim. Piłat był namiestnikiem w latach 26 – 36. Jeszcze do niedawna, do lat siedemdziesiątych, imię Piłata znane było tylko z *Wyznania Wiary*, i podawano w wątpliwość, czy on w ogóle istniał. W Cezarei Nadmorskiej, w teatrze zbudowanym przez Rzymian, odnaleziono kamień, który został wykorzystany jako stopień przy wejściu do teatru. Został ten kamień położony odwrotnie. I na jego spodniej stronie znaleziono inskrypcję, że budowla została zapoczątkowana w czasach, kiedy namiestnikiem rzymskim był właśnie Piłat. W ten sposób mamy spoza Biblii potwierdzenie o Poncjuszu Piłacie. Jezus stanął przed Piłatem.

Jezusa zaś stawiono przed namiestnikiem. Namiestnik zadał Mu pytanie: «Czy Ty jesteś królem żydowskim?» Jezus odpowiedział: «Tak, Ja nim jestem». A gdy Go oskarżali arcykapłani i starsi, nic nie odpowiadał. Wtedy zapytał Go Piłat: «Nie słyszysz, jak wiele zeznają przeciw Tobie?» On jednak nie odpowiedział mu na żadne pytanie, tak że namiestnik bardzo się dziwił.

Oskarżenia Jezusa przed arcykapłanami miały charakter religijny. Oskarżenia Jezusa przed namiestnikiem rzymskim mają charakter polityczny. Tam został skazany na śmierć za to, że przedstawił siebie jako Syn Boży. To nie mogło być tytułem do skazania Go na śmierć przez Piłata. Zatem zamieniono to oskarżenie twierdząc, że podaje się za króla, a więc jest przeciwko porządkowi prawnemu. I ostatnie zdania:

A był zwyczaj, że na każde święto namiestnik uwalniał jednego więźnia, którego chcieli. Trzymano zaś wtedy znacznego więźnia, imieniem Barabasz. Gdy się więc zebrali, spytał ich Piłat: «Którego chcecie, żebym wam uwolnił, Barabasz czy Jezusa, zwanego Mesjaszem?» Wiedział bowiem, że przez zawiesić Go wydali. A gdy on odbywał przewód sądowy, żona jego przysłała mu ostrzeżenie: «Nie miej nic do czynienia z tym Sprawiedliwym, bo dzisiaj we śnie wiele nacierpiałam się z Jego powodu». Tymczasem arcykapłani i starsi namówili tłumy, żeby prosiły o Barabasz, a domagały się śmierci Jezusa. Pytał ich namiestnik: «Którego z tych dwóch chcecie, żebym wam uwolnił?» Odpowiedzieli: «Barabasz». Rzekł do nich Piłat: «Cóż więc mam uczynić z Jezusem, którego nazywają Mesjaszem?» Zawołali wszyscy: «Na krzyż z Nim!»

Wszystko było przygotowane wcześniej. Ukrzyżowanie było karą specyficznie rzymską. Poza zadaniem śmierci miało skazańca dodatkowo upokorzyć i przysporzyć męki. Takiej śmierci domaga się ten tłum, podjudzony przez arcykapłanów i starszych ludu. Nie tylko chcą, żeby Jezus umarł, ale chcą mieć widowisko z Jego śmierci. A więc na krzyż z Nim.

Namiestnik odpowiedział: «Cóż właściwie złego uczynił?» Lecz oni jeszcze głośniejszym krzykiem: «Na krzyż z Nim!» Piłat widząc, że nic nie osiąga, a wzburzenie raczej wzrasta, wziął wodę i umył ręce wobec tłumu, mówiąc: «Nie jestem winny krwi tego Sprawiedliwego. To wasza rzecz».

Ten gest Piłata to próba zrzucenia z siebie wszelkiej odpowiedzialności. Od tego człowieka zależał los Jezusa. Gdyby miał dość siły, mógł powiedzieć „Oskarżenia, z którymi przychodzicie, są za małe, żeby Go skazać na śmierć”. Mógł Jezusa uwolnić. Nie zrobił tego.

A cały lud zawołał: «Krew Jego na nas i na dzieci nasze». Wówczas uwolnił im Barabasz, a Jezusa kazał ubiczować i wydał na ukrzyżowanie.

Zatrzymajmy się jeszcze na chwilę przed tym okrzykiem: „Krew Jego na nas i na dzieci nasze”. Zdarzało się w przeszłości, a i dzisiaj się zdarza, że są chrześcijanie którzy uważają, że w ten sposób Żydzi wydali na siebie jakby nieustający wyrok śmierci — przyjmując zbiorową odpowiedzialność za śmierć Jezusa. Deklarując „Krew Jego na nas i na dzieci nasze”, czyli odpowiedzialność za śmierć Jezusa spada na nich i na tych, którzy będą żyli w bliższej i dalszej przyszłości.

Otóż to spojrzenie nie bierze pod uwagę zwyczajnej prawdy, że nie ma odpowiedzialności zbiorowej. Że każdy ponosi winę za swoje grzechy, za swoje słabości. I że nie może być tak, że odpowiedzialnością za zło, za przestępstwo, czy za zbrodnię obarcza się innych ludzi.

W 1546 roku sobór trydencki uczył, i warto na sam koniec przypomnieć to nauczanie, że bardziej niż ci, którzy na dziedzińcu Piłata wołali „Krew Jego na nas i na dzieci nasze” a nie rozumieli, kim jest Jezus, winni są Jego śmierci ci, którzy są chrześcijanami, a przez zło wydają ten wyrok śmierci po raz wtóry. Przez czynienie zła raz jeszcze skazują Jezusa na śmierć. On bowiem umarł za nasze grzechy. Spadła Nań chłosta zbawienna dla nas wszystkich.

Zatem na sam koniec trzeba powiedzieć, że na dziedzińcu pałacu Piłata była nie tylko grupa około 400 Żydów, by tylu mogło się tam zmieścić, którzy krzyczeli „Ukrzyżuj, ukrzyżuj”, **ale właściwie byliśmy i my wszyscy — dlatego, że śmierć Jezusa ma wartość zbawczą za każdego człowieka.** I w tym, co krzyczeli tamci ludzie, tylko jakby znalazło wyraz to, co uzewnętrzniła się w złych uczynkach, kiedy je popełniamy, które muszą być odkupione przez krew, i mękę, i śmierć Zbawiciela. Taki jest najgłębszy sens, zbawczy sens tej śmierci, że myśmy wszyscy tam byli.

I może właśnie te słowa niech zostaną nam jako przesłanie na koniec Wielkiego Postu.

7 Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa — spotkanie w drodze do Emaus (dn. 22 kwietnia 2002)

Kilka tygodni temu, w okresie Wielkiego Postu, zgłębialiśmy ewangeliczne opowiadanie o męce i śmierci Jezusa Chrystusa. Próbowaliśmy w okresie Wielkiego Postu dojrzeć to, co jest ważne dla naszej wiary, i co pozwala nam zrozumieć okoliczności męki i śmierci zbawczej Jezusa Chrystusa. Natomiast dzisiaj przejdziemy do tematu, który też ma związek z rokiem liturgicznym, aczkolwiek ma związek także z książką Jana Pawła II „Przekroczyć próg nadziei”.

Mianowicie przejdziemy do tematu Zmartwychwstania. Punktem wyjścia uczynię fragment wg. Ewangelii św. Łukasza. Natomiast punktem wyjścia jest również refleksja Ojca Świętego, który, tak jak niegdyś św. Paweł, czy jak w historii Kościoła wielu innych myślicieli i wierzących, bardzo mocno podkreślił, że Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa jest punktem centralnym naszej wiary. Że nie sposób być chrześcijaninem bez Zmartwychwstania, bez wiary w Zmartwychwstanie Chrystusa. Stąd dobrze będzie, jeżeli dzisiaj, w okresie wielkanocnym, przyjrzymy się prawdzie o Zmartwychwstaniu i spróbujemy powiedzieć, spróbujemy dojść do tego, co z tej prawdy o Zmartwychwstaniu także i dla nas wynika.

Otóż wyjdźmy od obserwacji bardzo prostej, ale niesłychanie ważnej — dobrze to wiemy, że rzeczy proste zawsze są najważniejsze. Otóż zadajmy sobie pytanie: *Dlaczego Jezus jest tak bardzo ważny dla naszego życia, i dla naszej wiary?* Można byłoby szukać i czekać na rozmaite odpowiedzi. Myślę, że wśród tych odpowiedzi, których byśmy się spodziewali, pojawiłyby się następujące. Ktoś mógłby powiedzieć, że Jezus jest kimś bardzo ważnym dlatego, bo był człowiekiem dobrym, był też Synem Bożym. Że tym Synem Bożym pozostaje. A jako Bóg i Człowiek wyznacza, jeżeli tak można powiedzieć, fundament naszej wiary.

Ta odpowiedź jest prawdziwa, aczkolwiek nie jest to pełna prawda o Jezusie Chrystusie. Ktoś inny mógłby powiedzieć, że Jezus jest ważny, ponieważ uczył nas bardzo ważnych rzeczy. Uczył nas kochać człowieka, kochać świat, uczył nas miłości nieprzyjaciół. A ta cała Jego nauka jest na tyle heroiczna, że można uznać w Nim, i widzieć w Nim kogoś niezwykłego. Ale tutaj natychmiast można byłoby dodać, że w dziejach świata, a także i dzisiaj jest wielu takich myślicieli i nauczycieli, którzy uczą bardzo wzniosłych rzeczy. I gdybyśmy tylko z powodu ich nauki mieli pójść za nimi, albo ich naśladować, czy mieli wierzyć w nich, to nie byłoby jeszcze wystarczająco.

Ktoś mógłby powiedzieć, że powinniśmy wierzyć w Jezusa, i przyjąć Jego nauczanie dlatego, że On oddał za nas swoje życie. Poniósł mękę, został niesprawiedliwie skazany na śmierć, i ofiarował swoje życie za innych ludzi, że potrafił wspaniałomyślnie przebaczyć. Ale i to w ostatecznym rozrachunku nie jest jeszcze dostateczny powód do tego, by w Jezusa tak bezgranicznie wierzyć. Przypominamy sobie bowiem te fakty z dziejów ludzkości, i także współczesnego świata, kiedy jedni ludzie oddają swoje życie za innych ludzi. Przypominamy sobie o bezgranicznym heroizmie i bohaterstwie. Nieraz jesteśmy świadkami takiego bezgranicznego poświęcenia i heroizmu. I można by powiedzieć, że gdyby tylko życie Jezusa zasadzało się na takim właśnie heroizmie, to i też byłoby za mało. Nawet Jego życie, posunięte aż do śmierci za innych ludzi, to jeszcze za mało, żeby w Jezusa uwierzyć, i z kolei poświęcić Mu całe swoje życie, zwłaszcza jeżeli czynią tak miliony i miliardy wierzących na całym świecie i to w różnych okresach.

I tak dochodzimy do tej części odpowiedzi, która naprowadza nas na właściwy trop. Mianowicie musimy powiedzieć, że chociaż Jezus był dobrym człowiekiem, aczkolwiek Jezus jest Synem Bożym, aczkolwiek wzniosłe nauczał, aczkolwiek posunął się do ofiary za innych ludzi posuniętej aż za cenę życia — to jednak najważniejszą prawdą o Jego losie, i najważniejszym wydarzeniem dla nas, pozostaje Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa. Pozostaje Zmartwychwstanie dlatego, że ono wyprowadza życie Jezusa poza perspektywę tego życia ziemskiego, doczesnego. Zmartwychwstanie Jezusa Chrystusa sprawia, że także życie każdego z nas, i życie każdego człowieka nie wyczerpuje wszystkich swoich możliwości pomiędzy poczęciem a naturalną śmiercią, lecz kieruje nasz wzrok w stronę rzeczywistości kompletnie nowej.

Można by powiedzieć, że jeżeli chcemy zrozumieć na czym polega ta definitywna, ostateczna i najważniejsza interwencja Boga w dzieje ludzkości i w dzieje każdego człowieka w Zmartwych-

wstaniu Jezusa Chrystusa, to możemy się przyglądać temu Zmartwychwstaniu także po to, żeby zrozumieć coś z naszego przeznaczenia i z naszego losu. To właśnie dzięki Zmartwychwstaniu my też traktujemy śmierć jako przejście i wierzymy, że ten nasz los na ziemi, choćby był najdłuższy, liczył sobie osiemdziesiąt, sto a nawet więcej lat, jest tylko jakimś przelotnym epizodem w bezgranicznej historii świata i człowieka napisanej przez Pana Boga, która wykracza poza bramę śmierci.

I tak dochodzimy do kolejnej bardzo ważnej rzeczy. Otóż każdy z nas chciałby wiedzieć jak wygląda to życie po śmierci. Każdy z nas chciałby jakby namacalnie się przekonać albo osiągnąć pewność, że to życie po śmierci nie tylko jest, ale mówiąc po ludzku, wręcz ekonomicznie, że będzie nam się opłacało życie z Bogiem. Chcielibyśmy wiedzieć, że warto jest teraz żyć tak czy inaczej również po to, żeby to życie, które daje nam Pan Bóg, nas w niczym nie zwiodło, nie oszukało, nie okłamało tak, jak tyle innych rzeczy w świecie, w którym żyjemy. Żeby to było życie „warte” — jak powiedzielibyśmy w obiegowym języku — zachodu, a więc takiego trudu, dzięki któremu moglibyśmy je osiągnąć.

I dzisiaj, kierując się także wskazaniem w książce „Przekroczyć próg nadziei”, bo papież podjął tę perspektywę Zmartwychwstania, chciałbym z państwem zatrzymać się nad bardzo dobrze znanym tekstem, który kieruje naszą myśl ku Zmartwychwstaniu Jezusa, i ku naszemu zmartwychwstaniu. Jest to tekst o ukazaniu się Jezusa uczniom udającym się do Emaus (Łk 24). Jeżeli przeczytamy ten tekst bardzo wnikliwie, a będziemy chcieli zrobić to właśnie dzisiaj, to myślę że uchylimy rąbka tajemnicy dotyczącej tego życia, którego — słusznie — z Jezusem Chrystusem i dzięki Niemu się spodziewamy.

Otóż zanim zacznę czytać chciałbym zwrócić uwagę czy przypomnieć pokrótce to, co mówiliśmy przed paroma tygodniami mocno podkreślając, że ostatnie dni, a zwłaszcza ostatnie godziny życia Jezusa Chrystusa, są w Ewangeliach opisane bardzo szczegółowo. Przypomnijmy tylko to, co jest najważniejsze. Po pojmaniu w Wielki Czwartek, po aresztowaniu Jezusa, po doprowadzeniu Go do pałacu najwyższego kapłana przed sanhedryn, tam zapadł wyrok śmierci ze strony najwyższej rady żydowskiej. Ten wyrok śmierci miał charakter religijny. Zarzucono bowiem Jezusowi bluźnierstwo pytając Go przez usta arcykapłana: „Czy Ty jesteś Synem Bożym? Czy Ty jesteś Mesjaszem, który miał przyjść, Synem Najwyższego?” I wtedy wobec najwyższego kapłana, wobec najwyższego autorytetu Starego Testamentu, Jezus wyznał „Tak, Ja nim jestem”. I padł za to wyrok śmierci: „Zbliźnił, na cóż jeszcze trzeba nam świadków”. Okazało się, że w tym zapytaniu arcykapłan nie chciał dowiedzieć się o Jezusie, ale pytanie potraktował jako pretekst do skazania Go.

Tak rozpoczęły się liczne upokorzenia, które pewnie trwały całą noc z Czwartku na Piątek. I po tej ostatniej nocy ziemskiego życia Jezus rano w Piątek został zaprowadzony przed rzymskiego namiestnika Piłata, który miał potwierdzić ten wyrok śmierci. Piłat wyrok śmierci potwierdził pomimo rozmaitych wahań. Na końcu co prawda umył ręce i powiedział „Nie jestem winien krwi tego sprawiedliwego”, ale faktem jest, że nie miał na tyle odwagi, aby od tych nacisków i od tych żądań odstąpić. I czytamy w Ewangeli, że późnym rankiem Jezus rozpoczyna swoją drogę krzyżową, i kieruje się na Kalwarię. Ta chronologia jest bardzo ważna, ponieważ nie mamy żadnych wątpliwości co do tego, że przed swoją śmiercią Jezus w okrutny sposób został upokorzony i cierpiał. I z tym krzyżem, w otoczeniu tych, którzy na Niego patrzyli, tych którzy Mu ewentualnie tak, jak Szymon Cyrenejczyk czy Weronika pomagali, Jezus udaje się na Golgotę.

Około godziny szóstej dnia, czyli około południa, został zawieszony na drzewie krzyża. I ewangelisci bardzo mocno podkreślają, że Jezus umarł na krzyżu ok. dziewiątej godziny dnia, czyli około naszej trzeciej po południu. Z tego wnosimy, że wisiał na krzyżu przez ok. trzy godziny. Wspominałem państwu parę tygodni temu, że te trzy godziny męki na krzyżu, w porównaniu do innych tego rodzaju męczarni, jakie musieli znosić ukrzyżowani, nie było tak bardzo długo. Otóż po powstaniu Spartakusa, powstaniu niewolników przeciwko rzymskim panom, Rzymianie ukrzyżowali tysiące niewolników przy słynnej rzymskiej drodze Via Apia. Ukrzyżowali ich po obydwu stronach drogi i ci nieszczęśnicy, jak opisują starożytni historycy, męczyli się po dwa, trzy dni padając również łupem drapieżnego ptactwa, upału. Ponieważ byli to ludzie młodzi, niewolnicy przyzwyczajeni do prac bardzo ciężkich, ich śmierć upływała w okrutnych męczarniach. Zostawmy na boku tę całą krwawą scenę. Śmierć Jezusa nastąpiła szybciej.

Ale tutaj bardzo mocno podkreślam to, na co wskazują Ewangelie, mianowicie — Jezus naprawdę umarł. Co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Ewangelisci mocno podkreślają, że Jezus

przeszedł przez śmierć. Po tym względem świadectwo ewangelistów jest absolutnie zgodne. Podają oni nawet ostatnie słowa Jezusa, które wypowiedział na krzyżu, aż do tych, o których pisze św. Jan: „Wykonało się, wypełniło się”. A więc Jezus umierał zupełnie świadomie, i świadomie też przyjmował swój los jako spełnienie Starego Testamentu. Ewangelista dodaje że kiedy Jezus zmarł, chciano się upewnić że tak rzeczywiście było. Wobec tego przebito Mu włócznią bok. Był bowiem taki zwyczaj wśród Rzymian, zwłaszcza wtedy, kiedy odchodzili od ukrzyżowania, kiedy musieli wracać do domu, albo kiedy mówiąc trywialnie nie chciało im się pilnować skazańców, że wtedy przebijano im bok, albo też łamano ich nogi powyżej kolan. Łamanie nóg, uderzając mieczem czy włócznią, odbywało się po to, żeby ciało pod swoim naturalnym ciężarem opadło. Wtedy taki ukrzyżowany człowiek po prostu się dusił.

Przepraszam, że mówię o takich szczegółach. Ale mówię o tym dlatego, żebyśmy byli bardzo wrażliwi na różnego rodzaju takie tendencje, które pojawiają się od czasu do czasu także dzisiaj, pseudosensacje i pseudodomysły pojawiające się w publikacjach czy filmach przeznaczonych na użytek wielu, gdzie sugeruje się że Jezus umarł pozornie, albo że popadł w letarg, a następnie, kiedy ochłonął lub powrócił do życia, uczniowie wykradli jego ciało, przenieśli gdzieś do Jordanii, albo w Himalaje. Tam doszedł do siebie, i — jak sugeruje jeden z pseudobiblistów — nawet ożenił się z Marią Magdaleną, żyli długo i szczęśliwie itd. Otóż ludzka fantazja nie ma granic. I ludzka wola, żeby zasłynąć, albo w jakikolwiek sposób zasugerować coś nowego, jakieś nowinkarstwo czy plotkarstwo, też nie ma żadnych ograniczeń.

My musimy być świadomi, że podstawą, że punktem wyjścia do prawdy o Zmartwychwstaniu jest pewność, że Jezus rzeczywiście na drzewie krzyża umarł. I co do tego Ewangelie są absolutnie zgodne. I to przeświadczenie stanowi również punkt wyjścia do epizodu ewangelicznego, który chcielibyśmy dzisiaj sobie przeczytać. Bo trzeba nam uznać ten fakt w przypadku Jezusa, podobnie jak trzeba nam przyjąć do wiadomości, że taki sam los — tzn. dojście do śmierci, umieranie, i przejście przez śmierć — jest przeznaczeniem każdego z nas. I chociaż w życiu i w losach ludzi bywają różne sytuacje, i zdarzają się rozmaite letargi od czasu do czasu także dzisiaj, które mają być wykluczone przez odpowiednie stwierdzenia lekarskie choćby, to jednak powiedzieć trzeba, że śmierć wciąż zbiera swoje żniwo. I pod tym względem śmierć jest nieuchronna. Są tacy, którzy mówią, że jest sprawiedliwa, ale chyba mimo wszystko i w śmierci jest pewna niesprawiedliwość. Bo chociaż wszyscy umierają, to nie każdy umiera w taki sam sposób. A więc i w śmierci też jest jakaś nierówność, ale to już jest tajemnica, której na pewno nie zgłębimy.

Przyjmujemy więc za Nowym Testamentem pewność, że Jezus Chrystus umarł. I z taką pewnością wracamy do dnia Jego ukrzyżowania i śmierci. Ta śmierć nastąpiła ok. godziny trzeciej po południu. Ponieważ to był piątek, a wraz z zachodem słońca rozpoczynał się szabat — czyli następny dzień, a w dodatku był to dzień świąteczny, dzień Paschy, to konsekwentnie powinnością Żydów było dopełnienie choćby szybkiego pogrzebu Jezusa przed zachodem słońca. Zachód słońca w Palestynie o tej porze następuje ok. godziny 18.30 - 19. A Jezus umierał, jak wyliczyli historycy, na początku kwietnia, prawdopodobnie 3 kwietnia 30 roku. Zatem około 3 kwietnia ciemno robiło się ok. wpół do siódmej wieczorem. Szabat zaczyna się kilka minut wcześniej, czyli na pogrzebanie ciała Jezusa było ok. 3 godzin. Zdjęto więc ciało z krzyża, pośpiesznie obmyto. Zwyczaj przewidywał, że powinno być również namaszczone specjalnymi olejkami, przeznaczonymi dla ciał zmarłych. Tego obowiązku jednak kobiety nie zdążyły dopełnić, i złożono ciało Jezusa w pobliskim grobowcu należącym do Józefa z Arymatei.

Złożenie w grobowcu właśnie tego człowieka nie było przypadkowe dlatego, że Józef należał do uczniów Jezusa, a w każdym razie był zainteresowany Jego nauką. I możemy się domyślać, że on sam dobrowolnie ofiarował swój grobowiec dla założenia ciała Jezusa. Zapewne wszyscy wiemy, że groby w starożytnej Palestynie wyglądały inaczej, niż grzebanie ciała zmarłych w naszych warunkach dzisiaj. Że te groby były zrobione w skalnych pieczarach. Że tam wykuwano takie skalne ławy, na których składano ciało owinięte prześcieradłami. I to ciało było już powierzone własnemu losowi. Następnie zataczano kamień do grobu. Nawet zachował się do dnia dzisiejszego taki kamień do grobowca, który był przy grobowcu króla Heroda. I mamy bardzo dobre pojęcie, jak ta tradycja grzebalna w tamtych czasach wyglądała.

I teraz możemy przejść do naszego tekstu. Bo to wszystko, co powiedziałem, można by streścić w jednym zdaniu: Jezus cierpiał, Jezus umarł, Jezus został pogrzebany. Gdyby na tym Jego los

się skończył, to można by powiedzieć, że był dobrym człowiekiem, wspaniałym nauczycielem, kimś niezwykłym. Ale można by również powiedzieć, że pod tym względem nie różnił się od wielu, pewnie tysięcy czy milionów dobrych ludzi, którzy żyli szlachetnie, którzy uczyli wzniosłych spraw, i których los jest właśnie taki. I właśnie tu zaczyna się ta nowość Ewangelii. W Ewangelii św. Łukasza czytamy takie słowa:

Tego samego dnia dwaj uczniowie byli w drodze do wsi, zwanej Emaus, oddalonej sześćdziesiąt stadiów od Jerozolimy.

„Tego samego dnia” — chodzi o niedzielę, około południa. Dlatego, że ciało Jezusa złożone w piątek po południu było przez cały szabat, czyli przez sobotę, w grobie. Nikt tam do grobu nie chodził zgodnie z żydowskim zwyczajem, zakazującym kontaktu z ciałem zmarłego w szabat, i zakazującym jakichkolwiek czynności przy ciele zmarłego. Natomiast w samą niedzielę rano, czyli w pierwszy dzień tygodnia według żydowskiej rachuby czasu, te kobiety, które na co dzień posługiwały Jezusowi, były Mu tak oddane, że i po śmierci chciały Mu oddać ostatnią przysługę polegającą na namaszczeniu Jego ciała. Proszę zwrócić uwagę na pewien szczegół, który jest bardzo wzruszający — mianowicie na bezgraniczne oddanie tych kobiet. Apostołowie tej powinności nie dopełnili. Natomiast kobiety, które były z Jezusem i z Apostołami, były do tego stopnia przywiązane do swego Mistrza, że postanowiły aby Jego ciało, spoczywające w grobie, doznało tych wszystkich tradycyjnych i zwyczajowo przyjętych obowiązków, powinności, które ciału zmarłego się należały. I wiemy, że kiedy przybyły do grobu, ciała nie zastały. Zobaczyły tylko te opaski. I wiemy, że przerażone udały się do Apostołów obwieszczając im, że ciała nie ma.

Nie powiedziały oczywiście, że Jezus zmartwychwstał, aczkolwiek miały widzenia. To przecież Apostołowie nie byli w stanie zrozumieć, co to jest zmartwychwstanie, bo przecież nigdy zmartwychwstania nie przeżyli, ani nie mieli pojęcia, co ono znaczy. Kiedy wrócili do Piotra i Jana, Piotr i Jan udali się do grobu i tam doświadczyli znowu, że ciała nie ma, oraz doświadczyli, czy też usłyszeli, wieść o zmartwychwstaniu Jezusa. Byli pełni zakłopotania dlatego, że ta wieść była dla nich czymś radykalnie nowym. I możemy się dalej domyślać, że nawet jeżeli tego samego dnia opowiadali o tym innym, to po pierwsze — na pewno inni Apostołowie odnosili się do tej wieści sceptycznie, a po drugie — nie wszyscy Apostołowie i uczniowie w ciągu kilku godzin mogli się o tej prawdzie o zmartwychwstaniu dowiedzieć.

I tu w naszym epizodzie mamy dwóch uczniów, którzy udają się z Jerozolimy do Emaus, miejscowości oddalonej o ok. 11 - 12 km. Tradycja starochrześcijańska umiejscawia to Emaus we wsi, która dzisiaj nosi nazwę arabską al-Qubebeih, po polsku *kopułka*, *mała kopuła*. Najprawdopodobniej kiedyś była tam albo świątynia chrześcijańska, albo meczet, w kształcie kopuły, albo jakieś wzgórze przypominało kopułę. I tak ta nazwa się przyjęła, że została do dzisiaj. Nawiązując do tego, co dzisiaj dzieje się w Ziemi Świętej, to jest to osada arabska, znajdująca się na peryferiach żydowskiej części Jerozolimy. Kiedy byłem tam ostatni raz we wrześniu 2000 roku, to w tej osadzie była straszliwa bieda, urągająca jakimkolwiek ludzkim warunkom dlatego, że Żydzi zablokowali jakąkolwiek możliwość kontaktów miejscowej ludności z sąsiadami, także z arabskimi sąsiadami. Rodziny arabskie mają dużo dzieci, po cztery, po sześćcioro, po ośmioro dzieci. Tym dzieciom trzeba dać jeść — tymczasem nie ma co jeść. Same miejscowe winnice, sady oliwne, czy pola nie wystarczą do wykarmienia tej ludności. I ta wieść aż gotowała się z takiej biedy. Kiedy tam byliśmy, wyglądało to nie najlepiej. Widać było to wzburzenie, tę krzywdę tych ludzi. Myślę, że ci z państwa, którzy byli w Ziemi Świętej, pamiętają zapewne przejazd przez to Emaus zaniedbaną drogą pełną dziur, i ludzi, patrzących na przybywających turystów i pielgrzymów z poczuciem pewnego dystansu. A w tym dystansie była też ich krzywda. Taka jest ta dzisiejsza rzeczywistość Ziemi Świętej. A teraz, jak wiemy, ta rzeczywistość jest o wiele bardziej krwawa.

Więc ci dwaj uczniowie zmierzają do tej wsi, która w starożytności nosiła nazwę Emaus. Skoro to było 11 - 12 km, to możemy się domyślać, że droga zajmowała ok. 3 godzin. Teren jest bardzo pagórkowaty. Podróże w Palestynie, tak dawniej, jak i dzisiaj, zaczynało w takiej późniejszej porze poobiedniej, gdzieś tak koło godziny trzeciej, wpół do czwartej. A więc rozpoczynano podróżowanie w momencie, gdy słońce nie prażyło już tak mocno, jak w południe. Przy drodze około 12 km wystarczyło wyjść koło trzeciej po południu, by przed wieczorem dojść do Emaus. I ci dwaj idą.

Rozmawiali oni z sobą o tym wszystkim, co się wydarzyło. Gdy tak rozmawiali i rozprawiali ze sobą, sam Jezus przybliżył się i siedł z nimi.

Otóż treścią rozmowy uczniów było to, co się wydarzyło w Jerozolimie. Oczywiście chodziło o to, co się wydarzyło z Jezusem. Z całą pewnością w tej rozmowie był jakiś rodzaj zakłopotania, zawodu, zdesperowania. Bo oto uczniowie chodzili z Jezusem, słuchali Jego słów, oglądali Jego czyny. Być może widzieli Jego cuda, słyszeli o wskrzeszeniu Łazarza. Domyślali się, że wraz z Nim będą mogli przeżyć jakąś część ludzkiej chwały. A to wszystko okazało się płonne, złudne. I oto przekonali się, że los Jezusa legł całkowicie w gruzach. I na pewno w ich zachowaniu, w ich rozmowie był jakiś rodzaj zakłopotania, a na pewno też, jak dowiemy się za chwilę, również rodzaj zwątpienia. I tu dochodzimy do rzeczy, do sprawy niezwykle tajemniczej. Bo gdy rozmawiali i rozprawiali, a więc dyskutowali ze sobą, może jeden przekonywał drugiego, przedstawiali rozmaite racje,

sam Jezus przybliżył się i siedł z nimi.

I tu aż się prosi — bo dochodzimy do tajemnicy, która również i nas dotyczy — aż się prosi zadać pytanie: No dobrze, skoro Jezusa tyle czasu znali, skoro towarzyszyli Mu, skoro szli za Nim, no to przecież musieli od samego początku Go rozpoznać! Musieli rozpoznać w tym tajemniczym nieznanym Mistrza, z którym przeżyli jakiś czas swojego życia. I tu okazuje się, że było zupełnie inaczej, bo czytamy:

Lecz oczy ich były niejako na uwięzi, tak że Go nie poznali.

Otóż dochodzimy do jednej z największych tajemnic, dotyczących zmartwychwstania Chrystusa, i zmartwychwstania naszego. Jezus ukazuje się w swoim ciele. Ale jednocześnie rozpoznanie Jezusa zależy od swoistego wzroku, który potrafi wyjść poza ludzkie uwarunkowania. Ich „oczy były niejako na uwięzi, tak że Go nie poznali.” Jezus pozostawał sobą, ale jednocześnie musiał być kimś innym, skoro ono go nie poznali. Jakie to ma znaczenie dla nas? Otóż ma to znaczenie w odpowiedzi na pytanie: jak będziemy wyglądać, jakie będzie ciało, kim będzie człowiek po zmartwychwstaniu.

Jeżeli chcemy tę sprawę maksymalnie uprościć, to moglibyśmy powiedzieć tak. Cisną się człowiekowi na usta rozmaite pytania. Mianowicie jakimi zmartwychwstaniemy? Czy takimi, kiedy byliśmy w najpiękniejszym okresie swojego życia? Czy takimi, jakimi znali nas nasi najbliżsi wtedy, kiedy wiązali się z nami na całe życie? Czy może takimi, jakimi żeśmy umierali, czyli starszymi czy wręcz starymi i schorowanymi? Czy zmartwychwstając pozostaniemy w swojej płci, i w swojej urodzie, i całej reszcie swoich uwarunkowań? Czy też będzie inaczej? A jeżeli mielibyśmy zmartwychwstać, bo przecież mamy zmartwychwstać z duszą i ciałem, to czy nie będzie wielką niesprawiedliwością to, że jeżeli ktoś jest kaleką to aby mógł pozostać sobą, to i po zmartwychwstaniu jego fizyczny wygląd wiele się nie zmieni? Czy zmartwychwstanie miałoby polegać na tym, że piękni i przystojni pozostaną piękni i przystojni, a ci, których fizyczny wygląd się nie powiódł, nawet nie zdążyli się do niego przyzwyczaić, tak przy tym pozostaną? A jak będzie z wyglądem tych, którzy umarli jako maleństwa czy też w łonie matek? A jak będzie z wyglądem tych, których ciała zostały tragicznie czy dramatycznie oszpecone?

Proszę zwrócić uwagę, że tych pytań nigdy głośno nie stawiamy — z kilku powodów. Po pierwsze dlatego, że boimy się odpowiedzi. Że nie znamy odpowiedzi. A po drugie dlatego, że sami przeczuwamy że w tych pytaniach, i w odpowiedzi na te pytania, tkwi jakaś nie dająca się przezwyciężyć pułapka, tkwi jakieś nie dające się przezwyciężyć napięcie. Sami czujemy, że w ten sposób nie można sprawy stawiać. Bo chociaż zmartwychwstaniemy z duszą i ciałem, to jednak przykładanie wagi do ciała w sposób zbyt wyraźny, zbyt dosłowny, może się okazać dla nas wszystkich zwodnicze. I ten epizod z uczniami, do których przyłączył się Jezus, jest pod tym względem bardzo wymowny. Bo oto Jezus idzie ze swoimi dwoma uczniami, którzy Go doskonale znają, ale jednocześnie oni Go nie mogą rozpoznać. *Najwyraźniej więc On jest sobą, ale nie fizyczny wygląd przesądza o tym, że oni Go rozpoznają.* Normalnie rozpoznajemy człowieka po jego sylwetce, po jego wyglądzie, po ruchach, po sposobie poruszania się, po twarzy czy po sposobie mówienia.

A tu po zmartwychwstaniu dochodzimy do przedziwnej tajemnicy polegającej na tym, że ciało i wszystko to, co dotyczy ciała, okazuje się niewystarczające, a nawet zawodne. I w tym, co się

przytrafiło, co się przydarzyło dwóm uczniom zdążającym do Emaus, jest jakaś odpowiedź na to pytanie, na tę tajemnicę, którą również i my nosimy w sobie. *Mianowicie my wraz ze śmiercią, i po niej, pozostaniemy sobą. Ale tajemnicą samego Pana Boga jest to, jak po zmartwychwstaniu ciała będzie wyglądała nasza osobowa tożsamość.* Uczniowie rozpoznają Jezusa. Ale rozpoznają Go nie dzięki temu, jak wyglądał, tylko na innej drodze. Przypomnijmy sobie, że to nie była sprawa wyjątkowa, ponieważ w wielu innych opisach Chrystofanii, czyli ukazywań się zmartwychwstałego Jezusa, mamy tę samą sytuację. Mianowicie dopiero po jakimś czasie, dopiero w skutek jakichś nowych okoliczności uczniowie rozpoznają, że to jest Pan, to jest Jezus. Natomiast za pierwszym razem oczy ich były jakby na uwięzi.

Co z tego wynika? Raz jeszcze podejmiemy to pytanie i dla nas. Otóż zdarza się że w naszej refleksji, zwłaszcza tej najtrudniejszej, gdy i teologowie, i księża są bezsilni, zadaje się najprostsze pytania. Jak będzie w życiu przyszłym? Czy będą tam ci, których ja kocham? Czy będą tam ci, z którymi jestem teraz związany bądź związana? Bo jeżeli miałyby to być niebo bez nich, no to co mi z takiego nieba! Co z nieba dla matki, która nie mogłaby tam rozpoznać i przeżywać szczęścia z własnymi dziećmi? Co z nieba dla kochającego się męża i żony, gdyby któregokolwiek z nich brakowało w tym życiu przyobiecany przez Boga? Cóż to byłoby za szczęście, gdyby się okazało, że byłoby to szczęście samotnych, albo w jakimś sensie opuszczonych? Myślę, że każdy z nas stawał wobec takich pytań, że nie są to wcale pytania wydumane. Otóż żeby być szczęśliwymi my potrzebujemy nie tylko Pana Boga, aczkolwiek Jego na pewno, ale potrzebujemy również innych ludzi — bo jesteśmy ludźmi. Żeby być szczęśliwymi to możemy osiągnąć to szczęście w zjednoczeniu z Bogiem, ale nie za cenę zapomnienia o innych ludziach. Ani nie za cenę odrzucenia, czy też utraty pamięci o naszych najbliższych.

Więc ten epizod wskazuje nam na prawdę, której do końca naszym rozumem i naszymi zmysłami przebić w żaden sposób nie możemy. A prawda ta brzmi tak: Zmartwychwstałe ciało pozostaje sobą, zmartwychwstały człowiek pozostaje sobą, ale rozpoznanie go i uznanie go to nie jest tylko sprawa zmysłów. To nie jest tylko sprawa tego poznawania, tego sposobu percepcji, tego sposobu postrzegania świata, jaki towarzyszy nam, jaki jest nieodłącznym składnikiem dzisiaj.

Otóż dzisiaj wszystko dociera do nas przez zmysły. A po śmierci pozostaniemy sobą, ale jednocześnie jest coś, jakiś nowy wymiar, który przynależy tylko do Pana Boga. My nie możemy tego wymiaru opisać inaczej, niż uczynił to ewangelista: „oczy ich były niejako na uwięzi, tak że Go nie poznali.” Być może więc wieczność, czy życie z Bogiem, polega także na nieustannym i posuwającym się rozpoznawaniu wszystkich, którzy towarzyszą nam dzisiaj i wszystkich, którzy nam kiedykolwiek towarzyszyli. Raz jeszcze powtarzam — żeby człowiek mógł przeżywać szczęście to paradoksalnie nie wystarczy mu sam Pan Bóg, lecz potrzebni są także inni, stworzeni jako dzieci Boże, jako obraz Boży. I ci wszyscy inni będą nam w życiu przyszłym towarzyszyć. Posuńmy się krok dalej.

On zaś ich zapytał: «Cóż to za rozmowy prowadzicie z sobą w drodze?» Zatrzymali się smutni. A jeden z nich, imieniem Kleofas, odpowiedział Mu: «Ty jesteś chyba jedynym z przebywających w Jerozolimie, który nie wie, co się tam w tych dniach stało». Zapytał ich: «Cóż takiego?» Odpowiedzieli Mu: «To, co się stało z Jezusem Nazarejczykiem, który był prorokiem potężnym w czynie i słowie wobec Boga i całego ludu;

Zwróćmy uwagę, że ten tajemniczy nieznamy przybliżył się do dwóch swoich uczniów i rozpoczyna z nimi rozmowę na tematy, które ich mocno interesowały i ich mocno dotyczyły. Rozpoczyna tę rozmowę, ale można by powiedzieć, że ją w pewien sposób prowokuje i ustawia, ukierunkowuje. Mianowicie udaje ignorancję, udaje niewiedzę. Chce z nich wyciągnąć ich własne doświadczenie. To nas naprowadza na kolejną prawdę o życiu wiecznym, i o życiu zamierzonym przez Pana Boga. Mianowicie my wszyscy patrzymy na nasze życie przez pryzmat śmierci, która je kończy. Dla człowieka żyjącego na tym świecie śmierć jest ostateczną granicą, poza którą nie możemy wyjść. Możemy upatrywać sensu każdego ludzkiego życia i możemy go objaśniać tylko właśnie od czasu, kiedy ono zaistniało, do śmierci. Natomiast śmierć stanowi ten absolutny koniec, zarówno jeżeli chodzi o życie innych, jak i każdego z nas. Uczniowie są dokładnie tacy, rozprawiają o tym, co się wydarzyło, uznając śmierć za nieprzekraczalną barierę. Otóż jeżeli ktokolwiek uznaje śmierć za absolutny koniec, to oczywiście musi życie objaśniać i pojmować w tych ramach od poczęcia bądź

narodzin, do śmierci. Zatem można by powiedzieć, że ten najbardziej podstawowy i najważniejszy spór dotyczący sensu ludzkiego życia jest także sporem, który dotyczy *natury śmierci*. I dotyczy tego, czym ona jest: czy jest zwieńczeniem ludzkiego życia, czy ona jest absolutnym końcem, czy też jest przejściem, bramą. Dla tych dwóch uczniów śmierć była absolutnym końcem.

Tak śmierć pojmował, w gruncie rzeczy, Stary Testament. W Starym Testamencie znajdujemy tęsknotę za życiem wiecznym. W Starym Testamencie znajdujemy tęsknotę za nieśmiertelnością. Ale Stary Testament przyjmował, że śmierć stanowi naturalne zakończenie ludzkiego życia. A co jest potem? Stary Testament odpowiadał, że jest kraina, którą nazywał Szeol. I w tej krainie są ci, którzy żyli kiedykolwiek, jak swoiste cienie, jak w greckim Hadesie, ale los ich jest kompletnie nieznan, i nie do przeniknięcia. I dla tych dwóch uczniów los Jezusa był nie do przeniknięcia. Oni stanęli przed tą śmiercią jak przed jakąś zasłoną, która uniemożliwia jakikolwiek wgląd w to, co jest później — nawet, jeżeli to coś istnieje. Jezus włącza się w tę logikę, postrzegającą śmierć w taki właśnie sposób, i zadaje im pytanie: „Co stało się w tych dniach?” A oni Mu tłumaczą dzieje męki i śmierci Jezusa.

Zapytał ich: «Cóż takiego?» Odpowiedzieli Mu: «To, co się stało z Jezusem Nazarejczykiem, który był prorokiem potężnym w czynie i słowie wobec Boga i całego ludu; jak arcykapłani i nasi przywódcy wydali Go na śmierć i ukrzyżowali.

Zatem dla nich Jezus to jest dobry człowiek, nauczający wzniosłych rzeczy, który przez arcykapłanów i starszych został wydany na śmierć i ukrzyżowany. Oni patrzą w kategoriach tego, co moglibyśmy dzisiaj nazwać *eschatologią doczesną*. Oni myślą sobie mniej więcej tak. Jeżeli Pan Bóg istnieje, to dobremu człowiekowi powinno powodzić się dobrze. Jezus był dobrym człowiekiem, nauczał pięknych i wzniosłych spraw, zatem jego śmierć była czymś bardzo niesprawiedliwym. Gdyby Bóg istniał, i gdyby Bóg był sprawiedliwy, powinien Go uchronić przed taką nędzną śmiercią. I dodają jeszcze:

A myśmy się spodziewali, że On właśnie miał wyzwolić Izraela. Tak, a po tym wszystkim dziś już trzeci dzień, jak się to stało.

Zwróćmy uwagę: oni znają zapowiedzi Starego Testamentu. Ale zapowiedzi Starego Testamentu pojmują bardzo dosłownie, tzn. w odniesieniu do tego życia. Spodziewają się, że jeżeli Bóg chce człowiekowi pomóc, to powinien mu pomóc w tym życiu. *Sądzę, że chyba na tym polega największy dylemat ludzi wierzących do dnia dzisiejszego, największy dylemat każdego z nas*. I to jest największa słabość naszej wiary. Bo my mamy dokładnie tę samą pokusę, myślimy mniej więcej tak samo. Boże, jeżeli jesteś, jeżeli chcesz mi pomóc, jeżeli jesteś dla mnie dobry — to pomóż mi dzisiaj! Powodzi mi się źle — więc daj! Dzieje się mi krzywda — przywróć sprawiedliwość! Zachorowałem — daj mi zdrowie! Zbliżam się do śmierci — wydłuż mi życie! Zatem chcielibyśmy sprowadzić skuteczność Pana Boga do ram tego życia, jakie teraz mamy. Mówiąc prawdę to nie ma w tym nic dziwnego — dlatego, bo innego życia nie znamy. Dlatego, bo to, które mamy, potrafimy z małymi wyjątkami bardzo cenić.

Mówię „z małymi wyjątkami”, bo zdarzają się ludzie, którzy tego życia nie cenią i ci posuwają się do samobójstwa, czy jakichś innych form targnięcia się na własne życie czy zdrowie. Są tacy! A więc człowiek jest tak aż tajemniczy i tak niezgłębiony, że nawet nie musi być tak mocno przywiązany do swojego życia. Ale ogromna większość z nas widzi całą skuteczność i owocność Bożej pomocy właśnie w tych ramach, które śmierć definitywnie zamyka. Jeżeli więc Pan Bóg nie da nam pomyślności, jeżeli Pan Bóg nie odpowie na nasze modlitwy i potrzeby, jeżeli Pan Bóg nie da nam zdrowia w chorobie, jeżeli Pan Bóg nie odłoży chwili śmierci, to nie tylko się przeciwko Niemu buntujemy, ale jesteśmy gotowi w Niego zwątpić. Jesteśmy gotowi zwątpić w Jego dobroć. Tak w gruncie rzeczy było z tymi dwoma uczniami. Oni mieli za złe Panu Bogu, że Pan Bóg ich w jakimś sensie zwiódł, czy wręcz oszukał. Bo mówią: „a myśmy się spodziewali . . . A dzisiaj już trzeci dzień mija, jak się to wszystko stało.”

Dochodzimy, raz jeszcze powtarzam, do największego problemu wiary religijnej, wiary chrześcijańskiej. Jeżeli nasza wiara w Boga miała by nam służyć tylko do układania sobie życia na ziemi, to musielibyśmy uznać jakąś przegraną, jakąś porażkę. Ale wtedy musielibyśmy również uznać jakąś

przegraną Pana Boga. Bo gdyby Bóg odpowiadał na wszystkie prośby dotyczące tego życia, to byłby nikim więcej, jak tylko narzędziem w naszym ręku. I można by powiedzieć, że każda religia byłaby swoistą formą magii usiłującej wyrzucić presję na Pana Boga, i odkładać naturalny porządek rzeczy bądź go diametralnie zmieniać. Natomiast religijność, religia, wiara chrześcijańska kieruje nasz wzrok poza granicę śmierci. Posłuchajmy dalej:

Tak, a po tym wszystkim dziś już trzeci dzień, jak się to stało. Nadto jeszcze niektóre z naszych kobiet przeraziły nas: były rano u grobu, a nie znalazłszy Jego ciała, wróciły i opowiedziały, że miały widzenie aniołów, którzy zapewniają, iż On żyje.

Zwróćmy uwagę na to ważne słowo „przeraziły nas”. Kobiety opowiadały, że ciała nie ma, i miały widzenie aniołów, ale uczniowie nie uwierzyli w zmartwychwstanie. Byli raczej przerażeni, że oto wydarzyło się coś, czego oni nie rozumieją. I tak dochodzimy do drugiego aspektu wiary. Mianowicie wiara w Jezusa Zmartwychwstałego stawia nas wobec rzeczywistości, której nie rozumiemy. Człowiek ma to do siebie, że chciałby wszystko zrozumieć, ująć w definicje, opisać, wyjaśnić. Bo w ten sposób wydaje się nam, że potrafimy przyrodę i to, co nas otacza, po prostu ujarzmić. Jeżeli potrafimy wykorzystać rozmaite prawa przyrody, potrafimy dzięki temu prowadzić samochód, jechać samochodem, budować autostrady, ale potrafimy dzięki temu latać samolotem, lądować na księżycu i wracać stamtąd, budować statki itd.

I ta racjonalność, ta wola racjonalności w odniesieniu do stworzonego świata chce nam towarzyszyć również, czy chce ożywiać również nasze własne życie. Chcemy, żeby w naszym życiu wszystko było zrozumiałe. Więc jeżeli w naszym życiu wydarza się coś, czego nie jesteśmy w stanie zrozumieć, to nawet jeżeli to jest dobre, to budzi w nas przerażenie. Bo jeżeli człowiek czegoś nie rozumie to nawet, gdy przeżywa dobro, to spodziewa się że po nim może nastąpić zło, którego również nie będzie rozumiał. Albo że to dobro ostatecznie nie będzie miało takich rezultatów, jakie ma dzisiaj.

I uczniowie też usłyszeli, że ciała Jezusa nie ma. Usłyszeli, że kobiety opowiadają, że On żyje — ale wywołało to w nich przerażenie. I dalej:

Poszli niektórzy z naszych do grobu i zastali wszystko tak, jak kobiety opowiadały, ale Jego nie widzieli».

A więc jedyne co wiedzą ci dwaj uczniowie to to, że ciała Jezusa w grobie nie ma. I nie mogą sobie z tą prawdą poradzić. I wtedy:

Na to On rzekł do nich: «O nierozumni, jak nieskore są wasze serca do wierzenia we wszystko, co powiedzieli prorocy! Czyż Mesjasz nie miał tego cierpieć, aby wejść do swojej chwały?» I zaczynając od Mojżesza poprzez wszystkich proroków wykladał im, co we wszystkich Pismach odnosiło się do Niego.

Znamy postawę uczniów. A teraz popatrzmy na postawę Jezusa. Nazywa tych dwóch „nierozumnymi”. Otóż okazuje się zatem, że rozum człowieka ma to do siebie, że obok tych rzeczy, które są racjonalne i wytłumaczalne, powinien zaakceptować również takie rzeczy, których nie da się zrozumieć. *A więc rozumne jest uznanie braku wystarczających możliwości poznawczych rozumu.* Sprawą rozumu, powołaniem rozumu jest uznać własną niewystarczalność. Ktoś z państwa powie: jak to możliwe?

Otóż doświadczamy tego w naszym codziennym życiu, tylko nie zawsze zdajemy sobie sprawę z tego. Otóż obok tego, co jest logiczne i rozumne, uznajemy taki system wartości i takie aspekty życia, które z rozumem mają niewiele wspólnego. To jest dobroć, to jest miłość, to jest ofiara, to jest poświęcenie, to jest altruizm, to jest służba drugiemu człowiekowi. I wszystkie inne wartości, które w żaden sposób racjonalne nie są. Otóż kiedy matka sama głodna, ma kawałek dobrego pożywienia, i nie spożywa go, nie je go, żeby dać go dziecku, to odczuwa przy tym ogromną radość, ogromną satysfakcję. Nie dlatego, że sama się najadła, tylko dlatego, że widzi szczęście swojego dziecka. Kiedy kochamy drugiego człowieka, to odejmujemy coś sobie — co nie jest racjonalne, bo rozumne to byłoby zatroszczyć się o własne sprawy — ale wychodzimy naprzeciw temu drugiemu człowiekowi i odnajdujemy radość właśnie w czynieniu dobra, miłości, w miłosierdziu czy poświęceniu.

Otóż w naszym życiu już teraz jest w jakiś tajemniczy sposób zapisany przez Pana Boga ten nowy wymiar rzeczywistości, który w pełni poznamy i odkryjemy dopiero wtedy, gdy przejdziemy przez granicę, przez barierę śmierci. *My dziś kierujemy się rozumem, ale — dzięki Bogu — nie wyłącznie rozumem.* Ci dwaj zostali nazwani przez Jezusa „nierozumnymi”. A ich „nierozumność” polegała na tym, że nie umieli uznać ograniczeń rozumu. Że chcieli zrozumieć wszystko, co wydarzyło się z Jezusem. Tymczasem tego zrozumieć do końca nie można. I cała wielkość ludzkiego życia na tym polega, by uczynić w nim miejsce dla wartości innych niż rozum. I dalej Jezus mówi:

Nieskore są wasze serca do wierzenia we wszystko, co powiedzieli prorocy!

Otóż człowiek, nawet jeżeli wierzy, to chciałby wybierać w tym życiu coś, co przychodzi mu łatwo uwierzyć, i ma inne sprawy, które odkłada na bok. Nasza wiara, podobnie jak nasza moralność, bywa bardzo selektywna. Z wielu przykazań chcielibyśmy wybierać te, którym wierności jest nam bardzo łatwo dochować. I w wierze jest podobnie. Kiedy dotykamy łatwych spraw, to gotowi jesteśmy przyjmować wszystko. Natomiast kiedy dotykamy spraw bardzo trudnych, wtedy i nasza wiara staje się ponad miarę trudna.

Zwróćmy uwagę na swoistą modę, która w ostatnich latach dzięki Bogu minęła, ale pamiętają państwo jak w pewnych okresach była moda na cuda. Matka Boska, albo jakiś święty czy Pan Jezus miał się ukazać na drzewie, na błocie, w kapliczce — płacze, porusza rączką itd. I ludzie gotowi byli to wszystko akceptować. Udawali się do Oławy, gdzieś tam, gdzieś tam, gdzieś tam — już nie chcę wymieniać wszystkiego, i gotowi byli ponosić ogromne nieraz wyrzeczenia po to, żeby taki cud przeżyć. Ale co z tego wynikało dla ich życia?

W większości przypadków — nic. Bo wracali do domu i twierdzili, że widzieli Matkę Boską płaczącą, ale nadal w stosunkach rodzinnych, w układach z najbliższymi nie zmieniali się nic. Jak można widzieć cud i pozostać normalnym? To nam pokazuje tę przedziwną złożoność ludzkiego życia, o której Jezus mówi w spotkaniu z tymi dwoma: „Jak nieskore są wasze serca do wierzenia w to, co mówią prorocy!” A my odwracając to: „*Jak skore są do wierzenia we wszystko inne*”, co jest zupełnie łatwe, i wiary nie wymaga!

Czyż Mesjasz nie miał tego cierpieć, aby wejść do swej chwały?»

I tu dochodzimy do trzeciego spostrzeżenia, które w moim przekonaniu jest niesłychanie istotne. *Mianowicie drogą Jezusa do nowego życia było cierpienie. Cierpienie ma jakąś przedziwną wartość w Bożych planach zbawienia.* My uciekamy od cierpienia, nie chcemy go. Ale to właśnie cierpienie ma jakąś wartość oczyszczającą, której znaczenia i której skutków nie sposób przecenić. I wiele razy wskazywałem państwu na ten wymiar naszego ludzkiego losu zawsze opowiadając, że ktoś z nas, a może bardzo wielu spośród nas, któregoś dnia stanie wobec cierpienia. I trzeba będzie zweryfikować, że tak powiem: na sobie, stosunek do cierpienia. Skoro Jezus przez cierpienie wszedł do swojej chwały, to na pewno drogą wielu wierzących jest cierpienie — i to takie, które stanowi współcierpienie z Jezusem. Jego zbawcza wartość nie ulega wątpliwości. Jeżeli ktoś sobie wyobraża wiarę w Chrystusa bez cierpienia, to wyobraża sobie coś, co nie ma wielkiego sensu, ani wielkiego znaczenia. I jeżeli są chrześcijanie — a przecież dobrze wiemy, że są, bo i nas to dotyczy — którzy wyobrażają sobie wiarę naszą, ale bez cierpienia, i unikają cierpienia, stronią od niego całkowicie, albo wobec cierpienia się załamują, to trzeba powiedzieć — o czym mówimy bardzo często — że *stosunek do cierpienia jest najważniejszym i najbardziej wymownym znakiem, i potwierdzeniem bądź zaprzeczeniem naszej wiary.* I epizod nasz kończy się tak:

Tak przybliżyli się do wsi, do której zdążali, a On okazywał, jakoby miał iść dalej. Lecz przymusili Go, mówiąc: «Zostań z nami, gdyż ma się ku wieczorowi i dzień się już nachylił». Wszedł więc, aby zostać z nimi.

Aż do tej pory go nie poznali. Byli z Nim wiele lat, a teraz byli z Nim kilka godzin, ze dwie - trzy godziny, i nie wiedzieli, że to jest Jezus. Po zmartwychwstaniu będziemy ci sami, ale nie tacy sami. Na czym to polega? Pan Bóg wie. Ale tak będzie. Bo gdybyśmy mieli być tacy sami, to wtedy byśmy zadawali te pytania, które zadaliśmy wcześniej: czy będziemy tacy, jak mieliśmy

6 lat, 16 czy 60? Czy będziemy tacy sami jak wtedy, kiedy żeśmy stawali na ślubnym kobiercu, czy też wtedy kiedy byliśmy w szpitalu, gdy nam coś amputowano? Czy będziemy tacy sami jak wtedy, kiedy podobaliśmy się innym, czy wtedy, kiedy woleliśmy już nie patrzeć do lusterka?

Otóż takie pytania, jak widzimy, nie mają wielkiego sensu, bo rzeczą tajemniczą samego Boga jest nasza tożsamość w ciele, a jednak wolna od tych ograniczeń, które są z ludzkim ciałem w tym życiu związane. Kiedy więc poznali uczniowie Jezusa? Dobrze znamy ten epizod, każdy z nas, więc tylko krótka pointa.

Gdy zajął z nimi miejsce u stołu, wziął chleb, odmówił błogosławieństwo, połamał go i dawał im. Wtedy oczy im się otworzyły i poznali Go, ale On zniknął im z oczu.

Poznali Go przy łamaniu chleba. Poznali Go przy Eucharystii. Sama ta terminologia, samo to słownictwo, ma charakter eucharystyczny. *Otóż poznali Jezusa nie po fizycznym wyglądzie, lecz łuski z oczu spadły w doświadczeniu duchowym, które przeżywa człowiek przeżywający i przyjmujący Eucharystię.* Zauważmy: paradoks polega na tym, że sytuacja tych dwóch uczniów, którzy znali Jezusa osobiście, nie była wcale lepsza, niż sytuacja nasza, którzy Jezusa osobiście w jego ziemskim życiu nie spotkaliśmy. Dla nich zmartwychwstały Jezus był rozpoznawalny przez Eucharystię. Jeżeli tak, to rozpoznawanie Jego obecności odbywa się właśnie w Eucharystii. Istnieje tajemniczy związek między Zmartwychwstaniem a Eucharystią.

Ktoś może powiedzieć tak — na tym może dzisiejsze rozważania zakończmy po to, żeby je podjąć w maju — to jak to jest możliwe, że Eucharystia jest takim wielkim nośnikiem, znakiem, świadectwem Zmartwychwstania? Jak to się dzieje i czy to jest możliwe, żeby zwyczajny człowiek, taki, jak każdy z nas, przeżył tajemnicę Eucharystii tak mocno, żeby doświadczył w niej życia ze Zmartwychwstałym Chrystusem?

Zostawmy — tak proponuję — to rozważanie na kolejny poniedziałek, drugi poniedziałek maja, czyli 13 maja. Ponieważ będziemy się zbliżać do święta Bożego Ciała, właśnie wtedy będę starał się ukazać państwu związki między Eucharystią a Zmartwychwstaniem — z nadzieją, że to się jakoś uda. Natomiast dzisiaj w pamięci niech nam zostanie ta jedna podstawowa prawda.

Bóg jest panem życia i panem śmierci. Poza granicą śmierci każdy z nas pozostanie sobą, chociaż w inny sposób niż dzisiaj. Ale pozostaniemy sobą i dlatego będziemy potrzebować Boga, ale będziemy potrzebować też innych ludzi, takich, jakimi ich znamy i kochamy dzisiaj. A więc tajemnicą miłości Bożej jest także i to, i owocem miłości Bożej jest także i to, że kiedy pogrzążymy się w Jego miłości to nie stracimy nic z tego, czym żyjemy dzisiaj jako ludzie. Bo miłość ludzi, drugiego człowieka, i miłość Boga, są nie tylko możliwe, i nie tylko są do pogodzenia, ale jedna bez drugiej istnieć nie może.

Mam nadzieję, że nie było to na tyle trudne, żeby prawdę o zmartwychwstaniu, i o życiu wiecznym, całkowicie miało państwu zaciemnić. Mam nadzieję że to, co powiemy o Eucharystii, później nam to jeszcze dalej rozjaśni.

Dzisiaj bardzo serdecznie dziękują.

8 Eucharystia (dn. 13 maja 2002)

Nie sposób dzisiaj pominąć zdarzenie sprzed 21 lat, czyli zamach na życie Ojca Świętego Jana Pawła II. Proszę zwrócić uwagę, że dla znaczącej większości z państwa, którzy są ludźmi dorosłymi, jest to po prostu część naszego życia. Oczywiście inaczej dla młodzieży czy dla ludzi jeszcze młodych, którzy w tamtym okresie byli zupełnie dziećmi. Natomiast nie ulega wątpliwości, że gdyby 13 maja 1981 r. wydarzenia potoczyły się inaczej, na pewno my wszyscy żylibyśmy i w innej Polsce, i w innej Europie.

Ja kilkakrotnie przy tej sposobności opowiadałem państwu — raz jeszcze do tego krótko nawiążę — swoje własne wspomnienia z tego dnia, bo one są bardzo, jak mi się wydaje, wymowne. Mianowicie to było popołudnie, środa, i byliśmy wtedy na wykładach w Papieskim Instytucie Biblijnym. Otóż te wykłady odbywały się także po południu, od godz. 16. I gdzieś tak około godz. 17.30, w trakcie jednego z wykładów nagle do tej sali wszedł profesor Liounelle. To jest Francuz który dobrze wiedział, że w tej grupie było nas trzech Polaków — wszystkich osób tam było ze 40 - 45. I on otworzył drzwi bez pukania, co było absolutnie czymś niezwykłym, wszedł i oznajmił grobowym głosem, że papież został zastrzelony, papież nie żyje. Ten wykład został przerwany, każdy z nas udał się tam, gdzie mieszkał. Myśmy się udali do Instytutu Polskiego, to jest jakieś 15 - 20 minut drogi na piechotę. Okazało się po drodze, że już Rzymianie powtarzali, że papież nie zginął, tylko jest ranny, i że właśnie znajduje się w drodze do szpitala.

Potem na bieżąco te transmisje telewizji włoskiej, pokazujące bez przerwy klinikę Gemelli, bez przerwy komunikaty. Natomiast wieczorem, ok. 19.30 poszliśmy na Plac Św. Piotra. Było tam już bardzo dużo ludzi pogrążonych w modlitwie. I wiedzieliśmy, że trwa operacja w klinice Gemelli. Mnóstwo osób, i świeckich i zakonnych, Polaków, przybyszów z innych krajów, ale przede wszystkim Włochów. Ci wszyscy ludzie, którzy byli przejęci bardzo, modlili się o ocalenie życia Ojca Świętego. Dopiero trzeba było czekać, na drugi dzień rano podano, że papież tą bardzo ciężką operację przeżył. I że pierwsze rokowania pozwalają mieć nadzieję, że stan zdrowia Ojca Świętego poprawi się. Pamiętajmy, że było to wtedy zaledwie po dwóch latach jego pontyfikatu, sam początek, inne jeszcze były te wszystkie układy. Pojmano strzelającego do Ojca Świętego. Okazało się, że to jest Turek. Natomiast został schwytyany dość przypadkowo przez siostrę zakonną, która obok niego stała, i ona widziała jak on wyjął pistolet i strzelał. Kiedy próbował uciekać i robić zamieszanie, krzyknąć, żeby tam kogoś gonić, został schwytyany, i znaleziono przy nim broń, której nie zdążył porzucić. Więc tak to wyglądało 21 lat temu.

Parę tygodni później, kiedy wydawało się, że stan Ojca Świętego jest już zupełnie dobry, nagle papież bardzo gwałtownie zachorował. Pojawiła się straszliwie wysoka gorączka, stracił przytomność. Lekarze byli zupełnie bezsilni, nie mieli pojęcia co się stało. Zaproszono wtedy wielu lekarzy z różnych części Europy, m.in. lekarza z Londynu, który rozpoznał w organizmie Ojca Świętego obecność tzw. bułgarskiej choroby. To naprowadziło na ten bułgarski ślad. Mianowicie znaleziono skąpe pozostałości trucizny, która była już w Anglii znana, ponieważ była używana przez komunistyczną Bułgarię, ale nie tylko, do likwidowania dysydentów. Polegało to na tym, że kogoś ukłuto parasolką lub w jakiś inny sposób, w autobusie czy gdzieś na ulicy. Przez tydzień, dwa nic nie było. Następnie pojawiały się te objawy zatrucia organizmu, i była to śmiertelna choroba. Ponieważ już to Brytyjczycy znali, więc i papież został z tego wyciągnięty. Można by powiedzieć, że po raz drugi się narodził.

I trzeci motyw, bardzo ważny w tym wszystkim. Musimy pamiętać, dwa tygodnie po zamachu na życie Ojca Świętego, w dniu 28 maja tegoż samego roku zmarł kardynał Stefan Wyszyński. I zamach na papieża nie był kwestią przypadku. Ci, którzy wyznaczyli zamachowca, dobrze wiedzieli, że kardynał Wyszyński jest umierający. I zdawano sobie sprawę z tego, że gdyby te strzały okazały się celne i kardynał Wyszyński zmarł, to oczywiście Polska byłaby wtedy zupełnie pogrążona — nie tylko w żałobie, ale też opuszczona na wszelkie sposoby. Tutaj państwo pewnie pamiętają także doniesienia i specjalne świadectwo ks. prałata Piaseckiego, który wspominał po latach ostatnią rozmowę papieża z kardynałem Wyszyńskim.

Wyglądało to tak, że kiedy Ojciec Święty doszedł nieco do siebie i powiedziano mu, że kardynał Wyszyński jest praktycznie umierający, zapragnął zadzwonić do kardynała Wyszyńskiego. Problem polegał na tym że w pokoju, w którym kardynał Wyszyński leżał, nie było telefonu, trzeba było

poprowadzić linię telefoniczną. Nie chciano wtedy wpuścić specjalistów nieznanym sobie obawiając się, że założą rozmaite podsłuchy itd. Więc wzięto zaufanego człowieka, który tę linię podciągnął do łóżka konającego prymasa. I obaj tak resztkami sił pożegnali się. I to już właściwie był testament kardynała Wyszyńskiego, który na drugi dzień, 28 maja około piątej nad ranem zmarł, tzn. po kilkunastu godzinach od tej rozmowy z papieżem.

To tyle żebyśmy odczuli, jeżeli tak można powiedzieć, nastrój tego dzisiejszego dnia. Myślę, że dla całego pokolenia Polaków, i dla tych pokoleń, które przyjdą, będzie to dzień niesłychanie ważny który nam uzmysławia, jak bardzo Pan Bóg potrafi pisać w prosty sposób na krzywych liniach ludzkiego życia, jak te zakusy zamachowców dzięki Bogu nie spełniły się.

Od tamtej pory o zamachu napisano sporo książek, napisano sporo artykułów. Ale zamiast przybliżać się do prawdy można odnieść wrażenie, że jesteście od tej prawdy coraz dalej. W sposób widoczny nie zależy na tym, żebyśmy tę prawdę odkryli. Widocznie jest jeszcze za wcześnie. Mówi się powszechnie, że to była sprawa wywiadu sowieckiego, który ściśle współpracował z bułgarskim. Ale z kolei Bułgarzy i Rosjanie te oskarżenia odrzucają. I też zwracają uwagę, że na Zachodzie w liberalnych krajach, państwach papież też miał swoich wrogów. Tak że to wszystko na razie się załamuje, i nie sposób — przynajmniej na obecnym etapie — dojść prawdy.

Państwo wiedzą, że jeżeli chodzi o zamachowca, to mniej więcej półtora roku temu został przewieziony do Turcji, gdzie odsiadywał wyrok za inną zbrodnię, którą popełnił. Mianowicie kilka lat wcześniej zastrzelił dziennikarza w Stambule, i odbywał tam wyrok w jednym z tureckich więzień. Natomiast tutaj został po odsiedzeniu kilkunastu lat ułaskawiony. Taki to dodatek do dzisiejszego dnia.

Pamiętajmy jeszcze, że dokładnie jeden rok później, dnia 13 maja 1982 r. Jan Paweł II udał się do Fatimy. I tam w sanktuarium przy figurze Najświętszej Maryi Panny zostawił kulę, którą wyjęto z jego ciała, jako znak dziękczynienia Panu Bogu za cudowne ocalenie życia. Natomiast dzisiejszy dzień jest o tyle ważny — chociaż szkoda, że w naszych kościołach o tym się nie mówiło, ale to takie trochę lenistwo nas, duchownych, którzy w tych kościołach mamy więcej do powiedzenia. Ale dzisiaj po raz pierwszy święto Matki Bożej Fatimskiej zostało rozciągnięte na cały Kościół. I po raz pierwszy w całym Kościele czci się właśnie pamięć Matki Bożej Fatimskiej. Został wprowadzony specjalny formularz modlitewny. I od tej pory 13 maja każdego roku będzie świętem Matki Bożej Fatimskiej. Takie to właśnie święto wprowadził Jan Paweł II.

I ostatnia myśl — myślę, że dla państwa najzupełniej zrozumiała. Mianowicie kiedy dzisiaj patrzemy na papieża i doskonale zdajemy sobie sprawę z jego stanu zdrowia, doskonale widzimy jak cierpi, ile cierpi, pamiętamy, że za kilka dni kończy 82 lata, to już jest taki wiek, w którym nie można wymagać za wiele — ale ile razy przychodzi nam do głowy myśl na temat jego cierpienia, jego wyglądu, jego postawy, zachowania itd. to pamiętajmy, że to są również bardzo dramatyczne skutki tego zamachu, który się niegdyś wydarzył. Że ten zamach pozostawił ogromny ślad, psychiczny również, w życiu Ojca Świętego. I tak że z całą pewnością z postępem lat, i wieku, i doświadczenia, papież to doświadczenie, które go spotkało, przeżywa coraz głębiej. Pamiętajmy również, że tego samego dnia zostało postrzelonych, przy sposobności strzałów do papieża, dwoje ludzi, dwie kobiety. Otóż jedna i druga od czasu do czasu odwiedzają papieża. One też były w szpitalu. I to też jest jakaś cena tego wszystkiego, co 21 lat temu się wydarzyło.

Myślę, że po tym wstępie możemy przejść do właściwego tematu. Natomiast wgląd na święto Matki Bożej Fatimskiej, i na życie Ojca Świętego, na stan jego zdrowia, chyba usprawiedliwia tę krótką refleksję. Pamiętajmy też, że za kilka dni papież udaje się do Azerbejdżanu, gdzie — to jest też pewna ciekawostka — po raz pierwszy w całym swoim pontyfikacie będzie mieszkał w zwykłym hotelu. Dlatego, że tam katolików w Azerbejdżanie praktycznie, liczebnie biorąc nie ma. Nie ma jakiegoś kościoła czy katedry. Jest tylko kaplica w Baku, którą obsługuje dwóch Słowaków, Polak i czasami dojeżdżający Włoch. I po raz pierwszy w dziejach pontyfikatu, i w ogóle w dziejach papieży, papież zamieszka w zwykłym hotelu, oczywiście przystosowanym dla niego, i odpowiednio przygotowanym. Stamtąd po raz pierwszy w swoim pontyfikacie Ojciec Święty udaje się do Bułgarii. Papież bardzo chciał być w tej Bułgarii ze względu na te powiązania, o których była mowa od początku zamachu na jego życie. I trzeba mieć na względzie to, że jest to taka swoista podróż życia do kraju, który jakoś z tym pontyfikatem jest w tajemniczy sposób związany. W Bułgarii liczba katolików jest większa. Również prawosławni, którzy tam są, są bardziej przychylni

na tę ekumeniczną jedność z Kościołem katolickim. Więc ta pielgrzymka powinna też wydać takie błogosławione owoce. Myślę, że warto przyglądać się tej pielgrzymce. Dwa różne kraje, jeden islamski, drugi prawosławny. I papież już schorowany i cierpiący, który jednak uda się, aby raz jeszcze przeżyć pielgrzymkę. I jeżeli to tylko możliwe, to utwierdzić w wierze ludzi, którzy tam żyją.

Jeżeli Pan Bóg pozwoli, to jeszcze w tym roku Ojciec Święty odbędzie setną podróż apostolską. Sto podróży apostolskich — to tylko tak łatwo powiedzieć, ale mogą sobie państwo wyobrazić co to znaczy sto razy przebywać z daleka od Watykanu, na wielodniowej pielgrzymce, mieć do czynienia z milionami ludzi. I oczywiście to też jest taki charakterystyczny rys tego niezwykłego pontyfikatu.

Przechodzimy do wątku, który zostawiliśmy trzy tygodnie temu na ostatniej konferencji biblijnej. Jak państwo pamiętają wtedy przedmiotem naszej rozważki i refleksji był tekst opowiadający o uczniach zdążających do Emaus. Gdybyśmy chcieli streścić krótko ten tekst, moglibyśmy go zatytułować: „I poznali Go przy łamaniu chleba”. Zapowiedziałem państwu, że kiedy dzisiaj spotkamy się, to podejmiemy temat Eucharystii, który ma ścisły związek ze Zmartwychwstaniem. Otóż chciałbym ten trudny, i można by powiedzieć: pod wieloma względami niezbyt wdzięczny temat podjąć. Niezbyt wdzięczny dlatego, że co innego słowa, a co innego przeżywanie Eucharystii, co innego duchowość eucharystyczna. To nie jest kwestia rozumowa. Jest to bardziej kwestia duchowości chrześcijańskiej i zakorzenionej w tej duchowości duchowości eucharystycznej. Eucharystia jednak, podobnie jak Zmartwychwstanie, to nie jest tylko kwestia jakiejś takiej refleksji rozumowej, ale bardziej jest to kwestia duchowości, duchowości chrześcijańskiej i zakorzenionej w tej duchowości właśnie duchowości eucharystycznej.

Jeżeli chodzi o te sprawy duchowe, to w ostatnich pokoleniach zmienia się bardzo dużo, także w Kościele. Także sposób wychowania wiernych, przygotowania do Eucharystii, do przeżywania Eucharystii, jest zupełnie inny.

Jeżeli chodzi o moje przeżywanie Eucharystii, być może jest to również część doświadczenia państwa, to jest to jedno z pierwszych wspomnień z dzieciństwa. Pamiętam bowiem, że moja mama miała bardzo stary modlitewnik — z początku wieku, który należał do mojej babci, gdy była jeszcze mała. I w tym modlitewniku oprócz modlitw przewidzianych na rozmaite okoliczności życia były także opisy różnych cudów i zjawisk, które miały chrześcijanina w wierze utwierdzać. Pamiętam bardzo dobrze, że kiedy tylko nauczyłem się czytać, to to czytałem, a wcześniej jeszcze oglądałem. Może jako punkt wyjścia do dzisiejszej refleksji eucharystycznej jest bardzo znaczący.

I tam był duży dział poświęcony Eucharystii, poświęcony komunii świętej. Poświęcony temu, czym jest tabernakulum, czym jest Ciało Pańskie przechowywane w tabernakulum. I pośród tych rozmaitych cudów, które tam zostały opisane, opisano następujące wydarzenie. Mianowicie pewien kapłan — tam nawet podany był rok i miejsce, ale tego już nie pamiętam — kiedy sprawował mszę świętą zaczął mieć wątpliwości co do tego, czy podczas Przeistoczenia chleb, nad którym się modli, i wino, który podnosi, stają się rzeczywiście ciałem i krwią Pana. I kiedy te wątpliwości zagościły w jego sercu podczas sprawowania mszy św. na oczach wiernych, wtedy okazało się, że na trzymanej w ręku hostii pojawiła się tak jakby kropla krwi. Tak więc Pan Jezus dał mu poznać, że jest rzeczywiście cieleśnie obecny w sakramencie Eucharystii. Przypominam sobie, że nigdy nie zastanawiałem się specjalnie, czy to wydarzenie miało miejsce naprawdę, czy też jest raczej wynikiem swoistego pragnienia, czy jakiejś wewnętrznej duchowej projekcji wątpliwości, które każdy z nas ma — to nie jest takie bardzo ważne. Ale to wydarzenie dla mnie jest jakimś kluczem do zastanawiania się nad Eucharystią.

Często zdarza się tak, że kiedy sprawuję mszę świętą, kiedy dochodzi do momentu Przeistoczenia, to zadaję sobie to samo pytanie — nie to, żeby tak samo wątpić, bo być może te wątpliwości czasami są jeszcze większe, ale przypominam sobie tamto wydarzenie jako swoisty klucz do osobistego spotkania z tajemnicą Eucharystii. Myślę, że ono dobrze streszcza istotę tego napięcia, które tak czy inaczej czuje każdy z nas: mianowicie czy naprawdę pod postaciami chleba i wina obecny jest Zbawiciel ze swoim Ciałem i ze swoją Krwią? A jeżeli jest obecny, to co to dla nas znaczy?

Przejdziemy do tekstów z Pisma Świętego, ale najpierw zastanowimy się jeszcze króciutko nad tym wydarzeniem, któremu tyle uwagi poświęciliśmy trzy tygodnie temu. Przypominamy sobie

— obserwowaliśmy ten rozwój akcji krok po kroku — że kiedy ci dwaj uczniowie i ów tajemniczy przechodzień dotarli do Emaus, wtedy zwrócili się do Niego ze słowami: „Zostań z nami, bo ma się ku wieczorowi, i dzień się już nachylił”.

Otóż punktem wyjścia do tego, co się wydarzyło, była zwyczajna gościnność, zwyczajna życzliwość, dobroć ze strony tych dwóch, którzy osiągnęli cel i którzy chcieli, by również i ten tajemniczy nieznamy z nimi pozostał. U początków każdej wiary, zwłaszcza wiary religijnej, zwłaszcza wiary chrześcijańskiej, jest życzliwość i dobroć dla drugiego człowieka. Nie może być religii, która to pomija. Jeżeli istnieje jakaś wiara oderwana od wrażliwości na drugiego człowieka, to trzeba zastanowić się nad jej sensem. Otóż wiara w Boga, i związek z Bogiem, wynikają przede wszystkim z otwartości na drugiego człowieka, zwłaszcza tego człowieka, który jest w potrzebie. Jeżeli w naszych wspólnotach, czy gdziekolwiek, dzieje się inaczej, to jest to podważenie, i to najgłębsze, samej istoty wiary religijnej. W ten sposób przekonujemy się, że każda droga, która prowadzi do Boga, prowadzi przez drugiego człowieka. Godność każdego człowieka jest tak wielka dzięki Bożemu dziełu stworzenia, że Bóg wyszedł naprzeciw człowiekowi nawet wtedy, kiedy człowiek zgrzeszył i od Boga odszedł. W ten sposób dzieło zbawienia, dokonane w Jezusie Chrystusie, dopełniło dzieło stworzenia. Można by powiedzieć, że to drugie dzieło — dzieło zbawienia — objawiło miłość jeszcze większą niż ta, która stała się widoczna w dziele stworzenia.

Dzięki temu Pan Bóg objawił nam bardzo ważną prawdę — o Sobie, ale także i o nas. Mianowicie że istnieje, może istnieć *błogosławiona wina* — wtedy, kiedy człowiek dopuszczając się jakiegoś grzechu, jakiegoś zła, potrafi go przeobrazić w łaskę. I każda wiara religijna to jest wiara otwarta na wielką łaskę Bożą.

I w tym świetle należy patrzeć także na Eucharystię. Otóż Eucharystia, jej nowość, jest tak wielka, że nigdy człowiekowi nie przyszłoby do głowy wymyślenie czegoś tak rażąco odmiennego od naturalnego porządku rzeczy. W Eucharystii Pan Bóg działa wobec nas w sposób, który jest absolutnie unikatowy i niedościgniony. Zatem tego misterium, tej tajemnicy, która dokonuje się w Eucharystii, nie można z niczym porównać. Tak więc — tutaj mamy paradoks, takie napięcie bardzo ważne — byłoby rzeczą dziwną, gdyby chrześcijanin przyjmujący Eucharystię nie miał wątpliwości, gdyby chrześcijanin przyjmujący Eucharystię nie stawiał sobie żadnych pytań. Właśnie w Eucharystii nasza wiara uzewnętrznia się, czy znajduje wyraz, w sposób najgłębszy — a to z tej przyczyny, że tajemnica Bożego działania jest większa, niż gdziekolwiek. I jeżeli nasza wiara, zawierzenie Panu Bogu może znaleźć gdzie swój żywy i głęboki wyraz, to właśnie wtedy, kiedy z pokorą się pochylamy, aby przyjąć ten biały opłatek, jak mówimy: *komunię*, która jest Ciałem Pańskim.

Tamci dwaj otworzyli się na drugiego człowieka i dlatego doświadczyli tej niezwyklej obecności Boga. Gdy zajął z nimi miejsce u stołu, wziął chleb, odmówił błogosławieństwo, połamał go, i dał im. Zwróciłem uwagę na to, że jest to terminologia eucharystyczna. Te same słowa, te same czasowniki: wziął chleb, połamał, błogosławił, rozdawał, rozpoznajemy w Kanonie mszy św., bo one opisują misterium naszej wiary.

Wtedy oczy im się otworzyły i poznali Go, ale On zniknął im z oczu.

Eucharystia mogła zaistnieć wtedy, kiedy Chrystus umarł, i Chrystus zmartwychwstał. Możemy powiedzieć, że Eucharystia jest owocem Zmartwychwstania, a jednocześnie Eucharystia rodzi wiarę w Zmartwychwstanie, i tę wiarę umacnia. W Eucharystii chodzi o swoisty pokarm duchowy, na mocy którego człowiek rozwija się coraz bardziej, i przyjmuje tę tajemnicę Bożego działania, której w żaden inny sposób by nie pojął — nie tylko przyjmuje, ale staje się coraz bardziej dojrzały, i staje się coraz bliższy Pana Boga.

Dlatego refleksja na temat Eucharystii nie ma wielkiego znaczenia ani wielkiego sensu tam, gdzie człowiek nie doświadcza dobrodziejstw przyjmowania Ciała i Krwi Pana. Dopiero wtedy, kiedy doświadczamy tych dobrodziejstw, kiedy przyjmujemy Komunię św., kiedy staramy się o eucharystyczną duchowość, to możemy się nad tym zastanawiać. Odwrotna kolejność mija się z celem. I właśnie to chciałem wskazać dzisiaj, zabierając się do innego tekstu z Nowego Testamentu, który jest bardzo znaczący, i na pewno każdy z nas ten tekst zna. Mianowicie jest to słynna mowa eucharystyczna, wygłoszona przez Jezusa w synagodze w Kafarnaum. Otóż ta mowa eucharystyczna i reakcja ówczesnych Żydów bardzo dobrze oddają napięcia związane z Eucharystią. I może warto,

żebyśmy tę mowę sobie dzisiaj przeczytali i króciuteńko rozważyli. I przed uroczystością Bożego Ciała, która powoli się zbliża, żebyśmy jeszcze głębiej zrozumieli też te związki, czy przyjęli te związki pomiędzy Zmartwychwstaniem a Eucharystią.

To przemówienie Jezusa miało miejsce w Kafarnaum. Ja muszę państwu powiedzieć, że ile razy czytam ten tekst, to wystarczy tylko przymknąć nieco oczy aby natychmiast zobaczyć Kafarnaum, aby zobaczyć Jezioro Galilejskie, nad którym leży Kafarnaum. I ponieważ wśród państwa jest sporo osób, które znają Ziemię Świętą, to myślę że bardzo łatwo mogą sobie przypomnieć ten epizod, jak to będąc razem czy z jakimś innym przewodnikiem zatrzymujemy się niedaleko synagogi w Kafarnaum pod jednym z tamtejszych drzew. Najczęściej są to drzewa laurowe, zwłaszcza jeżeli jest gorąco to tam, pod tymi drzewami laurowymi czuje się ulgę. I tam właśnie, albo w samej synagodze, czyta się tekst, do którego za moment przejdziemy. Jest to jedno z większych wrażeń podczas pobytu w Ziemi Świętej. Jak wiemy na razie to są tylko wspomnienia, ponieważ praktycznie od ponad półtora roku pielgrzymki do Ziemi Świętej zostały wstrzymane. A dzisiaj sytuacja polityczna tam jest niesłychanie złożona, i na razie jakichś specjalnie dobrych wiadomości nie widać. Miejmy nadzieję, że może się coś zmienić, ale na razie wspomnienia z Ziemi Świętej pozostają tylko wspomnieniami.

Przypomnijmy sobie króciutko kontekst tego wydarzenia, o którym dzisiaj przeczytamy. Mianowicie Jezus nakarmił tłumy chlebem i rybami. Najedli się do syta i byli Mu szczerze wdzięczni. Ale dobrze wiemy, że w takim przypadku człowiek jest tak długo wdzięczny, jak długo nie jest znowu głodny. Ponieważ nie można się najeść na tydzień, a tym bardziej na dłużej, zatem nazajutrz, na drugi dzień dał znać o sobie głód, i ten tłum, który Jezus nakarmił chlebem i rybami, zaczął Jezusa z powrotem szukać. I wreszcie znaleźli Go właśnie w Kafarnaum nad Jeziorem Galilejskim. Przybyli do Jezusa, a On mówi do nich: „Szukacie Mnie nie dlatego, że interesuje was moja nauka, moje nauczanie, czy że jesteście jacyś pewni podziwu dla Mnie. Tylko szukacie Mnie dlatego, żeście się najedli do syta. Tymczasem trzeba, żebyście szukali innego pokarmu.” I w ten sposób ten naturalny głód, oraz sprostanie temu głodowi, którego dokonał Jezus, stało się punktem wyjścia do zapowiedzi Eucharystii. I w Ewangelii św. Jana w 6 rozdziale czytamy tak:

«Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Szukacie Mnie nie dlatego, że widzieliście znaki, ale dlatego, że jedli chleb do sytości. Troszczcie się nie o ten pokarm, który ginie, ale o ten, który trwa na wieki, a który da wam Syn Człowieczy; Jego to bowiem pieczęcią swą naznaczył Ojciec»

W ten sposób Jezus daje poznać, że istnieje w człowieku głód, któremu staramy się sprostać szukając codziennie pożywienia i troszcząc się o pożywienie. I ten głód jest bardzo ważny. I na pewno trzeba wszelką pomoc człowiekowi zacząć od tego, aby wyjść naprzeciw jego głodowi, jego pragnieniu. Ale Jezus podkreśla, że istnieje w człowieku również drugi głód, którego nie zawsze sobie uświadamiamy, nie zawsze wiemy, że on w nas istnieje. trzeba niejako w nas ten głód obudzić, uświadomić nam. Dopiero wtedy uświadamiamy sobie, że taki głód rzeczywiście jest. I Jezus powiada, że ten drugi głód, ten duchowy, może spełnić Pan Bóg, może spełnić dzięki Niemu, dzięki Jezusowi, którego posłał. W ten sposób Jezus, nauczając dalej o Eucharystii, mocno podkreśla że Eucharystia jest darem Bożym. Że Eucharystia wychodzi naprzeciw najgłębszym potrzebom człowieka.

Ludzie, także wierzący w Boga, mówią bardzo często, że są osamotnieni, że czują się zawiedzeni, że przeżywają kryzysy, potrzebują psychologa, psychiatry, pomocy sąsiadki, że potrzebują zwierzenia, otuchy, pocieszenia — szukają tego na rozmaite sposoby. Ale trudność i problem na tym polega, że jeżeli wierzą w Boga, jeżeli są to chrześcijanie, to nie szukają tej dojrzałości duchowej tam, gdzie ona być powinna, czyli w samych sobie. I w ten sposób starają się na bardzo trudne pytania uzyskać łatwe odpowiedzi. I takie doraźnie uzyskują. Ale w dłuższej perspektywie czasowej okazuje się, że te odpowiedzi tylko jeszcze bardziej pogłębiają ich frustrację. Natomiast jeżeli człowiek by sobie uświadomił, że istnieje w nim bardzo głęboka siła, wynikająca z otwarcia na Boga i współpracy z Panem Bogiem, i że narzędziem tego jest niejako Eucharystia, z całą pewnością będzie o wiele silniejszy, o wiele mocniejszy, i nie będzie skazany, jeżeli tak można powiedzieć, na nieustanną pomoc ze strony innych. Eucharystia odpowiada na pewien głód, który jest w człowieku, przynosząc nam ulgę i pocieszenie. Posłuchajmy, jak ujmuje to dalej Jezus:

«Cóż mamy czynić, abyśmy wykonywali dzieła Boże?»

Zwróćmy uwagę, że takie pytanie stawiają Izraelici, którzy wierzą w Boga. Natomiast u pogan zawsze jest tak samo: Co mamy czynić, abyśmy mogli być jak najlepszymi wierzącymi ludźmi? To samo pytanie pojawia się również i w naszych czasach, również i u nas, chrześcijan. Dobrze wiemy, że wobec tego pytania bywają rozmaite odmiany bezsilności. Co mamy czynić? Okazuje się, że duszpasterze, z biskupami i kapłanami włącznie, bywają wobec tego pytania bezsilni. „Przyjedzie Ojciec Święty, to nam powie!” I dlatego żyjemy od pielgrzymki do pielgrzymki. Lecz nieszczęście polega na tym, że nasza refleksja nad nauczaniem papieskim trwa parę miesięcy czy rok, a potem wspomnienia pielgrzymki jakby się rozmywają, i później znów wyczekujemy na to, co będzie. Teraz też czekamy na pielgrzymkę papieża, której hasło brzmi „Bóg bogaty w miłosierdzie”. A znakiem Bożego miłosierdzia, którego symbolem jest sanktuarium w Łagiewnikach, jest na pewno Eucharystia.

«Co więc mamy czynić, abyśmy wykonywali dzieła Boże?» Jezus odpowiadając rzekł do nich: «Na tym polega dzieło [zamierzone przez] Boga, abyście uwierzyli w Tego, którego On posłał».

Fundamentem Eucharystii, bo o niej będzie mowa, jest wiara. Eucharystia jest dla ludzi wierzących. Dlatego staramy się już małe dzieci wdrażać nie tylko do pobożnego przeżywania czy do porządku podczas przyjmowania pierwszej komunii św., ale wdrażać je do wiary. Dlatego taką wielką wagę przykładamy do uczenia dzieci pierwszych formuł wiary, wyznania wiary, pierwszych modlitw, w których ta wiara się wyraża. I jak sądzę istnieje zależność, a nawet współzależność między stopniem wiary, poziomem wiary, a intensywnością przeżywania Eucharystii. Otóż jeżeli człowiek żyje głębiej swoją wiarą, to i jego tęsknota za Eucharystią jest, tej tęsknocie częściej wychodzi naprzeciw. Natomiast jeżeli wiara jest płytka czy powierzchowna, to odbija się to również na Eucharystii. *A więc ta wzajemna więź: Eucharystii jest darem dla tych, którzy wierzą.* Jeżeli człowiek nie wierzy, jeżeli nie przyjmuje jakiegoś pierwszego poziomu cudu, to odrzuca to, co ze swojej samej istoty jest największym cudem, jaki oferuje nasza wiara.

Rzekli do Niego: «Jakiego więc dokonasz znaku, abyśmy go widzieli i Tobie uwierzyli? Cóż zdziałasz?»

Zwróćmy uwagę — bo to znów brzmi tak, jak paradoks, z którym każdy z nas ma do czynienia. Wczoraj najedli się do syta. Dzisiaj Jezus mówi: „Słuchajcie! Szukaliście Mnie nie dlatego, że Mnie kochacie, ale dlatego, żeście się najedli do sytości.” A oni Mu odpowiadają: „To co zrobisz dzisiaj, abyśmy Ci uwierzyli?” To jest ta wieczna pokusa cudowności. Ta wieczna pokusa znaków, o które prosi człowiek, albo których żąda człowiek, jako potwierdzenia dla swojej wiary. I Jezus też zetknął się z tą pokusą, i nawet nie próbuje jej sprostać. Jezus nie próbuje z nimi dyskutować na tym poziomie, tylko otwiera przed nimi horyzonty jeszcze głębsze. I te właśnie głębsze horyzonty, to będzie właśnie nauka o Eucharystii. Oni mówią tak:

Ojcowie nasi jedli mannę na pustyni, jak napisano: Dał im do jedzenia chleb z nieba.

Więc nawiązują do wyjścia z Egiptu i przypominają, że Bóg karmił Izraelitów manną, i że to cudowne działanie miało miejsce codziennie. Oczywiście jeżeli jakiś cud zdarza się codziennie, to przestaje być cudem. Gdybyśmy mieli cokolwiek wielkiego, ważnego, wzniosłego, co nam się zacznie powtarzać, to rychło się do tego przyzwyczaimy. Izraelici też przyzwyczaili się do cudu, i w związku z tym Jezusowi stawiają podobną perspektywę. Mówią Mu: „Słuchaj, kiedyś nasi przodkowie jedli chleb codziennie, a może dokonasz takiego cudu?” I właśnie to jest punktem wyjścia do nauki o Eucharystii.

Rzekł do nich Jezus: «Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Nie Mojżesz dał wam chleb z nieba, ale dopiero Ojciec mój da wam prawdziwy chleb z nieba. Albowiem chlebem Bożym jest Ten, który z nieba zstępuje i życie daje światu».

Tutaj mamy dwa poziomy myślenia, które naszą refleksję czynią trudną. Jezus mówi: „Ja jestem wielkim darem Boga dla was. Ale przyjdzie czas, że moja obecność wśród was będzie innego zupełnie rodzaju, niż ta teraz w ziemskim życiu.” Więc Jezus wskazuje na dwa wymiary. Na swoje życie — ziemskie, doczesne oraz na nową formę istnienia, która będzie umożliwiona wraz ze Zmartwychwstaniem. I wtedy obecność Jezusa wśród wierzących będzie miała miejsce właśnie w Eucharystii. Przypominamy sobie hasło Kongresu Eucharystycznego, który 15 lat temu miał miejsce w Polsce podczas III pielgrzymki Jana Pawła II do Ojczyzny: „Do końca ich umiłował”. Właśnie w Eucharystii Jezus zostaje z nami w sposób, w który nikt inny zostać nie może, bo w stosunku do żadnego innego człowieka Pan Bóg nie działa tak głęboko i tak cudownie, jak w tym przypadku.

Rzekli więc do Niego: «Panie, dawaj nam zawsze tego chleba!» Odpowiedział im Jezus: «Jam jest chleb życia. Kto do Mnie przychodzi, nie będzie łaknął; a kto we Mnie wierzy, nigdy pragnąć nie będzie. Powiedziałem wam jednak: Widzieliście Mnie, a przecież nie wierzycie. Wszystko, co Mi daje Ojciec, do Mnie przyjdzie, a tego, który do Mnie przychodzi, precz nie odrzucę, ponieważ z nieba zstąpiłem nie po to, aby pełnić swoją wolę, ale wolę Tego, który Mnie posłał.

Jezus zatem mówi: „Punktem wyjścia do tego daru, który zapowiada, jest wiara w Niego. Wiara w Jezusa i jego Boską i mesjańską tożsamość. Ci, którzy przyjmują Eucharystię, muszą, czy powinni, wyznać w Jezusie Syna Bożego. Otóż Eucharystia jest czymś absolutnie specyficznym dla wiary chrześcijańskiej. Żadna inna religia, nawet monoteistyczna, jak religia żydowska, jak islam, nie mają czegoś takiego jak Eucharystia, bo nie mają Jezusa Chrystusa, którego wyznawaliby jako Syna Bożego. Ponieważ w Jezusie Bóg stał się człowiekiem, i to jest wielki cud Wcielenia, to na przedłużeniu tego Wcielenia jest jeszcze Eucharystia, czyli nowa forma obecności Boga pośród ludzi. Do tego stopnia, że Bóg już nie tylko tak, jak we Wcieleniu, staje się jednym z nas, tylko idzie jeszcze dalej w swoim uniżeniu się. Mianowicie staje się niejako pokarmem ludzi. Żeby to zrozumieć — tego nie da się zrozumieć — ale żeby to przyjąć należyce trzeba otworzyć się na absolutnie cudowną moc Pana Boga, i przyjąć do wiadomości jego miłość względem człowieka. Miłość, która wykracza poza wszelkie granice, które moglibyśmy sobie wyobrazić.

Jest wolą Tego, który Mnie posłał, abym ze wszystkiego, co Mi dał, niczego nie stracił, ale żebym to wskrzesił w dniu ostatecznym.

Proszę zwrócić uwagę, że Jezus kładzie nacisk na to, że *Eucharystia, która jest pokarmem dla człowieka w tym życiu, jest jednocześnie pokarmem ku życiu wiecznemu*. W ten sposób Jezus daje poznać, że śmierć jest przejściem. A zatem życie, w którym teraz jesteśmy osadzeni, to jest doczesność, która stanowi wstęp do wieczności. I tutaj właściwie ktoś, kto karmi się Eucharystią, kto przyjmuje Eucharystię, ma już przedsmak życia Bożego. I to nie tylko tego życia Bożego, którego teraz możemy doświadczyć, tylko życia Bożego, które jest wejściem w wieczność. Każdy z nas, a zwłaszcza ten, kto takie rzeczy mówi, musi uznać swoją niemoc. Tutaj każdy z nas, zamiast mnożyć słowa, powinien raczej zastanowić się i próbować przypomnieć sobie, czy zdarzyło się choćby raz, żeby po przyjęciu Komunii Świętej doświadczyć na nasz ułomny i ograniczony sposób owego cudu wieczności. Czy to jest możliwe w przypadku każdego człowieka — naprawdę nie wiem. Tutaj jakieś zwierzenia nasze na niewiele się zdadzą. Bo może będą trochę tak, jak opowiadanie o tym cudzie wspomnianym na początku. Człowiek ma wątpliwości, na te wątpliwości kapłańskie odpowiada Pan Bóg. Oto ukazuje mu się ta kropla krwi — i co z tego? Czy przez to doświadczył już nieba? Czy przez to doświadczył tajemnicy życia Bożego? Czy też może uświadomił sobie, że taka refleksja, takie wątpliwości nie mają sensu?

Ale po usunięciu wątpliwości życie wcale nie staje się łatwiejsze. Otóż życie z Panem Bogiem to jest nie tylko to, że nie mamy wątpliwości. To są jeszcze głębsze pokłady naszego wnętrza, głębsze niż unikanie wątpliwości. I Eucharystia albo wydobywa z nas to bogactwo, albo też, być może, tego nie czyni. I może się wydarzyć tak, że są wśród nas osoby, które przyjmują Komunię św., które nigdy nie przeżyły owego styku z wiecznością. Nie dlatego, że są niezdolne to przeżyć, tylko może dlatego, że nigdy nie patrzyły na to aż tak głęboko.

Mnie się wydaje — jeżeli mam rację, bo jak mówię dotykamy tutaj niezwykle intymnych sfer, gdzie nawet jedno słowo wypowiedziane nieopatrznie może się okazać za dużo — że tę uzdrawiającą i oczyszczającą wartość Eucharystii bardzo dobrze jest widać w przypadku ludzi chorych, cierpiących, a zwłaszcza umierających. Otóż kapelani szpitalni, a także spowiednicy i duszpasterze osób umierających, mogą opowiadać bardzo wiele o ludziach, o chorych, którzy są bardzo niespokojni. Są niespokojni o swój los, niespokojni o swoje życie, są niespokojni o swoją przyszłość — zarówno tę pojmowaną w chorobie, jak i o inną przyszłość. Przeżywają rozmaitego rodzaju lęki egzystencjalne. I oto, nawet jeżeli przeżywają przedtem potworne wątpliwości — przyjmują Eucharystię, i diametralnie wszystko w nich się uspokaja. Diametralnie wszystko w nich się zmienia. Stają się zupełnie inni, znacznie spokojniejsi. Można by powiedzieć: jakby przygotowani, jakby wchodzili na tę drugą stronę życia. I to się zdarza bardzo często. Może właśnie — można by tak konkludować — że w gruncie rzeczy ci przeżywają głęboko Eucharystię, którzy tak naprawdę stoją na progu wieczności.

A na progu wieczności staje się na dwa sposoby. Jeden sposób — to jest świętość. Tam, gdzie człowiek prowadzi święty tryb życia, gdzie żyje świętością, to ociera się o tę wieczność obiecaną przez Boga. A drugi sposób, dostępny zapewne większości z nas — to jest dopiero wtedy, kiedy człowiek uświadamia sobie, że zbliża się nad jakieś morze, które trzeba będzie mu przepłynąć, a którego zupełnie nie zna. I wtedy Eucharystia pozwala mu jakby na przejście ku wieczności. I Jezus zwraca bardzo mocno uwagę na ten eschatologiczny wymiar Eucharystii. Czyli na to, że staje się ona pokarmem ku życiu wiecznemu.

To bowiem jest wołanie Ojca mego, aby każdy, kto widzi Syna i wierzy w Niego, nie zginął, ale miał życie wieczne. A ja go wskrzeszę w dniu ostatecznym.

A więc niezbywalna więź między przyjmowaniem Eucharystii, a życiem wiecznym i wskrzeszeniem przez Boga do nowego życia. W ten sposób Eucharystia z jednej strony stanowi pamiątkę męki, śmierci i Zmartwychwstania Jezusa, a z drugiej strony stanowi zapowiedź naszego przejścia do Boga, i naszego zmartwychwstania. *Żeby więc Eucharystię przyjmować owocnie trzeba być człowiekiem nie tylko głębokiej wiary ale także głębokiej nadziei.* Ta nadzieja to jest przede wszystkim nadzieja, że nasze życie ma sens, że nasze życie ma swój kierunek. Ale także nadzieja na to, że sensem i kierunkiem tego życia jest Pan Bóg, który na nas czeka. A to właśnie przychodzi nam najtrudniej. Wielu jest ludzi, którzy są nawet wewnętrznie przekonani, że Bóg istnieje, tylko niestety niewiele z tego wynika dla ich życia. *Otóż za wiarą musi pójść nadzieja, bo wiara bez tej nadziei jest zupełnie martwa.* I dalej:

Ale Żydzi szemrali przeciwko Niemu, dlatego że powiedział: «Jam jest chleb, który z nieba zstąpił». I mówili: «Czyż to nie jest Jezus, syn Józefa, którego ojca i matkę my znamy? Jakżeż może On teraz mówić: "Z nieba zstąpiłem"».

Otóż ci Żydzi, którzy słuchali Jezusa w synagodze w Kafarnaum, znali Jego rodzinę. Im najtrudniej było przyjąć tajemnicę Eucharystii. Bo oto widzieli przed sobą człowieka, a słyszeli zapowiedzi, które przekraczały ich wyobraźnię. My nie możemy, ani nie powinniśmy się gorszyć tamtą niewiarą. Temu pokoleniu, które oglądało Jezusa, było znacznie trudniej uwierzyć niż nam. Dlatego, że jedno z podstawowych wyzwań wiary na tym polega, że łatwiej człowiekowi uwierzyć w coś czy kogoś, kogo nie widzi i nie zna, niż przyjąć nadzwyczajną misję w przypadku osoby, którą dobrze znamy. I właśnie tamci ludzie przeżyli mniej więcej to samo.

Jezus rzekł im w odpowiedzi: «Nie szemrajcie między sobą! Nikt nie może przyjść do Mnie, jeżeli go nie pociągnie Ojciec, który Mnie posłał; Ja zaś go wskrzeszę w dniu ostatecznym.

Proszę zwrócić uwagę, że w tej mowie Jezusa bez przerwy wracają dwa wątki:

- Eucharystia jest pokarmem na dziś,
- Eucharystia jest pokarmem na wieczność.

Eucharystia utrzymuje naszą wiarę dzięki teraz, ale Eucharystia podtrzymuje naszą nadzieję na życie z Bogiem. To również było bardzo trudno przyjąć Żydom, którzy byli współcześni Jezusowi. Dlatego, że oni jeszcze nie mieli pojęcia, co to znaczy zmartwychwstanie, wskrzeszenie do nowego życia. Dla nich wszystko kończyło się wraz ze śmiercią. A Jezus ukazuje perspektywę nową. Można by to powiedzieć innymi słowami w następujący sposób: „Jakże bardzo Bóg kocha ludzi, jeżeli stwarzając ich powołuje ich do życia wiecznego ze sobą.” I z tego można wyprowadzić jeszcze inną konkluzję, zdaje się zupełnie błahą, ale wcale tak nie jest. Mianowicie *Bóg nie jest samotny*. Dlatego, że będąc jedyny trwa w troistości Osób jako Ojciec, Syn i Duch Święty. Ale to wewnętrzne bogactwo życia Bożego wymaga jeszcze, że Bóg potrzebuje także innych istot przez Siebie stworzonych, żeby nie istnieć nawet w tej, w cudzysłowie, samotności Trójcy Świętej. A więc Bóg potrzebuje ludzi, którzy by odwzajemnili Mu jego miłość. I dlatego na tej drodze do odwzajemniania miłości daje nam najpierw swojego Syna — w Ciele, a potem swojego Syna — w Ciele i Krwi. Otóż kiedy wypowiadamy takie słowa, to już ocieramy się naprawdę o granice naszych ludzkich możliwości, żeby tę tajemnicę w ogóle w słowach ująć. I dalej:

Napisane jest u Proroków: Oni wszyscy będą uczniami Boga. Każdy, kto od Ojca usłyszał i nauczył się, przyjdzie do Mnie. Nie znaczy to, aby ktokolwiek widział Ojca; jedynie Ten, który jest od Boga, widział Ojca. Zaprawdę, zaprawdę, powiadam wam: Kto we Mnie wierzy, ma życie wieczne.

Bez przerwy w tej mowie eucharystycznej jest bardzo silny nacisk na życie wieczne. A to życie wieczne, jego kształt, został ukazany przez zmartwychwstałego Jezusa. Jeszcze za swego życia Jezus ukazuje na zmartwychwstanie i na Eucharystię, która się bardzo silnie ze zmartwychwstaniem wiąże. Zwróćmy uwagę na charakterystyczny rys pobożności chrześcijańskiej, i na pewne zmiany, które istnieją pomiędzy wyznaniem chrześcijańskimi. Jeżeli chodzi o katolicyzm, o nasze wyznanie, to my bardzo silnie eksponujemy śmierć Jezusa Chrystusa. I to na każdym kroku. Widać to na krzyżkach, które nosimy na sobie, widać to na krzyżach przydrożnych, widać to w kaplicach, widać to na znaku krzyża, który mamy w naszych domach. Widać w naszej modlitwie, w naszej pobożności: „Któryś za nas cierpiał rany . . .”, w naszej pobożności pasyjnej, wielkopostnej, w przeżywaniu Wielkiego Postu. Można by powiedzieć, że katolicyzm jest religią krzyża.

W prawosławiu natomiast bardzo mocno eksponuje się Zmartwychwstanie. Widać to dobrze w nazwie *niedzieli*. Np. w języku greckim *niedziela* brzmi [kriaki] czyli *dzień Pana, dzień Eucharystii*. W języku rosyjskim [woskresienie] czyli *zmartwychwstanie*. Otóż w pobożności prawosławnej dominuje Zmartwychwstanie, a wraz ze zmartwychwstaniem, wiara w życie wieczne. Oczywiście cała umiejętność koegzystencji chrześcijan różnych wyznań, a także ekumenizm, czyli dar budowania jedności na tym polega, żebyśmy jedni od drugich uczyli się bardzo wiele. I żebyśmy jedni dostrzegali te wartości, które czczą z takim oddaniem inni. Myślę, że w ostatnich dziesięcioleciach dokonuje się także i w Polsce ogromne dowartościowanie Zmartwychwstania, zarówno święta Zmartwychwstania, jak i wiary w Zmartwychwstanie. Mowę eucharystyczną kończą słowa:

Jam jest chleb życia. Ojcowie wasi jedli manę na pustyni i pomarli. To jest chleb, który z nieba zstępuje: kto go spożywa, nie umrze. Ja jestem chlebem żywym, który zstąpił z nieba. Jeśli kto spożywa ten chleb, będzie żył na wieki. Chlebem, który Ja dam, jest moje ciało za życie świata.

Zatem Eucharystia ukazana jako pokarm — pokarm na drodze ku wieczności, i jednocześnie jako swoisty zadatek wieczności. Skoro tak, skoro istnieje taki silny związek między Zmartwychwstaniem a Eucharystią, to dla nas wypływają dwa praktyczne wnioski. Jeden to ten, że:

Okres wielkanocny, w którym teraz jesteśmy, jest szczególnym świętem Eucharystii.

Drugi wniosek, może jeszcze ważniejszy:

Każda niedziela ma dwa wymiary: jeden moglibyśmy nazwać *chrystologiczny* czy *chrystusowy*. On się bardzo silnie wiąże z upamiętnianiem Zmartwychwstania. Byłoby dobrze, żeby wierzący w Chrystusa czyli my, mieli świadomość, że każda niedziela to jest pamiątka tego pierwszego dnia po szabacie, kiedy kobiety przyszły do grobu i najpierw one, a później Apostołowie, stwierdziły, że grób jest pusty, bo Pan zmartwychwstał. Niedziela jest dniem, który wyróżnia nas chrześcijan właśnie ze względu na to, że przypomina nam Boską godność Jezusa, który pokonał śmierć. Ale ta sama niedziela, która tak jednoznacznie wskazuje na Zmartwychwstanie, jest jednocześnie dniem sprawowania Eucharystii.

I można by powiedzieć na poziomie czysto legalnym w ten sposób. Otóż o ile chrześcijanin może sobie w dniu powszednim „odpuścić” Eucharystię czy o niej w jakiś sposób nie myśleć, o tyle niedziela jest takim dniem, który stanowi uprzywilejowany czas przeżywania Eucharystii. I bardzo bym państwa zachęcał — będzie to z pewnością jeden z najlepszych owoców tej konferencji, tej refleksji biblijnej — żeby właśnie tak przeżywać każdą niedzielę jako dzień Eucharystii. Bo czas poświęcony na Eucharystię nie jest nigdy czasem straconym. To my często pojmujemy liturgię eucharystyczną, mszę św. tak, jak gdybyśmy w tym czasie wyrzekali się dla Pana Boga czegoś, czego sensu do końca dobrze nie znamy. Otóż istotnie wyrzekamy się: dajemy Panu Bogu swój czas, swój bardzo cenny czas. Ale w tym właśnie uprzywilejowanym czasie łaski możemy doświadczyć, jeżeli tak można powiedzieć, czy być wprowadzeni w wielki Boży dar wieczności. I ktoś, kto należycie przeżywa niedzielę, i kto należycie przeżywa mszę św., to wychodzi z niej coraz to bardziej ubogacony, i przede wszystkim rozwija swoją nadzieję. I przede wszystkim doznaje przedsmaku tej rzeczywistości, której ani oko nie widziało, ani ucho nie słyszało, ani w serce człowieka nie wstąpiło to, co Bóg przygotował tym, którzy Go miłują. I może to niech będzie również klucz do naszego przeżywania niedzieli.

Tyle byłoby na temat Eucharystii i jej związków ze Zmartwychwstaniem. A ponieważ czas zbliża się taki, że ta pamięć Eucharystii będzie nam szczególnie bliska, to chciałbym żebyśmy w tym duchu przeżyli zwłaszcza uroczystość Bożego Ciała, która przypada pod sam koniec maja — no i cały ten czas liturgiczny, w którym jesteśmy.

Na koniec mam dla państwa zaproszenie, wielu z państwa już to zna. To jest cykl sympozjów teologicznych „Kościół a Żydzi i judaizm”, organizowanych w Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego. I takie najbliższe sympozjum ma się odbyć 22 maja od godz. 10 w gmachu Uniwersytetu w Lasku Bielańskim. Bardzo serdecznie państwa zapraszamy, bo zwłaszcza dla osób zainteresowanych Pismem Świętym to sympozjum zawiera bardzo cenny materiał. Będą tam trzy referaty. jeden będzie miał ks. prof. Ryszard Rubinkiewicz z KUL-u, i tytuł jego referatu brzmi: *Biblia chrześcijańska, a Biblia żydowska. Czy jest to ta sama Biblia, czy jednak nie?* Ks. prof. Henryk Witczyk, również z Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego, będzie miał referat: *Stare a Nowe Przymierze, czyli Stary a Nowy Testament*. I ja na koniec będę miał referat: *Żydzi jako starsi bracia chrześcijan — kilka niezbędnych wypowiedzi*. Zwykło się bowiem powtarzać, że to są nasi starsi bracia. Ale co to znaczy? I pod jakimi warunkami? I kiedy? I dlaczego trzeba tutaj również zachować pewną ostrożność? A wszystko to będzie w oparciu o dokument Papieskiej Komisji Biblijnej, który ukazał się kilka miesięcy temu: „O ludzie żydowskim i jego Pismach świętych”. Tekst tego dokumentu będzie tam również do nabycia. Sympozjum otworzy nowy metropolita poznański ks. abp Stanisław Gądecki. Są państwo bardzo gorąco zaproszeni.

Następna konferencja odbędzie się od dziś za cztery tygodnie, 10 czerwca. To już będzie ostatnia w tym roku. Dzisiaj bardzo serdecznie dziękuję. Natomiast na koniec proponuję, żebyśmy króciutko pomodlili się w intencji Jana Pawła II.

9 O przeżywaniu Eucharystii — I List św. Pawła do Koryntian (dn. 10 czerwca 2002)

Na akademiach i uczelniach rok dobiega końca. I nasze dzisiejsze spotkanie jest w tym roku ostatnie. Jeżeli Pan Bóg pozwoli nam przeżyć wakacje, doczekać do października, wtedy rozpoczniemy nowy cykl, który będzie również bardziej spójny. Ale o tym na sam koniec dzisiejszego spotkania.

Natomiast teraz jeszcze jedno. Bardzo serdeczne podziękowania tym spośród państwa, i paniom, i panom, którzy znaleźli czas i siły do udziału w sympozjum teologicznym, które odbyło się kilkanaście dni temu w Uniwersytecie Kardynała Stefana Wyszyńskiego. Obecność państwa była bardzo wyraźnie widoczna, i to bardzo dobrze. Widzieli też państwo naszych studentów. Czas teraz pod koniec maja już niezbyt fortunny, bo jest to czas przedegzaminacyjny i egzaminacyjny. Pewnie w przyszłości trzeba będzie te sympozja robić nieco wcześniej, i nie czekać do tak późnej pory. Ale jestem wszystkim państwu, którzy przybyli, bardzo wdzięczny. Mam nadzieję, że ta problematyka zainteresowała państwa chociaż mi wiadomo, że wielu ma na ten temat zupełnie dobre rozeznanie. Te referaty, te wystąpienia będą wydrukowane. Jeżeli kogoś te zagadnienia interesują, będzie można spokojnie do tego wrócić i przemyśleć. Ale nawet jeżeli ktoś nie będzie miał czasu na tego rodzaju powrót, to samo takie uczestnictwo jest niesłychanie ważne.

I na sam koniec tych spotkań, z których ostatnie właśnie się rozpoczęło, chciałbym dorzucić jeszcze jedną uwagę, którą państwo wysłuchali już bardzo często. Ale i dzisiaj nie mogę się oprzeć, żeby tego nie powiedzieć. Otóż jak państwo wiedzą ja wykładam w różnych miejscach. Przede wszystkim systematycznie na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Kardynała Stefana Wyszyńskiego, a także na Wydziale Teologicznym Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, dokąd trzeba jeździć co dwa tygodnie. I wykłady dla studentów mają swój profil, mają swój układ. Wiadomo że student to jest osoba, która niejako musi studiować, dla której studiowanie jest niejako powinnością, ale powinno być przyjemnością także. Chociaż jest to obowiązek, to miły obowiązek. I wykłady dla studentów są pod wieloma względami znacznie łatwiejsze.

Do tego mam różne wykłady okazjonalne, tzn. jestem zapraszany w rozmaite miejsca w Polsce i gdzie indziej. Przychodzi wygłaszać różne wykłady do różnego audytorium. Ale muszę państwu powiedzieć, że do tych tutaj przykładam szczególną wagę. Jestem bardzo szczególnie przywiązany, nie zawsze to można powiedzieć tak wyraźnie. Przywiązany dlatego, że szczerze mówiąc ja państwa podziwiam. Otóż poczynając od października przez wszystkie miesiące raz w miesiącu przyjść tutaj i posłuchać — a nie zawsze dzień jest taki długi, jak w maju i czerwcu, nie zawsze pogoda jest tak sprzyjająca, jak dzisiaj — a przecież wszyscy z państwa biorą w tym udział. Otóż to jest powód do ogromnej dumy, i to jest powód do ogromnego zadowolenia.

Bo to nam pokazuje, jak przeogromny jest potencjał ludzki tkwiący w naszych wiernych. I jak można i trzeba trafiać do ludzkich umysłów i do ludzkich serc, i jak istnieje głębokie zapotrzebowanie na wszelką prawdę, a prawdę o Panu Bogu w szczególniejszy sposób. Dlatego te konferencje dla mnie samego są o tyle trudne, że za każdym razem rozpoczynam je z takim przekonaniem, że trzeba dołożyć wszelkich starań, aby tym oczekiwaniom sprostać. A to nie jest bardzo łatwe, proszę mi wierzyć. Bo znacznie łatwiej jest pojechać gdzieś, powiedzieć sobie raz czy drugi, i przeprowadzić wykład dla osób, które się widzi raz w życiu, niż systematycznie przez wiele miesięcy.

A w tej parafii, podobnie jak w parafii Opatrzności Bożej przy ulicy Dickensa, przez wiele lat prowadzę takie właśnie pogłębione studium religijne i teologiczne. Tak się składa, że w tym roku za kilkanaście dni będę obchodził już dziesięć lat obecności i pracy w tej parafii, przedtem było siedem lat pracy w parafii Opatrzności Bożej na Dickensa. Zatem to jest już siedemnaście lat tutaj na Ochocie. A ponieważ konferencje zacząłem w drugim roku pracy kapłańskiej, to jest w gruncie rzeczy szesnaście lat takich konferencji, które niegdyś odbywały się co 2 tygodnie, potem co miesiąc — ale w sumie to już jest pokaźna liczba takich spotkań. Mówię o tym, przypominam nie tylko dlatego, żeby ćwiczyć pamięć, ale przede wszystkim żeby uzmysłowić państwu trudność moją polegającą na tym, że za każdym razem trzeba przecież starać się powiedzieć coś, co jest przynajmniej w jakimś tego słowa znaczeniu „nowe”, i unikać powtarzania się po to, żeby państwa w żaden sposób nie zniechęcić.

Mam nadzieję, że dzisiejszy temat, aczkolwiek podejmiemy wątek, który już rozważaliśmy przez ostatnie dwa razy, zainteresuje państwa również dlatego, że on dotyczy bardzo bezpośrednio każ-

dego z nas. *Chodzi* — mówiąc najogólniej — o sposób wspólnotowego, ale także osobistego, przeżywania *Eucharystii*. Posłużymy się zarówno tekstami z Pisma Świętego, wyjętymi przede wszystkim z I Listu św. Pawła do Koryntian, jak też słowami Jana Pawła II zawartymi w jego książce „Dar i tajemnica”, którą papież napisał na 50-tą rocznicę swojego kapłaństwa, która została wydana kilka lat temu, i która jest dobrym świadectwem tego jak papież — najpierw kapłan, potem biskup, kardynał i wreszcie papież przeżywa kapłaństwo, i jak postrzega Eucharystię.

Państwo pamiętaj, że wszystko, co można powiedzieć o Eucharystii można streścić tak. Dwa miesiące temu zwróciliśmy sobie uwagę na ścisły związek między Eucharystią a Zmartwychwstaniem, i rozważaliśmy epizod uczniów udających się do Emaus. I rozważaliśmy fakt, że uczniowie poznali Zmartwychwstałego Jezusa dopiero wtedy, kiedy wziął do ręki chleb, i kiedy zaczął go łamać. Dopiero wtedy rozpoznali, z kim mają naprawdę do czynienia. Otóż Eucharystia jest wyróżnikiem chrześcijaństwa. Tylko chrześcijanie mają taki posiłek, posiłek wspólnotowy, który nie jest posiłkiem, który ma zaspokoić głód fizyczny, bo ten zaspokajamy w domu, lecz jest posiłkiem, który ma zaspokoić głód duchowy. O tych dwóch rodzajach głodu powiemy sobie za chwilę kilka słów w nawiazaniu do I Listu św. Pawła do Koryntian.

Otóż Eucharystia zaspokaja nasze najgłębsze potrzeby i na to zwróciliśmy uwagę dwa miesiące temu — na obecność Chrystusa Zmartwychwstałego, i ten ścisły związek między Zmartwychwstaniem a Eucharystią. Na ostatniej naszej konferencji zwróciliśmy uwagę na to, co moglibyśmy nazwać *istotą Eucharystii*. Mianowicie zwróciliśmy się ku zapowiedzi ustanowienia Eucharystii, której dokonał Jezus w synagodze w Kafarnaum, kiedy to zapowiedział, że stanie się pokarmem dla tych, którzy w Niego uwierzą i że w ten sposób pozostanie z nami zawsze. Oczywiście to wywołało konsternację, wzburzenie, a u części słuchaczy wywołało nawet odrzucenie. „Jakże to” mówili, „może On dać nam Swoje ciało na pożywienie? Czyż nie znamy Jego rodziny? Czy nie wiemy, kim On jest? Za kogo On Siebie ma?” I na końcu tego epizodu Jezus zwrócił się do również do swoich apostołów, i zapytał „Czyż i wy chcecie odejść?” I wtedy usłyszał wyznanie Piotra, które było jednocześnie przyznaniem, że stanął na progu tej tajemnicy Eucharystii. Piotr odpowiedział „Panie, do kogoż pójdziemy? Ty masz słowa życia wiecznego”. I w gruncie rzeczy nasze trudności z Eucharystią bywają podobne. Kiedy jest sprawowana msza święta, wielu z nas może zadawać sobie pytanie o rzeczywistą obecność Chrystusa w Eucharystii. Są tacy wierni i tacy ludzie z zewnątrz, którzy jakby rozbijają się o tę tajemnicę Eucharystii, nie mogą w nią uwierzyć. I wtedy odchodzą. I są tacy, dla których Eucharystia jest takim pokarmem wręcz życia codziennego. Bo przecież są osoby, wierni, którzy przyjmują ją bardzo często.

Problem z Eucharystią można by streścić w ten sposób. Otóż bardzo trudno przychodzi wielu ludziom uwierzyć w Boga. Już samo istnienie Boga wymaga rozmaitych dowodów, uzasadnień, przekonywania, przykładów, świadectwa. I są ludzie, którzy nie mogą przekroczyć tego progu wiary. Mamy świadomość, że jeżeli każdy żyje w zgodzie ze swoim własnym sumieniem, to w jego życiu Pan Bóg jest w jakiś przedziwny sposób obecny. Bóg bowiem daje poznać siebie właśnie gdzieś tam w tajnikach naszego sumienia. Dlatego ufamy że nie tylko ci, którzy uwierzyli w Boga bardzo mocno, ale również ci, którzy zmagają się ze sobą, w końcu, kiedy doświadczą tej rzeczywistej obecności Pana Boga, to opowiedzą się po Jego stronie. Ale faktem jest, że w tym życiu wielu ludzi odczuwa ogromne trudności z uznaniem Pana Boga. I już jakby na tym rozbija się człowiek. Do tego dochodzi trudność następna w naszej wierze chrześcijańskiej. Mianowicie ta trudność to prawda głoszona przez Kościół, że Bóg, w osobie Jezusa Chrystusa, stał się człowiekiem. Kolejny paradoks bowiem na tym polega, że łatwiej nam uwierzyć w Boga, który jest odległy, niewidzialny, duchowy, jak mówimy: transcendentny — w pewnym sensie nieobecny, niż uwierzyć w Boga, który stał się człowiekiem w osobie Jezusa z Nazaretu.

Chcemy poznawać realia, w jakich żył Jezus z Nazaretu. I wiele osób, także spośród państwa, odbyło niegdyś pielgrzymkę do Ziemi Świętej, i oglądało miejsca uświęcone Jego obecnością. Z wieloma mieliśmy szczęście oglądać wspólnie te miejsca i przeżywać, pamiętając na słowa Jezusa, że gdy „wy przestaniecie mówić, to kamienie wołać będą”. To był prawdziwy przywilej, pojechać do Ziemi Świętej i móc widzieć to konkretne uobecnienie w geografii, w przestrzeni, tej obecności Syna Bożego. Ale są tacy, którzy nigdy do Ziemi Świętej nie pojadą z rozmaitych powodów, którzy tych realiów nigdy nie zobaczą, i którzy też wierzą, bądź trudno im przyjąć, że Bóg stał się człowiekiem.

A z Eucharystią trudność jest jeszcze większa. Bo należy przyjąć nie tylko, że Bóg istnieje, nie

tylko to, że Bóg stał się człowiekiem i przez 33 lata był jednym z nas w ziemskim życiu, a następnie zmartwychwstał i został uwielbiony, ale trzeba nam posunąć się dalej. Mianowicie, że ów Bóg, który stał się człowiekiem, Syn Boży, pozostał z nami aż do skończenia świata, i to pozostał pod postaciami chleba i wina. Nie ma drugiej religii na świecie, która posunęła by się tak daleko. Ale jak powiedział jeden z wielkich mędrców, a te słowa były w gruncie rzeczy powtarzane w każdym pokoleniu, żaden człowiek nie wymyślił by takiej prawdy. Żaden człowiek nie wymyślił by Eucharystii, gdyby nie została ona objawiona przez Jezusa Chrystusa. Otóż to, że Bóg zostanie z nami pod postaciami Chleba i Wina, i że możemy się Nim karmić, to jest tak, jak gdyby człowiek już nie tylko uwierzył w Pana Boga, ale niejako Nim dysponował, a w pewnym sensie Go zawłaszczył.

To wprowadzenie jest bardzo potrzebne, żeby przejść do I Listu św. Pawła Apostoła do Koryntian. Apostoł udał się do Koryntu ok. roku 51, czyli zaledwie 18 lat po śmierci Jezusa. Pamiętamy, że był człowiekiem nawróconym, który sam doświadczył rzeczywistej obecności Chrystusa pod Damazkiem, gdy usłyszał słowa „Szawle, Szawle, dlaczego Mnie prześladujesz?” „Kto Ty jesteś Panie?” „Ja jestem Jezus, którego ty prześladujesz!” Te słowa, a następnie przyjęty chrzest z rąk chrześcijanina Ananiasza odmieniły go bardzo gruntownie. Tak daleko musiał przemyśleć swoje życie, że udał się na pustynię, a właściwie zbiegł z Damazku, ponieważ jego współrodacy, Żydzi, czyhali na jego życie. Na pustyni doszedł do siebie, przemyślał to doświadczenie Chrystusa, udał się do Jerozolimy. Ale Apostołowie byli wobec niego nieufni. Odprowadzili więc go na statek, do Cezarei Nadmorskiej, i stamtąd odpłynął do Tarsu, do swojej rodziny, może nawet do rodziców. Zapewne to właśnie on do Tarsu, skąd pochodził, zaniósł jako pierwszy Ewangelię Chrystusową. Tam, przypomnijmy sobie nasze konferencje sprzed dwóch lat, odnalazł go inny Apostoł, Barnaba.

Jutro w liturgii Kościoła jest święto św. Barnaby, towarzysza św. Pawła Apostoła. Barnaba przygarnął Szawła, nawróconego Pawła, udał się z nim do Antiochii — na terenie dzisiejszej Turcji — i stamtąd rozpoczęli pierwszą podróż misyjną, najpierw na Cypr, a następnie do Środkowej Azji Mniejszej, do krainy, która nosi nazwę Galacja. Obeszli tę krainę, założyli pierwsze Kościoły, wrócili. Problem polegał na tym, że do Kościoła weszli ludzie pogańskiego pochodzenia. Powstał spór, powstał konflikt. Bo ci chrześcijanie, którzy byli Żydami, tak jak Piotr, sądzili, że należy nawróconych najpierw obrzezać, zobowiązać do zachowywania Prawa i przestrzegania zwyczajów żydowskich, i dopiero wtedy mogą stać się wyznawcami Jezusa Chrystusa. Paweł powiedział „Nie!” „Nie” dlatego, że jeżeli jest Jezus Chrystus, Syn Boży, to nie potrzeba już zachowywać starotestamentowego prawa. Te rozstrzygnięcia padły na Soborze Jerozolimskim, który odbył się w roku 50.

Wtedy Paweł wyruszył w drugą podróż apostolską, znów po Azji Mniejszej, a stamtąd udał się do Europy. Najpierw był w Filippi, potem w Tessalonice, później w Berei, w Atenach, a z Aten dotarł do Koryntu. Przypominamy sobie ubiegłoroczną pielgrzymkę Jana Pawła II, który z wielkim przejęciem stanął na Areopagu w Atenach, tuż obok Akropolu, i po raz pierwszy w dziejach biskup Rzymu i biskup Aten siedzieli obok siebie, i wyznawali wspólnie wiarę w Jezusa Chrystusa i przypominali, że Kościół oddycha dwoma płucami, tym zachodnim – łacińskim, i tym wschodnim – greckim.

Wróćmy do Pawła. Paweł udał się do Koryntu. To było miasto nadmorskie, z dwóch stron jest morze. Leży na wąskim przesmyku, gdzie w czasach nowożytnych został wykopany Kanał Koryncki. Było to miasto portowe, a więc miasto z portową opinią również. Paweł przebywał tam aż półtora roku. Przez ten czas założył Kościół, pozyskał wielu chrześcijan, był z Koryntian dumny. A stamtąd udał się z powrotem do Jerozolimy.

Wkrótce, duchem był bardzo niespokojnym, rozpoczął trzecią podróż apostolską, wyruszył znów do Azji Mniejszej i na trzy lata zatrzymał się w Efezie. I wtedy to do Efezu doszły wieści z Koryntu. Zaczęto opowiadać Pawłowi że ci wierni, których nawrócił kilka lat wcześniej i których umacniał, nie żyją tak jak powinni. Że zdarzają się wśród nich nadużycia, że zdarzają się wśród nich rozmaite spory, konflikty. Że zdarzają się wśród nich rzeczy, które w żadnym przypadku chrześcijanom przydarzać się nie powinny. I właśnie wtedy, po tych doniesieniach, Paweł pisze do Koryntian list.

I ten list, napisany około roku 55 bądź 56, czyli 5 lat po pobycie Pawła w Koryncie, zachował się i wszedł do kanonu Nowego Testamentu. Bardzo piękny, bardzo głęboki, i jednocześnie bardzo mądry list. W tym liście Paweł odnosi się do sytuacji chrześcijan korynckich. I zaczyna ich upominać, zaczyna ich prosić, aby wyplenili u siebie zło. Prosi ich, aby byli porządnymi ludźmi. Zwraca im uwagę, że skoro uwierzyli w Chrystusa, to nie mogą żyć tak, jak poganie. I prosi, aby stanowili

jedno dlatego, że były wśród nich podziały i rozłamy. I mówi do nich mniej więcej tak: „Czyż takiej Ewangelii was uczyłem? Czyż o to chodziło w moim nauczaniu? Przypomnijcie sobie, co wam mówiłem.”

A po tych licznych napomnieniach, i po tych wszystkich wskazówkach dotyczących życia, również małżeńskiego i rodzinnego, Apostoł przechodzi do sprawy Eucharystii. I w rozdziale 11 tego listu czytamy takie słowa:

Udzielając tych pouczeń nie pochwalam was za to, że schodzicie się razem nie na lepsze, ale ku gorszemu.

Otóż okazuje się, że chrześcijanie korynccy zbierali się razem, i mieli dwa rodzaje spotkań. Jedne spotkania to były takie, jak my teraz, i była wspólna wieczerza, wspólna uczta, wspólna kolacja powiedzielibyśmy naszym językiem. Ale kiedy przychodziła niedziela, bądź przychodził jakiś inny dzień, najprawdopodobniej jeszcze święta żydowskie dlatego, że oni ciągle byli wpisani w tę religię Starego Testamentu, to posiłki nabierały innego charakteru, bo właśnie wtedy sprawowali Eucharystię. I okazuje się, że pośród tych wszystkich nadużyć zdarza się także i to, że ci chrześcijanie zbierali się razem, ale zbierali się nie dla wspólnego dobra, ale ku gorszemu.

Otóż tak widzimy, że trudności w Kościele istnieją od samego początku jego istnienia. Musimy nauczyć się takiej podstawowej prawdy, że od początku istnienia ludzkości dobro i zło istnieją obok siebie, bo istnieją w człowieku. One nie istnieją obok, i jak wielokrotnie podkreślam, podział między dobrem a złem nie przebiega między ludźmi, lecz przebiega w sercach ludzi. Bo w każdym z nas trwa to odwieczne zmaganie się jednego i drugiego. Pisał o nim również św. Paweł kiedy mówił, że „pożądaj dobra, ale czynię to, co jest złe”. I w związku z tym Paweł jest wymagający — ale wyrozumiały.

I na tym właśnie polega pedagogia chrześcijańska, którą trzeba przynosić i do swoich rodzin, i którą trzeba przynosić również do Kościoła. Trzeba wymagać, ale jednocześnie nie można wymagać za wiele, bo wtedy nie otrzymamy nic. Trzeba wymagać, ale i być wyrozumiałym wobec ludzkich słabości. To znaczy dać człowiekowi szansę. Jeżeli bowiem odbierze się komuś nadzieję, to oczywiście nie ma wtedy żadnej możliwości czy szansy poprawy. To jest ważne w życiu rodzinnym, ale to jest ważne również w życiu Kościoła. I kiedy otworzymy Stary Testament, to wiedzą państwo dobrze, jak różne epizody tam są obok siebie. Obok świętości, bohaterstwa, poświęcenia są epizody gwałtów, rozpusty, przemocy — wszystkiego, na co tylko stać człowieka. W Nowym Testamencie, kiedy Jezus powołał Apostołów, to zdradził Go nie ktoś z zewnątrz, tylko jeden z tych, którzy towarzyszyli Mu na co dzień. I ta zdrada była tym bardziej dotkliwa. Kiedy Jezus powołał apostołów, to zaparł się Go nie jakiś człowiek, którego spotkał przypadkowo czy przypadkowo uzdrowił, ale wyparł się Go ten, który Mu najwięcej zawdzięczał.

Zatem już Jezus na sobie doświadczył tej przemożnej siły zła. A przecież wiemy, że *różnica między Judaszem i Piotrem tylko na tym polegała, że Judasz stracił nadzieję. I to doprowadziło go do tego, że się powiesił. Podczas gdy Piotr zapłakał, i były to już łzy nawrócenia.* I później w początkach Kościoła dzieje się nie inaczej, niż w czasach Starego Testamentu, i niż za życia Jezusa Chrystusa. Mianowicie od początku są rozmaite nadużycia, od początku są rzeczy, które dzisiaj naszym językiem moglibyśmy nazwać zgorzelenia. I tak w gruncie rzeczy trwa w każdym pokoleniu chrześcijan. *I dojrzały chrześcijanin o tym doskonale wie.* Oczywiście przeżywa to, i każdego z nas boli to zło, które ewentualnie w Kościele się dzieje. Ale zdajemy sobie sprawę, że i każdy z nas ma w tym złu jakiś swój mniejszy czy większy udział. I że tylko ludzi prawdziwie świętych i niewinnych stać na życie, które ze złem nie ma nic do czynienia.

Więc Paweł upomina i powiada do nich: „zbieracie się, ale nie na lepsze, ale ku gorszemu”. Na czym polegają te niebezpieczeństwa, związane z gromadzeniem się pierwszych chrześcijan na wspólne posiłki i na wspólne sprawowanie Eucharystii? Mówi tak:

Przed wszystkim słyszę — i po części wierzę — że zdarzają się między wami spory, gdy schodzicie się razem jako Kościół.

Niech państwo zwróć uwagę, na tę głęboką, ja bym powiedział: niedoścignioną mądrość Apostoła. Apostoł napisał: „Przed wszystkim słyszę — i po części wierzę”. Bardzo często bywamy bezkrytyczni wobec tego, co słyszymy. Bardzo często przyjmujemy za dobrą monetę to, co się mówi o innych ludziach, zarówno o jednostkach, jak i o różnych zbiorowościach. Otóż jeżeli chodzi

o mówienie zła o innych ludziach, musimy być bardzo ostrożni. Bo jedną z cech zła jest to, że ono jest zaraźliwe. Że się powiększa, że obrasta w obmowę, w plotkę, w oszczerstwo i we wszystko inne. Dobro, i mówienie o dobrym człowieku, jest znacznie bardziej ciche. Zło jest zawsze bardzo krzykliwe. Jeżeli więc chcemy żyć w sprawiedliwy, prawy sposób, powinniśmy być bardzo ostrożni wobec tego wszystkiego, co mówi się źle o innych ludziach. Zapewne w takich sytuacjach może tam być jakaś część prawdy.

Ale Apostoł jest ostrożny. „Przede wszystkim slysze — i po części wierze — że zdarzają się pomiędzy wami spory, gdy schodzicie się razem jako Kościół.” Otóż największym wrogiem Kościoła jako wspólnoty są spory, są konflikty, są napięcia, jest brak jedności. Niestety to rozkładało Kościół, zagrażało Kościołowi przez całe wieki. Dotykało Kościół, raniło Kościół przez całe wieki istnienia. Te spory kończyły się rozmaitymi podziałami w pierwszych wiekach. Podziałami, które znamy tylko z podręczników historii, zwłaszcza historii pierwszych wieków Kościoła. Ale te spory zakończyły się również w dramatyczny sposób wtedy, gdy w r. 1054 patriarcha Konstantynopola i biskup Rzymu obrzucili siebie nawzajem klątwą, i w ten sposób nastąpił przedział pomiędzy Kościołem zachodnim i Kościołem wschodnim. Przedział i podział, który istnieje aż po dzień dzisiejszy. Te podziały istnieją w prawosławiu, gdzie, jak państwo dobrze wie, Kościoły mają charakter bardziej narodowy, po linii języka, czasami polityki. I powiedzmy sobie — sytuacja Kościoła prawosławnego w Grecji jest zupełnie inna niż w Bułgarii, w Bułgarii jest inna niż w Rosji, w Rosji jest inna niż na Ukrainie.

I dobrze widzimy, jak polityczne rozmaite uwarunkowania doprowadzają do antagonizmów, do konfliktów, które są niezwykle gorszące. Bo jeżeli dla nas, chrześcijan, na przykład niechęć Kościoła prawosławnego w Rosji do nas jest czymś bolesnym, to myślę, że dla niechrześcijanina taki stan rzeczy jest nie tylko niezrozumiały, ale jest wręcz niebezpieczny. Bo myśli sobie, że skoro są tak skonfliktowani to żadne z nich nie trwa przy prawdzie. Te podziały, o których Paweł mówi w początkach Kościoła, z początkiem XVI wieku doprowadziły do rozłamu w Kościele zachodnim. Mamy reformację, kościoły protestanckie, mamy Kościół Rzymsko-katolicki.

I dobrze wiemy jaka przepaść dzieli protestantów i katolików. Dobrze wiemy co się dzieje np. w Irlandii, gdzie jedni z drugimi walczą. I to walczą już nie tylko w sposób gorszący, tylko aż do krwi, aż do śmierci. Dobrze wiemy wreszcie o tym — i to jest chyba najbardziej tragiczna spośród czarnych kart Kościoła — że czasami jedno wyznanie drugiemu wyznaniu przysparzało męczenników. Czyż nie taki jest przypadek Andrzeja Boboli? Przecież Andrzej Bobola został zamordowany nie przez niewiernych, nie przez ateistów, nie przez nie wiadomo kogo, ale przez Kozaków, którzy byli w tamtym okresie już prawosławni. A to, czego od niego wymagano, to odejście od wyznania katolickiego, przejście na wyznanie prawosławne. Ale przecież i tu i tu jest Chrystus! I tu i tu jest ta sama Eucharystia! I tu i tu jest to samo wyznanie wiary! Więc gdzie jest problem? Problem jest w ludzkim sercu i ludzkim sumieniu!

Paweł przestrzega, że przede wszystkim pilnujcie jedności. Otóż niezgoda, brak jedności najbardziej Kościół burzy. I myślę, że ten dramat podziału daje o sobie znać także i w naszych czasach, w jakiejś mierze także i w naszym Kościele, w Kościele katolickim w Polsce. Kiedy pojawiają się rozmaite trudne sprawy, wtedy dopiero widać nie tylko skonfliktowanie, ale także bardzo silne napięcia i spory, które doprowadzają do tego, że jedni na drugich patrzymy krzywo. A to wszystko sprzeciwia się samej istocie Eucharystii.

Z tego wynika prosty wniosek. Mianowicie trzeba starać się o budowanie jedności. Z tym, że budowanie jedności w ramach całego Kościoła jest czymś wzniosłym i odległym. Natomiast budowanie jedności w ramach rodziny, i z najbliższymi, jest czymś bliskim, i czymś jednocześnie straszliwie trudnym. Żeby to jakoś uszczegółwić to wydaje mi się, że trzeba by chyba powiedzieć tak. Idąc na Eucharystię, idąc na mszę św. trzeba zostawić w domu i wyrzucić z siebie wszelką niechęć, wszelką wrogość, wszelką zazdrość, wszelkie kłótnie, wszelkie konflikty. Człowiek, który udaje się na mszę św. powinien być pogodzony z innymi ludźmi, i z samym sobą. To jest bardzo trudne do osiągnięcia, ale tylko w ten sposób można budować jedność w Kościele i w ten sposób można budować jedność w tej wspólnocie wierzących, która karmi się Eucharystią.

Ja myślę, że są w domach państwa takie zwyczaje — niestety wiele tych starych polskich zwyczajów odchodzi w niepamięć, a bardzo często to jest szkoda — zwyczaje polegające na tym, że gdy się

Otóż jeżeli ktoś umie to robić, jeżeli ktoś chce to robić, jeżeli ktoś nauczył się trudnej sztuki przebaczenia i budowy jedności, można by powiedzieć, że — czy się o tym wie, czy nie wie — osiągnął same szczyty świętości chrześcijańskiego życia. Można by powiedzieć, że doszedł do tego, co jest w życiu chrześcijanina najważniejsze. Mianowicie do pojednania z samym sobą, do umiejętności przebaczenia, która sama w sobie jest darem. Apostoł napisał dalej tak:

Zresztą nawet muszą być wśród was rozdarcia, żeby się okazało, którzy są wypróbowani.

Możemy mieć najlepsze chęci, najlepsze pragnienia, ale może się okazać, że to wszystko za mało. Jedna ze stron małżeństwa, albo ktoś w rodzinie, może chcieć naprawdę dobrze. Ale może się okazać, że to trafia w pustkę, a nawet jątrzy i rozbudza jeszcze większą niechęć. Tak bywa, to się zdarza. Apostoł szuka ideału, ale jest realistą. I każda świętość, a ta chrześcijańska zwłaszcza, na tym polega, żeby pragnąć dobra, ale mieć właściwe rozeznanie o życiu, o człowieku, o samym sobie. Mianowicie nie chcemy podziałów, nie chcemy rozdarcia, ale jesteśmy świadomi, że one się zdarzają. Jeżeli to jest obok nas, przychodzi nam to łatwiej znosić. Ale jeżeli to dzieje się wśród naszych bliskich, wtedy dopiero rozpoczyna się owa droga krzyżowa.

I może być tak, państwo pamiętają te niezwykle słowa Jezusa, że „jeżeli ktoś miłuje swojego ojca, matkę, brata, siostrę bardziej niż Mnie, nie jest Mnie godzien”. A odbywa się to w takiej sytuacji, gdy ktoś staje po stronie swoich najbliższych wtedy, gdy powinien stanąć po stronie Chrystusa, Jego Ewangelii i Jego prawdy. Czasami bowiem trzeba opowiedzieć się za Bogiem i za Jego przykazaniami nawet, jeżeli odbywa się to za cenę więzi z najbliższymi. I to jest chyba największy dramat religijnego i chrześcijańskiego życia, kiedy człowiek musi być sobą, musi być chrześcijaninem, musi być człowiekiem sumienia także w tym środowisku, z którym wiążą go więzi krwi. Zatem wyrozumiałość — ale zarazem stanowczość. Nie pobłażliwość tylko rodzaj otwarcia, gdzie osiąga się jedność przez przebaczenie. Paweł napisał dalej:

Tak więc, gdy się zbieracie, nie ma u was spożywania Wieczery Pańskiej.

Otóż Apostoł zwraca uwagę, że Eucharystia — a były to same początki Kościoła — stawała się dla tych chrześcijan pretekstem tylko. Oni twierdzili, że idą przeżywać Eucharystię, a w gruncie rzeczy poprzestawali tylko na wspólnych posiłkach. Pamiętajmy, że ten problem dzisiaj pozornie tylko nie istnieje. Dlaczego mówię „pozornie tylko”? Nie istnieje w sposób dosłowny. Dlatego, że tamci ludzie zbierali się w domach. Nawet zrekonstruowano takie pierwsze domy. Niektóre mogły pomieścić 30 osób, inne 50, inne 100 osób, ale nie więcej. Nie było w starożytności domów tak okazałych, żeby mogły pomieścić tyle osób, ile tutaj jest państwa. Te zebrania, te wspólnoty eucharystyczne były dużo mniejsze. Więc ci ludzie gromadzili się razem.

My dzisiaj idziemy do kościoła i nie może być tak, że przyjdziemy, wyjmemy kanapki i sobie zjemy. Bo sama budowla nas usposabia do zupełnie innego zachowania. Ale problem pozostaje. Dlaczego? Dlatego, że może być tak, że ktoś przychodzi na mszę św. ale w gruncie rzeczy jego prawdziwe intencje, albo jego prawdziwa postawa jest zupełnie inna. I z tym, co się dzieje, z Eucharystią nie ma nic wspólnego. Czy nie zdarza się tak, nie tylko w środowiskach wiejskich, ale także miejskich, że msza św. to okazja, żeby się pokazać? Okazja, żeby gdzieś na wsi pokazać swój samochód, kiedyś po prostu konie i wóz? Dzisiaj, żeby pokazać swoje ubranie? Żeby pokazać się we dwoje? Żeby pokazać, jak mi się powodzi? Żeby popatrzeć na innych, żeby zobaczyć, jak wyglądają. I w gruncie rzeczy te 45 minut czy godzina to jest takie lokalne, miejscowe wydanie rewii, w której Eucharystia jest tylko oprawą. Natomiast to, co się dzieje w środku człowieka, odbiega daleko od tego, co się dzieje przy ołtarzu. Podczas niedzielnej Eucharystii musimy bardzo zważać na to, żeby sednem naszej obecności było to, co jest naprawdę najważniejsze.

Oczywiście można by powiedzieć, że w mieście — a mieszkamy w mieście — w grę wchodzi inne przesłanki, niż na wsi. Dzisiaj zresztą, w ciągu ostatniego pokolenia czy dwóch, zmieniła się mentalność ludzi w skutek telewizji i środków masowego przekazu. Jesteśmy zupełnie innym pokoleniem niż to, które żyło pięćdziesiąt lat temu. Ale mimo wszystko mamy swoje rozmaite słabości, a bardzo często dzieje się tak, że przenosimy — i to jest chyba w mieście najczęstsza sprawa — że przenosimy i przynosimy do kościoła cały ten rozgardiasz i zamęt, który mamy czasami

w głowach z powodu wielkiego szumu, jaki mamy w swoim własnym mieszkaniu. Może to być szum wynikający z telewizora, z radia, z jakichś innych doznań. Wychodząc z domu i idąc do kościoła nie zdążymy jeszcze z tego wszystkiego ochłonać. I stoimy w kościele, jesteśmy obecni, ale gdy wracamy do domu stwierdzamy, że właściwie duchem, duszą, byliśmy gdzieś zupełnie indziej. I na to zwraca uwagę Paweł. Że Eucharystia jest tak wielką tajemnicą, że człowiek musi dołożyć starań, aby przeżywał to, co się rzeczywiście dzieje. I czytamy tak:

Każdy bowiem już wcześniej zabiera się do własnego jedzenia, i tak się zdarza, że gdy jeden jest głodny, to drugi jest nietrzeźwy.

Tak było w pierwszych wspólnotach. Dzisiaj dzięki Bogu takie rzeczy się nie zdarzają. Ale to nie zdarzają dlatego, że my jesteśmy lepsi niż pierwsi chrześcijanie — nie, nie — tylko dlatego, że mamy kościoły, mamy świątynie. Gdyby Eucharystii towarzyszyły kolacje, to z całą pewnością mielibyśmy rozmaite pokusy tak jak te, przed którymi ostrzegają proboszczowie i pozostali księża, kiedy proszą wiernych: „Zróbcie pierwszą komunię bez alkoholu! Zróbcie bierzmowanie bez alkoholu! Zróbcie wigilię bez alkoholu! Poście w piątki! Trzeba zachować post w Środę Popielcową, albo w Wielki Piątek! itd.” I okazuje się, że kiedy się o tym przypomina, to sporo wiernych stwierdza, że to strasznie trudno zachować. Kiedyś mnie kiedyś jedna osoba wyznała, że nigdy nie miała takiej ochoty na wędlinę, jak w Wielki Piątek, i dlatego uległa. Dlatego, że jeżeli się czegoś zakazuje, to wtedy w człowieku wyłania się taki mechanizm, jak z tym psem Pawłowa, że wystarczy zadzwonić, i leci ślina. Jak się mówi, że w piątek nie trzeba jeść, to przez pozostałe dni tego mięsa się nie chce. A właśnie w piątek ten czas przychodzi.

Otóż rzecz nie polega na tym, że Pan Bóg chce nas powstrzymać przed mięsem, czy przed winem. Problem polega na czymś zupełnie innym — że człowiek potrafi, bądź nie potrafi, zapanować nad sobą. I wśród pierwszych chrześcijan na posiłkach, na których się gromadzili, bywało tak, że jeden był głodny, a drugi był nietrzeźwy. Tak wyglądały te pierwsze wspólnoty również. Zauważmy, że Kościół opowiada o nich, listy św. Pawła opowiadają, bardzo szczerze. I nie sądzimy, raz jeszcze powtarzam, że my jesteśmy od tamtych ludzi jakoś diametralnie inni. I dalej:

Czyż nie macie domów, aby tam jeść i pić? Czy chcecie znieważać Boże zgromadzenie i zawstydzają tych, którzy nic nie mają?

Proszę zwrócić uwagę: Eucharystia w nauczaniu św. Pawła jest bardzo mocno połączona z dobroczynnością. Podczas Eucharystii musi być przywracana sprawiedliwość. Wiadomo, że są wśród nas zamożniejsi i mniej zamożni. Wiadomo, że są wśród nas mający większe, i mniejsze możliwości. Wiadomo, że zdarzają się wśród nas bogaci, ale i biedni. Ale nie wolno nam dopuścić do jednego. Tego mianowicie, żeby na naszych zgromadzeniach byli ludzie głodni. A nie oznacza to tylko głodnych podczas mszy św. Oznacza to także głodnych w naszych domach, w naszych miastach, w naszych osadach, osiedlach itd. Uważam, że ten właśnie punkt, ten obowiązek przywracania sprawiedliwości jest największym wyzwaniem, przed jakim staje Kościół katolicki w Polsce. Sądzę, że jest to punkt, który nie jest należycie widziany, dostrzegany ani urzeczywistniany. Otóż w naszej Ojczyźnie skutek tego, że istnieje przeogromne bezrobocie — w niektórych regionach kraju ono jest wręcz tragiczne, ok. 40% ludzi pozostaje bez pracy, bez zarobków, z frustracją, z poczuciem tego, że są niepotrzebni itd. — nie brakuje ludzi głodnych, nie brakuje głodnych dzieci, nie brakuje głodnych osób starszych itd. Podczas gdy wiele żywności po prostu się marnuje. Podczas gdy z wielu rzeczy, także tych, które my mamy, korzystamy bez należytego przemyślenia.

Paweł mówi, że tak nie może być. W naszych czasach też tak nie może być. Kościół jest tym miejscem, w którym spotykamy się z Bogiem. Ale to jest także to miejsce, w którym uczymy się wrażliwości na drugiego człowieka. A uczymy się jej nie tylko przez dobre słowa, ale przede wszystkim przez dobre uczynki.

I musimy pod tym względem popatrzeć jeszcze inaczej także na nasze otoczenie i na nasze środowisko. Może szukając jakiś praktycznych wskazań trzeba byłoby powiedzieć, że niedziela jest jakimś szczególniejszym dniem dobroczynności. Nie musi to wcale oznaczać, powiedzmy sobie, dawania na tacę, ale może i powinno to oznaczać jakąś większą wrażliwość — czasami to może być sąsiad, czasami może być ktoś nieznany, czasami może być ktoś przypadkowy, któremu trzeba po prostu przyjść z pomocą. Paweł napisał o tym bardzo wyraźnie:

Czy chcecie znieważać Boże zgromadzenie i zawstydząć tych, którzy nic nie mają?

Otóż jednym ze skutków biedy jest to, że ona człowieka upokarza. Ja myślę, że jeżeli ktoś z nas przeżył kiedykolwiek w życiu jakiś dotkliwy brak, biedę, nędzę, to wtedy przede wszystkim czuł się nie tyle głodny, co sponiewierany i upokorzony. I nie wolno nam dopuścić do tego, żeby takie rzeczy miały miejsce wśród chrześcijan. Paweł mówi:

Cóż wam powiem? Czy będę was chwalił? Nie, za to was nie chwale!

Zwróćmy uwagę, Apostoł od konkretnej sytuacji, tej sytuacji, z jaką miał do czynienia wśród Koryntian, przechodzi teraz do nauczania o Eucharystii. I napisał tak:

Ja bowiem otrzymałem od Pana to, co wam przekazuję, że Pan Jezus tej nocy, kiedy został wydany, wziął chleb i dzięki uczyniwszy połamał i rzekł: «To jest Ciało moje za was [wydane]. Czyńcie to na moją pamiątkę». Podobnie, skończywszy wieczerzę, wziął kielich, mówiąc: «Ten kielich jest Nowym Przymierzem we Krwi mojej. Czyńcie to, ile razy pic będziecie, na moją pamiątkę».

Specjalnie nie przerywałem tego fragmentu żeby państwo zdali sobie sprawę, że podczas każdej mszy św. uobecniamy słowa z Ewangelii i słowa św. Pawła. Powtarzamy właśnie ten fragment, w którym Paweł powiada, że jego wiara w Eucharystię, i w obecność Jezusa Chrystusa w Eucharystii, jest rezultatem, jest owocem przekazu od innych, od Apostołów, od Piotra, od pozostałych, którzy widzieli Zmartwychwstałego. I wskutek tego on bierze do ręki chleb, bierze do ręki wino, i sprawuje Eucharystię. Otóż Eucharystia jest największą tajemnicą naszej wiary. Ta tajemnica w Kościele katolickim rozgrywa się, można by tak powiedzieć, na oczach wiernych. To znaczy widzimy kapłana, który podnosi chleb, który bierze wino, który dokonuje konsekracji.

Natomiast chciałbym tutaj, może trochę przekornie, powtórzyć to, co przedwczoraj usłyszałem od jednego z panów tu mieszkających. Mówił, że w prawosławiu to jest chyba lepiej, bo tam Przeistoczenie jest zupełnie ukryte przed wiernymi. W związku z tym nie muszą widzieć tego, czego i tak nie rozumieją. Otóż ta prosta formuła zawiera w sobie coś z prawdy. Kiedy my coś widzimy, chcemy to zrozumieć. Chcemy również zrozumieć Eucharystię. Eucharystia jest tak wielką tajemnicą, że oglądanie wcale nie powoduje zrozumienia. Kiedy patrzymy na kapłana, kiedy dokonuje Przeistoczenia, nie widzimy wcale więcej niż to, gdyby się to wszystko odbywało za jakąś zasłoną tak, jak w prawosławiu. Paweł podkreśla, że Eucharystia jest tajemnicą, w której rzeczywiście obecny Jezus udziela się ludziom. I dalej:

Ilekoć bowiem spożywacie ten chleb albo pijecie kielich, śmierć Pańską głosicie, aż przyjdzie.

Otóż istnieje ścisły związek między Eucharystią a śmiercią Jezusa na krzyżu. Państwo przypominają sobie ten motyw obecny w Ewangelii św. Jana, kiedy to jeden z żołnierzy włócznią otworzył bok jego, a natychmiast wypłynęły krew i woda. Krew — to symbol Eucharystii, woda — to symbol chrztu. W ten sposób św. Jan podkreśla, że na krzyżu mają swój początek dwa podstawowe sakramenty Kościoła: Eucharystia i chrzest. I ile razy przeżywamy Eucharystię, ile razy spożywamy ten chleb i pijemy kielich, śmierć Pańską głosimy, aż przyjdzie.

Tak dochodzimy do sprawy bardzo delikatnej. Mianowicie słyszymy: „spożywamy chleb, pijemy kielich”. Tymczasem pod dwoma postaciami przyjmuje Eucharystię w Kościele katolickim tylko kapłan. Kiedy są mniejsze wspólnoty, jest inaczej. I być może są wśród państwa osoby, zapewne całkiem sporo, które przyjmowały komunie świętą pod dwoma postaciami. Otóż sądzę, że należy powoli pójść w tym kierunku, żeby Komunia św. była dla wszystkich wiernych pod dwoma postaciami. Nie ma żadnych innych trudności, niż pewne trudności praktyczne wynikające stąd, że dwie postaci to jest postać chleba, postać Ciała w chlebie, postać Krwi Jezusowej w winie. Jest pewna trudność ze spożywaniem tego wina. Wydłużało by to liturgię. Trzeba byłoby zatroszczyć się o to, żeby mieć szacunek dla tej odrobiny, kropli wina, którą będziemy pic itd. To są trudności praktyczne. Przy takim duszpasterstwie masowym, jakie mamy teraz w Polsce, gdy na mszę świętą przychodzi kilkaset osób, gdy msza święta trwa maksimum godzinę, bo o następnej okrągłej godzinie jest znowu msza święta, przyjmowanie komunii pod dwoma postaciami jest, można by

powiedzieć, niemożliwe z tych względów porządkowych. Ale w mniejszych wspólnotach, tam, gdzie nie ma tych rygorów czasu ani tego nacisku, wierni mogą i powinni spożywać komunię świętą pod dwoma postaciami.

W ubiegły piątek, trzy dni temu, ingres do katedry siedleckiej miał nowy ksiądz biskup, ksiądz biskup Zbigniew Kiernikowski. On przykłada ogromną wagę go przeżywania mszy świętej, przeżywania Eucharystii. Muszę państwu powiedzieć, że chociaż z nim razem studiowałem w Rzymie ćwierć wieku temu, to jednak w dalszym ciągu od niego bardzo wiele uczę się przeżywania mszy świętej. I kiedy on sprawuje mszę świętą z udziałem wiernych, Eucharystia zawsze odbywa się pod postaciami chleba i wina. Przykłada do tego ogromną wagę. Na to też wskazuje św. Paweł. Być może jest to taka rzecz, którą trzeba wspólnie przemyśleć, i wspólnie dołożyć starań, żeby i pod tym względem pójść w kierunku, który jeszcze bardziej zbliży nas do zamysłu Jezusa Chrystusa.

Ileokroć bowiem spożywacie ten chleb albo pijecie kielich, śmierć Pańską głosicie, aż przyjdzie.

Można więc spożywać Eucharystię pod postacią chleba i wina, ale cały Chrystus obecny jest w chlebie, i obecny jest w winie. Dlatego św. Paweł mówi „spożywacie chleb albo pijecie kielich”. I u nas, w naszym duszpasterstwie istnieje to „albo, albo”. Ale należy dobrze przemyśleć, czy nie dołożyć starań, żeby takiej alternatywy nie było.

Dlatego też kto spożywa chleb lub pije kielich Pański niegodnie, winny będzie Ciała i Krwi Pańskiej.

To są bardzo surowe słowa Apostoła. Te słowa Apostoła wiele razy powstrzymują nas przed przyjęciem komunii św. Wiele razy mamy rozmaite trudności w przyjęciu komunii św. sądząc, że być może w naszym życiu popełniliśmy coś, co sprzeciwia się godności Eucharystii. Na pewno niezbędna jest pod tym względem daleko posunięta ostrożność i wyczulenie. Na pewno komunია św. jest tym darem, do którego powinniśmy podchodzić z szacunkiem. Z drugiej strony jednak pamiętajmy, że każdy z nas jest niegodny tego, by przyjmować ciało i krew Pana. Paweł ostrzega przed nadużyciami, które są już krańcowo niebezpieczne. Ale trzeba dokładać starań, żeby pod tym względem mieć sumienie dobrze ukształtowane. „Niech przeto” — kończy św. Paweł

Niech przeto człowiek baczy na siebie samego, spożywając ten chleb i pijąc z tego kielicha. Kto bowiem spożywa i pije nie zważając na Ciało [Pańskie], wyrok sobie spożywa i pije. Dlatego to właśnie wielu wśród was jest słabych i chorych i wielu też umarło. Jeżeli zaś sami siebie osądzimy, nie będziemy sądzeni.

Apostoł zwraca uwagę na to, że musimy samych siebie osądzić z usposobienia, z zachowania, z postawy wtedy, gdy bierzemy udział w Eucharystii. To właśnie dlatego każda msza św. rozpoczyna się od słów, które po łacinie brzmią:

Agnoscámus peccáta nostra, ut apti-
simus ad sacra mystéria celebránda.

*Uznajmy naszą grzeszność przed Bogiem, abyśmy god-
nie przystąpili do sprawowania świętych obrzędów.*

Uznanie swojej grzeszności to jest warunek godnego sprawowania Eucharystii. Uznanie swojej grzeszności otwiera nas na Pana Boga ponieważ ono zabezpiecza nas przed pokusą samowystarczalności. W każdym z nas jest taka pokusa, że wystarczę sam sobie. Skoro starałem się być dobry, to mam teraz prostsze życie. Otóż nie! My wszyscy, nawet najlepsi spośród nas, potrzebują Bożego miłosierdzia. I dopiero korzystanie z tego miłosierdzia otwiera nas na możliwość owocnego korzystania z Eucharystii.

Lecz gdy jesteśmy sądzeni przez Pana, upomnienie otrzymujemy, abyśmy nie byli potępieni ze światem. Tak więc bracia moi, gdy zbieracie się, by spożywać wieczerzę, poczekajcie jedni na drugich! Jeżeli ktoś jest głodny, niech zaspokoi głód u siebie w domu, abyście się nie zbierali ku potępieniu waszemu. Co do reszty, zarządzę, gdy do was przybędę.

Paweł napisał te słowa w dwadzieścia kilka lat po śmierci Jezusa. Pokazuje wierzącym w Chrystusa, jak należy przyjmować Eucharystię. Że nie można dopuszczać do nadużyć. Że należy zatroszczyć się o sprawiedliwość przy Eucharystii. I należy mieć poczucie własnej grzeszności, by otworzyć się na dobroć Boga. A oto co w naszych czasach napisał Jan Paweł II. Ta książka jest o tyle szczególna, ponieważ papież napisał te swoje zwierzenia i wspomnienia na pięćdziesiątą rocznicę swojego kapłaństwa, czyli w roku 1996. Ta książka nosi tytuł „Dar i tajemnica”. I w tym, co dotyczy paragrafu „Kapłan a Eucharystia” Ojciec Święty mówił, a jego biograf zanotował, następujące słowa. Przeczytam je w całości (str. 72), abyśmy wiedzieli jak głęboko Jan Paweł II postrzega te tajemnice, do których przyjmowania usposobił nas Apostoł Paweł.

„Wysławiam Cię, Ojcze, Panie nieba i ziemi, że zakryłeś te rzeczy przed mądrymi i roztropnymi, a objawiłeś je prostaczkom... Nikt też nie wie, kim jest Syn, tylko Ojciec, ani kim jest Ojciec, tylko Syn i ten, komu Syn zechce objawić.” (Łk 10, 21-22) To słowa z Ewangelii św. Łukasza, które wprowadzają nas w głębię misterium Chrystusa i pozwalają nam również zbliżyć się do tajemnicy Eucharystii. W niej to Syn współistotny Ojcu, Ten którego tylko Ojciec sam zna, składa temuż Ojcu siebie samego w ofierze za ludzkość i całe stworzenie. W Eucharystii Chrystus oddaje Ojcu wszystko to, co od Niego pochodzi. Realizuje się w Eucharystii jakieś dogłębne *mysterium sprawiedliwości stworzenia wobec Stwórcy*. Trzeba bowiem, aby człowiek oddawał Stwórcy cześć z wdzięcznością i uwielbieniem za wszystko, co od Niego otrzymał. *Człowiek nie może stracić poczucia tego długu*, który tylko on jeden spośród ziemskich istot może rozpoznać i spłacać jako stworzenie uczynione na obraz i podobieństwo Boga. A zarazem, biorąc pod uwagę jego ograniczoność jako stworzenia oraz fakt, że naznaczony jest grzechem, człowiek nie byłby zdolny do tego aktu sprawiedliwości wobec Stwórcy, gdyby sam Chrystus, współistotny Ojcu Syn i prawdziwy Człowiek, nie podjął tej eucharystycznej inicjatywy.

Popatrzmy na to, jak Jan Paweł II przeżywa Eucharystię. Rozpoczął od modlitwy. Każdy, kto chce zastanawiać się nad Eucharystią, jest chrześcijaninem, powinien rozpocząć od modlitwy. Tylko modlitwa otwiera nas na należyte przeżywanie i przyjęcie tej tajemnicy. Nie jest to bowiem sprawa rozumu lecz sprawa uznania Bożej obecności w naszym życiu. Ale papież, kiedy rozpoczął od modlitwy, to przechodzi do tego, co jego zdaniem stanowi sedno Eucharystii. Mianowicie mówi, że przyjmowanie Eucharystii, karmienie się Komunią świętą to jest znak wdzięczności Bogu za Jego dobra. Jakże bowiem inaczej człowiek mógłby podziękować, człowiek wierzący w Chrystusa, niż wtedy, kiedy przyjmuje do siebie Boga, który mu się udziela. W ten sposób Eucharystia staje się znakiem komunii, a komunია to jest wspólnota — między Bogiem i człowiekiem. Skoro w Eucharystii Bóg udziela się nam, i skoro dokonuje się ta komunია między Bogiem a człowiekiem, to zadaniem ludzi Eucharystii jest również budowanie komunii, wspólnoty, pomiędzy ludźmi. A więc żaden sakrament nie łączy nas mocniej z Bogiem i żaden sakrament nie łączy nas mocniej między sobą. Eucharystia powinna być tym spoiwem Kościoła, zarówno w wymiarze wertykalnym, pionowym, jak i w wymiarze horyzontalnym, poziomym.

To są wzniosłe sprawy. Ale powiedziałem na początku, że tylko to, co jest wzniosłe, jest prawdziwie warte i godne wysiłku i trudu. I skoro Bóg otwiera przed nami takie perspektywy i takie możliwości, to na pewno daje nam również siły, żebyśmy je przyjęli i potrafili im sprostać. I na wakacje, które się niedługo rozpoczną, chciałbym wszystkim państwu, i każdej i każdemu z osobna, życzyć, pośród wielu dobrych spraw, które są państwu potrzebne, a wśród nich najważniejsza na pewno: zdrowie i wszelka pomyślność, chciałbym życzyć także tego, żeby państwo znaleźli odrobinę czasu na przemyślenie i należyte przeżycie tajemnicy Eucharystii. Może już przebywając na wakacjach, przebywając z dala od domu, może biorąc udział w jakiejś mszy św. sprawowanej w innym kościele, będzie nam jeszcze łatwiej przeżyć to, co jeszcze głębiej sięgnie naszych serc i sumień.

Bardzo, bardzo serdecznie dziękuję. A na następne spotkanie zapraszam na drugi poniedziałek października. Jeżeli szczęśliwie dożyjemy, to będzie to cykl wykładów o profilu biblijno-historycznym.

<<Podziękowania dla Księdza Profesora>>